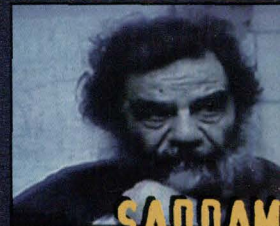


Numer podwójny!

PRZE KRO



SADDAM
CAŁY
ZDROWY
ZŁAPANY!

Nr 51-52 / 3052-3053

• 21-28 grudnia 2003

• cena 4,20 zł /w tym 7% VAT/



ZATONAĆ W MORZU *luksumu*

PORADNIK DLA KAŻDEGO

s. 46.



5 1

9 770033 248038

SIEMENS
mobile



Przedmiot pożądania

Nowy SL55. Reaguje na dotyk.

Be inspired



na Czwartek **RACZKOWSKI**



Dużo zdrowego rozsądku, wielu szczęśliwych wydarzeń i bezwzględnej pomyślności w uczuciach

życzy „Przekrój”

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o tym, co wydarzyło się na ostatnim szczycie Unii Europejskiej w Brukseli. Bo chcielibyśmy wytłumaczyć, na czym polega sukces tego fiaska czy fiaska tego sukcesu, ale się pogubiliśmy – tak jak i nasi politycy.

...o tym, że choć premier Leszek Miller pozostanie w szpitalu, będzie nadal pełnił normalnie obowiązki szefa rządu, i że – jak zapewnił rzecznik gabinetu – „władza nie zostanie przekazana Markowi Polowi”, mimo iż formalnie wicepremier będzie przewodniczył pracom rządu. Bo nie chcemy uczestniczyć w tak jawnym postępowaniu wicepremiera, chociaż całkowicie na to zasłużył.

...o honorze Jerzego Jaskierni, wciąż jeszcze – choć już

niedługo – szefa sejmowego klubu SLD. Bo go nie ma.

...o tym, że Samoobrona, w ślad za PiS i LPR, złożyła projekt uchwały w sprawie samorozwiązania Sejmu. „Tyle wad, kompromitacji i korupcji, ile jest w tym Sejmie, w żadnym jeszcze nie było” – argumentował, składając wniosek, Andrzej Lepper. Bo wcale nie szukaliśmy przykładu skrajnej bezczelności, sam się znalazł.

...o poręczeniu udzielonym przez 57 posłów aresztowanemu mistrzowi olimpijskiemu Wojciechowi F. i różnych innych wyrazach poparcia skierowanych nagle z wielu stron ku człowiekowi, który przez pięć lat nie stawiał się na wezwania w prowadzonej przeciwko niemu sprawie o znęcanie się

nad konkubina. Bo to wszystko wygląda bardzo niefortunnie.

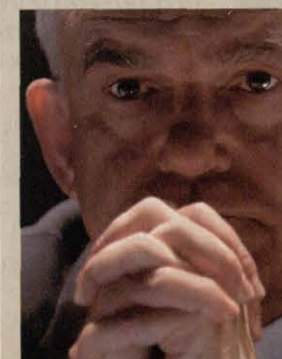
...o organizowaniu przy Stowarzyszeniu Ordynacka komisji ds. młodzieży, która gromadzić ma studentów angażujących się „w działalność publiczną ze społecznikowskiej potrzeby” i chcących „przywrócić polityce pogubione wartości”. Bo nam wystarczy, że na pierwsze spotkanie zaprosili Włodzimierza Czarzastego.

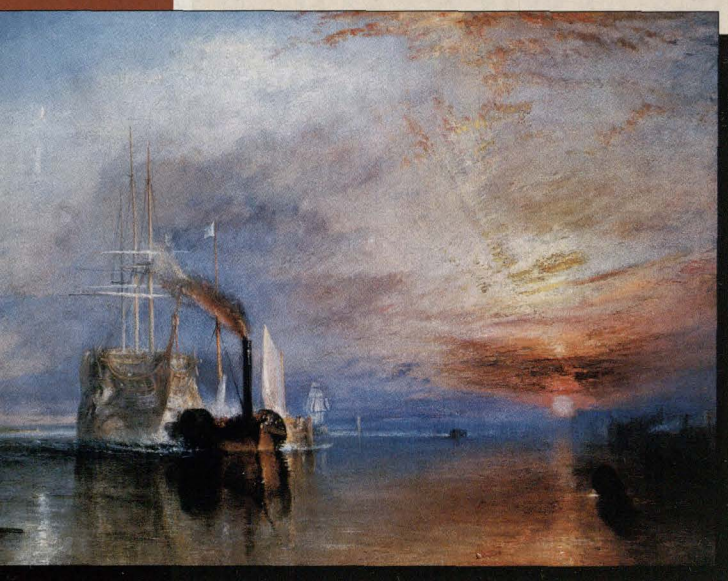
...o minister Krystynie Lybackiej (tej od edukacji), którą terenowi działacze Związku Nauczycielstwa Polskiego chcą pozbawić członkostwa tej organizacji za niepoparcie proponowanej przez ZNP nowelizacji Karty Nauczyciela. Bo tym razem musieliśmy ją pochwalić, a to na nam przez gardło nie przejdzie.

CYTAT tygodnia

Jestem agnostykiem, w przeszłości byłem ministrantem, bardzo doceniam, co polski Kościół uczynił dla naszego narodu. Pozostaję takim, jakim byłem przed wypadkiem.

LESZEK MILLER – zapytany, czy po wypadku wierzył w Boga





FOT. NATIONAL GALLERY/CORBIS/EPRE

Noworoczny
„Przekrój”
już 30 grudnia
w kioskach!!



74

92

Turner
– geniusz
malarstwa
autopromocji



Okładka
Waldemar
Świerzy
Saddam Husajn
Fot. AP

6 POWIĘKSZENIA
Żywy trup dyktatora;
Nadchodzą koty

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe
i zagraniczne

24 PYTAMY Krzysztofa
Bobińskiego o polską sztukę
negocjacji

25 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– ludzie

26 KOMENTARZ

27 RAPORT MNIEJSZOŚCI
Mieczysław Jastrun
„Boże Narodzenie”

NAJSZTUB PYTA

**28 CO PAN MI CHCE
POWIEDZIEĆ?**
O kacu po nocnym
wystąpieniu, automatach
do gry i pojęciu łapówki
opowiada Andrzej
Barcikowski, szef ABW

GORĄCY DOKUMENT

32 ZA LINIAMI WROGA
Pierwsze spotkanie
z mordercami
amerykańskich żołnierzy

38 TRZEŻWO O IZBACH
Czy izby wytrzeźwień
przetwarzają nasze wejście
do Unii?

**42 POLSKĄ ZIEMIĘ CHĘTNIE
SPRZEDAM**
Mieszkańcy Ziemi
Odzyskanych czekają
na Niemców i ich pieniądze
jak na zbawienie

SZAŁ

46 KOD LUKSUSU
Bogactwo to dyskrecja,
skromność, elitarność

52 WESOŁYCH OFIAR
Japończycy zwariowali na
punkcie markowych ciuchów

**58 ZA ŻADNE SKARBY
ŚWIATA**

Naprawdę istnieją rzeczy,
których nie można kupić!

62 PO ILE WYOBRAŹNIA?
Coraz trudniej gromadzić
dzieła sztuki współczesnej,
ale też dostarcza to coraz
więcej zabawy

**66 KUPUJ NA NIBY, PŁAĆ
NAPRAWDĘ**
Wcale nie musimy mieć tego,
na co wydaliśmy sporo grosza

68 NASZ DROGI SPOKÓJ
Polski obywatel wydaje sporo
pieniędzy, żeby w państwie
panował spokój społeczny

72 INSPEKTOR GADŻET

LUDZIE!!!

74 POGRECHUTANY, ALE WIELKI
Marek Grechuta,
wspaniały pieśniarz i sterany
życiem człowiek, wydał
pierwszą od dziesięciu lat
płytę

78 WEJŚCIE MURDOCHA
Medialny potentat szykuje
się do wejścia na polski rynek

82 UCHO HOLLYWOOD
Detektyw Anthony Pellicano
pójdzie siedzieć albo zacznie
zdradzać sekrety gwiazd

84 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

NAUKA PO BOŻEMU

86 GDZIE JEST BÓG
Naukowcy na tropach
Absolutu

90 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

PATRZĄC I CZYTAJĄC

92 SYN SŁOŃCA
J.M. William Turner
– nowoczesny artysta
i zwykły mieszczuch

100 LISTY

**101 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY**

102 WYDARZENIE – Obywatel
własnej republiki

104 FILM – Zastaw się,
a zestaw się!

106 MUZYKA – Muzyka
półwytrawna

108 KSIĄŻKI – Michnik
uwodziciel

110 GRY – XIII eksperyment

112 TELEWIZJA – Najlepsze
programy

ROZMAITOŚCI

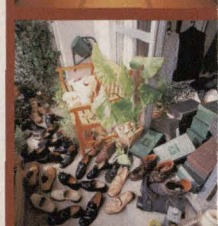
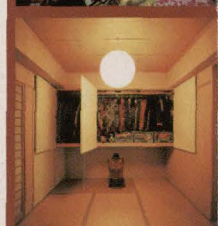
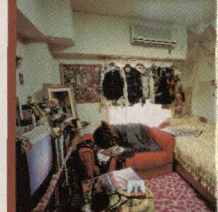
**116 DZIENNIK OSOBISTY
MASŁOWSKIEJ**; jolka

118 WINNY BIEŃCZYK
i KULINARNE PIÓRO
POLSKI; BRALCZYK

120 KRZYŻÓWKA

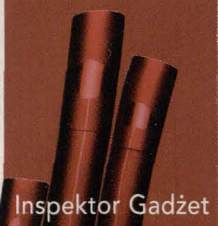
122 RACZEJ RACZKOWSKI

szal
luksusu



46

Szal kupowania



72

Inspektor Gadżet

R E K L A M A

DARMOWE ROZMOWY

W NOWYCH PLANACH TELEFONICZNYCH TP!

TELEKOMUNIKACJA POLSKA wprowadza nowe, innowacyjne na polskim rynku telefonii stacjonarnej, plany telefoniczne. W ramach abonamentu, TP oferuje m.in. korzystanie – wieczorem oraz w weekendy i święta – z nieograniczonej liczby dowolnie długich darmowych połączeń lokalnych i międzymiastowych – nawet przez 456 godzin miesięcznie!

Dwa z trzech nowych planów telefonicznych zawierają innowacyjną konstrukcję – w ramach abonamentu, wieczorami i w weekendy, Klienci indywidualni mogą korzystać z połączeń lokalnych i międzymiastowych bez ograniczenia liczby i czasu trwania tych połączeń. Dodatkowe korzyści to najtańsze dla Klientów indywidualnych połączenia do sieci komórkowych – tylko 55 gr. netto, czyli 67 gr. z VAT za minutę w dni powszednie między 18.00 a 8.00 oraz w weekendy. W trzecim planie telefonicznym obowiązują najniższe na rynku ceny połączeń międzymiastowych i atrakcyjne ceny połączeń do sieci komórkowych. Ponadto, we wszystkich trzech planach dostępne są produkty taryfowe: wybrane numery TP, rozmowy z rabatem TP, rozmowy za pół ceny TP, umożliwiające obniżenie cen połączeń nawet o 80%. Wszystkie rozmowy w nowych planach rozliczane będą z dokładnością do 1 sekundy.

PLAN TP DARMOWE WIECZORY I WEEKENDY

- darmowe połączenia lokalne i międzymiastowe (realizowane w sieci TP) w weekendy i święta;
- darmowe połączenia lokalne i międzymiastowe (realizowane w sieci TP) w dni powszednie w godzinach 20.00-8.00;
- najniższe na rynku ceny połączeń do sieci komórkowych – tylko 55 gr. netto, czyli 67 gr. z VAT za minutę w dni powszednie w godz. 18.00 – 8.00 i w weekendy;
- abonament 85 zł z VAT;

PLAN TP DARMOWE WEEKENDY

- darmowe połączenia lokalne i międzymiastowe (realizowane w sieci TP) w weekendy i święta;
- darmowe połączenia międzymiastowe (realizowane w sieci TP) w dni powszednie – od godz. 20.00 do godz. 8.00;
- najniższe na rynku ceny połączeń do sieci komórkowych – tylko 55 gr. netto, czyli 67 gr. z VAT za minutę w dni powszednie w godz. 18.00 – 8.00 i w weekendy;
- abonament 70 zł z VAT;

PLAN TP TANIE WIECZORY I WEEKENDY

- najniższe ceny połączeń międzymiastowych w godz. 18.00-8.00 w dni powszednie – niższe o 50% w porównaniu do planu sekundowego TP dom oraz od 50% do 66% w weekendy i święta przez cały dzień – tylko 12 gr. z VAT;
- najniższe ceny połączeń lokalnych tylko 6 gr/min z VAT codziennie po godzinie 22 oraz 12 gr/min z VAT codziennie od 8.00 do 22.00 w porównaniu z planem sekundowym TP dom;
- abonament 50 zł z VAT;

Nowa oferta TP jest odpowiedzią na oczekiwania Klientów aktywnie korzystających z usług telefonicznych.



**tp TELEKOMUNIKACJA
POLSKA**

14 grudnia 2003 r.
Saddam Husajn podczas
badań lekarskich, dzień
po zatrzymaniu na farmie
pod rodzinnym Tikritem

JAKUB MIELNIK

ŻYWY TRUP DYKTATORA

Po ośmiu miesiącach pościgu Amerykanie
dopadli Saddama Husajna. Co czeka Irak i obalonego dyktatora?

KRYJÓWKĘ SADDAMA OTOCZYŁO 600 AMERYKAŃSKICH KOMANDOSÓW. NIE PADŁ NAWET JEDEN STRZAŁ. DYKTATOR WIEDZIAŁ, ŻE KONIEC JEST BLISKI. JEGO DWAJ OCHRONIARZE UCIEKLI

– Nazywam się
Saddam Husajn.
Jestem prezydentem Iraku
i chcę negocjować
– powiedział dyktator,
gdy odkryli go żołnierze

– Prezydent Bush
przesyła pozdrowienia
– odpowiedzieli
Amerykanie

Wejście do ziemianki
(na zdjęciu), w której
ukrywał się Husajn,
było zamaskowane
zwałem gruzu
i śmieci. Podobnych
kryjówek dyktator
miał w okolicach
Tikritu około 30

Mamy go – amerykański namiestnik w Bagdadzie nie krył zadowolenia, ogłaszając, że Saddam Husajn został w końcu schwytany. W chwili tryumfu Paul Bremer uronił nawet łzę, co skrupulatnie zarejestrowały telewizyjne kamery, a konferencję co rusz przerywali iraccy dziennikarze, skandując: „Śmierć Saddamowi!”.

Ujęcie obalonego dyktatora było tak naprawdę pierwszym znaczącym sukcesem koalicji od czasu zdobycia wiosną

Bagdadu. I nic dziwnego, że koalicja zrobiła wszystko, by medialnie ten sukces wykorzystać. Dowiedzieliśmy się więc, że wróg publiczny numer jeden ukrywał się w zamaskowanej śmieciami i gruzem podziemnej norze we wsi Daur koło swojego rodzinnego Tikritu.

Wykopano ją pod ulepioną z gliny szopą, w której Saddam miał pokój i wyposażoną w podstawowe sprzęty kuchnię. W pokoju znaleziono świeżą bieliznę i nowe, nierozpakowane jeszcze skarpety. Choć w akcji brało udział 600 żołnierzy przygotowanych na naj-

gorsze, dyktatora zatrzymano bez jednego strzału. Do położonego nad brzegiem Tygrysu gospodarstwa prócz żołnierzy wysłano czołgi, śmigłowce i artylerię. Saddam miał do dyspozycji pistolet, zwykłą pomarańczowo-białą iracką taksówkę i walizkę z 750 tysiącami dolarów, którymi płacił za jedzenie i gościnę.

Z brygady gotowych na wszystko ochroniarzy Saddamowi zostało tylko dwóch ludzi, którzy zamiast go bronić, rzucili się do ucieczki na widok pierwszych amerykańskich żołnierzy.



Obok wejścia do ziemianki stała szopa, w której były dyktator miał kuchnię (na górze) i sypialnię (obok)



**– Nie zaprzeczył
żadnej ze zbrodni,
o które go
oskarżyliśmy.
Próbował je
usprawiedliwić**

**AHMAD CHALABI, CZŁONEK IRACKIEJ RADY
ZARZĄDZAJĄCEJ. PO ROZMOWIE Z UWIĘZIONYM
PRZEZ AMERYKANÓW DYKTATOREM**

Budzący strach dyktator okazał się zmęczonym starym człowiekiem z niechlujną brodą i zmierzwionymi włosami, w których – co też zarejestrowały kamery – amerykański żołnierz szukał śladów wszawicy. Irakijczycy, którzy bali się jego powrotu, odetchnęli z ulgą. Pytanie tylko, co poza ulgą i propagandowym sukcesem może przynieść złapanie Saddama Husajna?

Trudno oczekiwać, żeby walczący z obcą okupacją Iraku zamachowcy (czytaj na stronie 32.) złożyli broń tylko dlatego, że obalony przywódca Iraku pozwolił Amerykanom grzebać sobie w zębach. Pozostawiony samemu sobie i w końcu sprzedany przez członka własnego klanu Saddam przestał się liczyć.

WIDMO FEDAINÓW

Na początku okupacji był jeszcze symbolem, wokół którego jednoczyły się niedobitki reżimu. Ataki w pierwszych miesiącach po upadku Bagdadu były dla Amerykanów uciążliwe. Mieściły się jednak w definicji chaosu wywołanego agonią obalonego reżimu. Pogłoski o armii fanatycznych fedainów gotowych oddać życie za swojego przywódcę okazały się tylko częścią irackiej propagandy.

Zamiast za Saddama lojaliści walczyli raczej w obronie swoich uprzywilejowanych w czasach dyktatury pozycji. Albo dlatego, że znaleźli się na bruku, gdy Paul Bremer rozwiązał iracką armię, wysyłając tysiące obojętnych dotąd wobec reżimu żołnierzy prosto w ramiona niedobitków partii Baas. Zwłaszcza że Saddam słono płacił za każdego zabitego Amerykanina.

To do tych ludzi skierowane były buńczuczne wystąpienia ukrywającego się dyktatora, rozpowszechniane przez arabskie stacje telewizyjne. Husajn zamilkł jednak pod koniec lata, gdy do Mezopotamii zaczęli ściągać werbowani i szkoleni przez Al-Kaidę bojownicy islamscy, którzy przyjechali do Iraku walczyć z Ameryką, a nie przywracać do władzy Saddama. To oni rozpętali trwającą już drugi miesiąc falę krwawych zamachów na żołnierzy koalicji. Kilka tygodni temu CIA ogłosiła, że Al-Kaida przenosi

swoj antyamerykański front z Afganistanu do Iraku. Stało się jasne, że dni arabskiego socjalisty, który większość swych dyktatorskich rządów poświęcił na zwalczanie wpływów islamu i mordowanie działaczy religijnych, zostały policzone. Amerykańska pętla wokół Husajna zaczęła zaciskać się coraz mocniej.

Amerykanie zapowiadają, że Husajnem zajmie się powołany w połowie grudnia iracki trybunał do spraw zbrodni. Dowody winy obalonego dyktatora są mocne. Liczba ofiar jego 30-letnich rządów to setki tysięcy uwięzionych, torturowanych i rozstrzelanych bez sądu przeciwników politycznych. To on w la-

tach 80. rozpętał krwawą, ośmioletnią wojnę z sąsiednim Iranem, która kosztowała życie setki tysięcy ludzi po obu stronach frontu. To on wydał rozkaz użycia w Halabdzji gazów bojowych przeciwko buntującym się w 1988 roku irackim Kurdom. Saddam jest też winien inwazji na Kuwejt w roku 1990 i rzezi szytów, którzy próbowali go obalić, w chwili gdy przegrał pierwszą wojnę w Zatoce.

TYRAN POD SĄD

Problem w tym, że w czasie publicznego procesu dyktatora trzeba będzie przypomnieć, że to Zachód stworzył i przez wiele lat

chronił zbrodniczą potęgę Husajna. Francuzi pomagali budować potencjał militarny i gospodarczy Iraku. Do wojny z Iranem namawiał go osobiście ojciec obecnego amerykańskiego prezydenta George Bush senior, wówczas wiceprezydent w administracji Ronaldy Reagana. I to on, już jako prezydent USA, uchronił Husajna przed ostatecznym upadkiem, wycofując poparcie dla szyckiego powstania, które Saddam krwawo stłumił niemal pod okiem amerykańskiej armii.

Nawet wierni Amerykanom Kurdowie, którzy walnie przyczynili się do schwytania dyktatora, pamiętają, że gazy bojowe rozpylano nad

Halabdzją ze śmigłowców amerykańskiej produkcji i że to Waszyngton sprzeciwił się nałożeniu na Saddama sankcji za to ludobójstwo.

Problemem jest też wiarygodność samego sądu powołanego przez iracką Radę Zarządzającą, która składa się w większości z emigrantów przywiezionych przez Amerykanów?

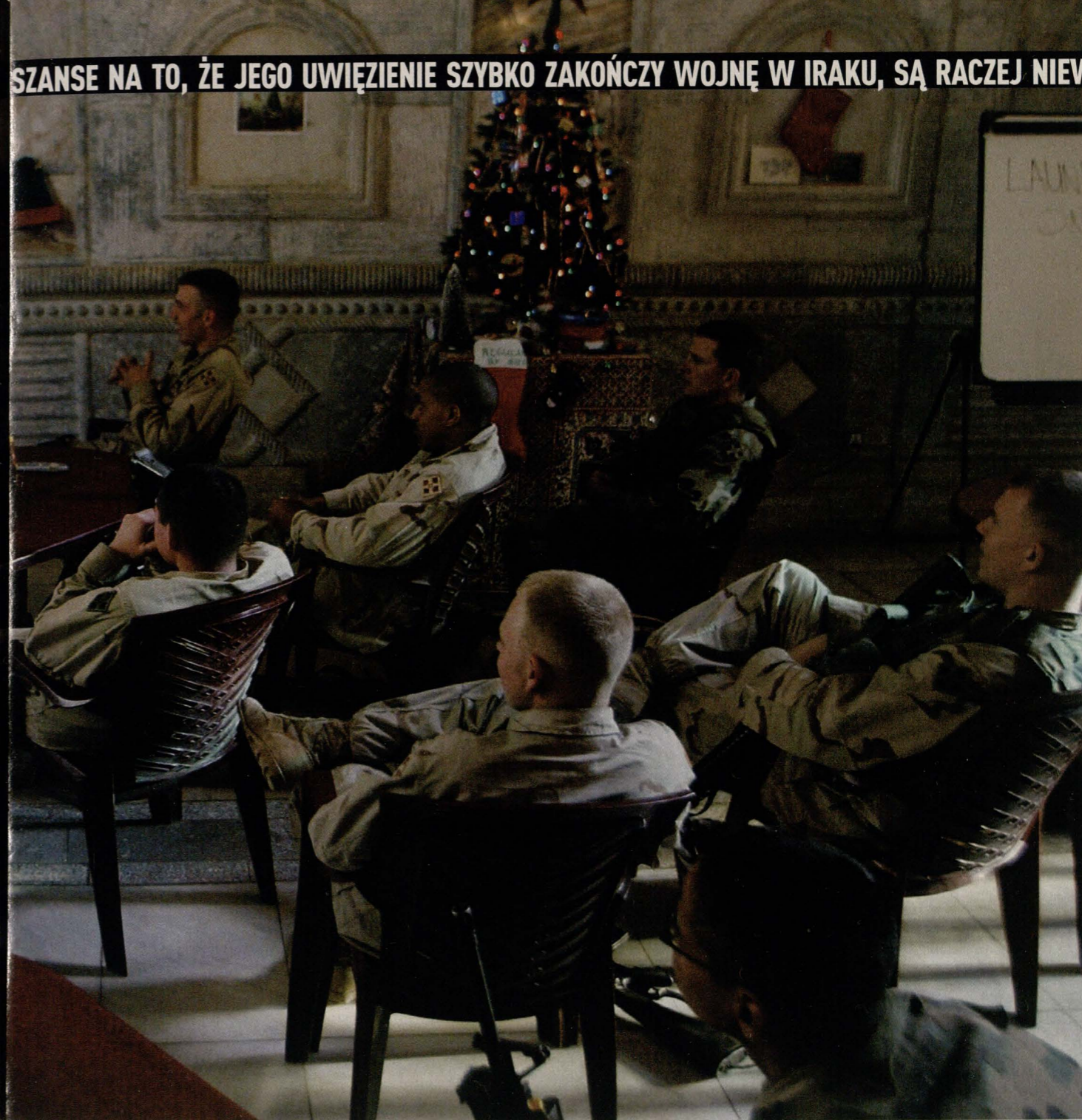
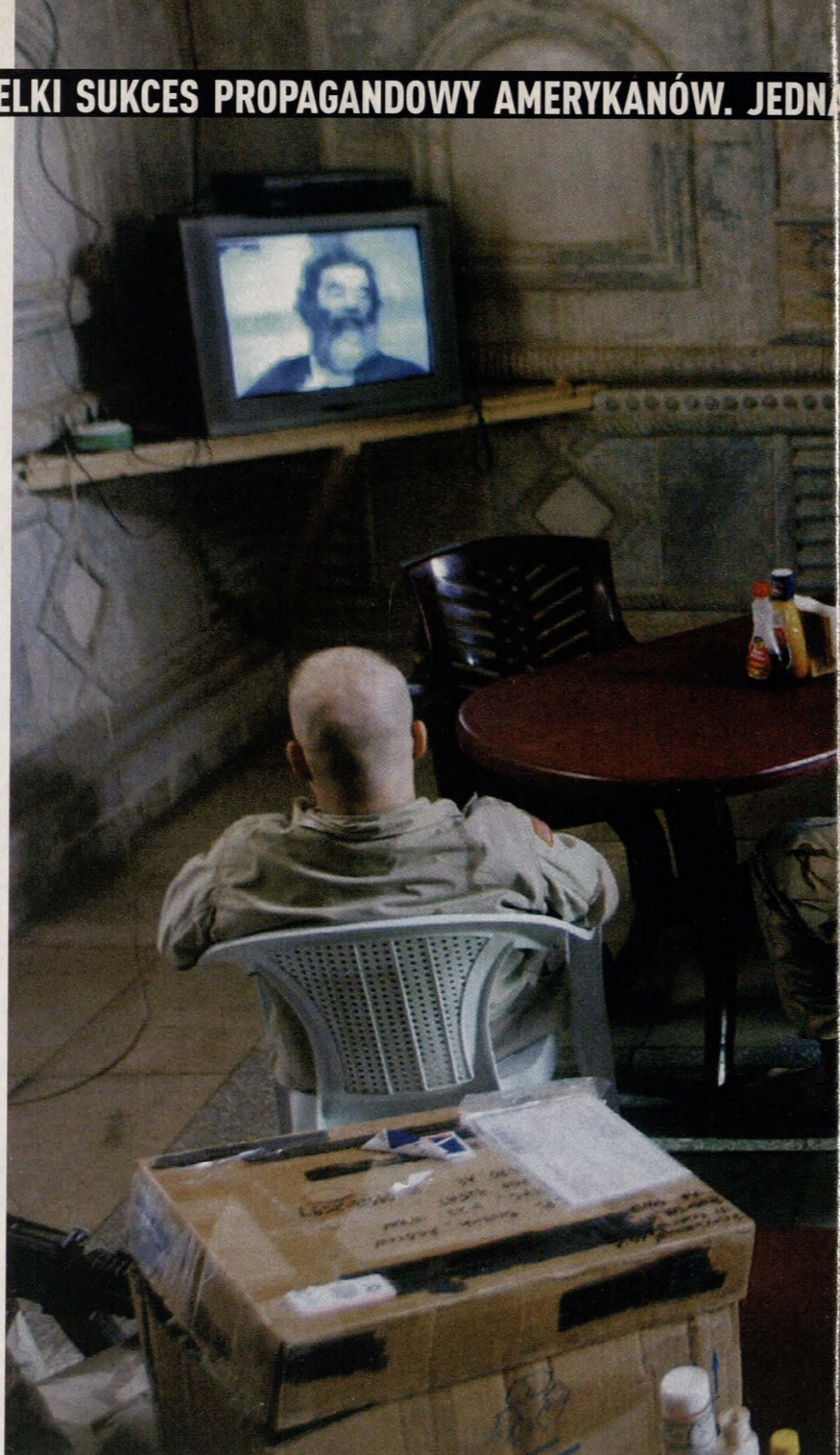
Sądzeni mają być nie tylko Saddam i jego najbliżsi współpracownicy, lecz także każdy Irakijczyk, któremu udowodni się zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości czy pogwałcenie irackiej praworządności. W praktyce może to oznaczać wielkie polowanie na

czarownice i zemstę na prawdziwych i wymaganych przeciwnikach politycznych czy wręcz osobistą wendetę.

Tylko czy w przypadku Saddama Husajna te zastrzeżenia mają jakiegokolwiek znaczenie? W Iraku jest wystarczająco dużo ludzi, którzy chętnie osobiście wykonaliby na nim wyrok śmierci. Płakać po nim będą tylko krewni. I to tylko ci spośród nich, którzy nie sprzedali go Amerykanom.

JAKUB MIELNIK

RAPORT O IRACKIM RUCHU OPORU NA S. 32.



Żołnierze stacjonujący w Tikricie oglądają transmisję z konferencji prasowej, na której Amerykanie ogłosili zatrzymanie Saddama

PHOTO: MAURICIO LIMA/AFPEAST NEWS

powiększenie

MUSICAL „CATS” BYŁ WYSTAWIANY W 300 MIASTACH, W 26 KRAJACH W 11 JĘZYKACH. NIGDY NIE PRZETŁUMACZONO TYTUŁU – DO CZASU POLSKIEJ WERSJI

Najbardziej kasowy musical wszech czasów „Koty” trafia wreszcie do Polski. Będzie murowanym hitem. Na pierwszych kilkanaście spektakli już brakuje biletów

KONRAD DULKOWSKI
ZDJĘCIA ROBERT KRZANOWSKI/7 PICTURES

NADCHODZĄ KOTY

SKĄD TE KOTY?

Najprawdopodobniej kota oswojono około 2500 lat p.n.e. W starożytnym Egipcie czczono go jako boskie zwierzę. Herodot opisał w 450 r. p.n.e., jak król Persów Kambyzes zdobył egipskie miasto Pelusjon dzięki temu, że jego wojownicy mieli przyćpione do tarcz koty, a Egipcjanie nie śmieli do nich strzelać.

Pod koniec IX w. n.e. koty rozprzestrzeniły się w całej Europie. Wraz z nastaniem chrześcijaństwa zaczęto postrzegać je jako posłańców diabła. W średniowieczu koty masowo ginęły torturowane, krzyżowane i palone na stosach. Przed całkowitym wyginięciem gatunku ocaliła je plaga szczurów.

Mahomet miał ulubioną kotkę o imieniu Muzi. Legenda głosi, że to dzięki błogosławieństwu proroka kot spada na cztery łapy. W rzeczywistości odpowiedzialna jest za to budowa ucha środkowego. Zawieszona w płynie kryształowy rejestrują zmianę pozycji, kot skręca głowę, dążąc do wy poziomowania cieczy, a za głową podąża reszta ciała.

Zwykło się uważać, że koty są samotnikami ze względu na silny instynkt terytorialny – każdy intruz zostaje przepędzony. Dopiero w latach 50. XX wieku niemiecki badacz zauważył, że koty spotykają się nocami w większych grupach. Dzieje się to zawsze na neutralnym terenie, zwierzęta zaprzestają wtedy walk i zachowań seksualnych. Przez kilka godzin po prostu siedzą w kręgu, nie odzywając się. Naukowcy twierdzą, że w ten sposób zaspokajają potrzebę kontaktu z innymi przedstawicielami swojego gatunku.

Oprócz Mahometa do miłośników kotów należeli między innymi kardynał Richelieu, Piotr Wielki, George Washington, Włodzimierz Iljicz Lenin, Wolfgang Amadeus Mozart, Maria Skłodowska-Curie i Melchior Wańkowicz. (KD)

– Mierzymy się z największą legendą w historii musicalu. To budzi respekt i tremę, ale jest zarazem spełnieniem moich marzeń

– WOJCIECH KĘPCZYŃSKI, DYREKTOR TEATRU ROMA



— Trudno sobie poradzić fizycznie, po próbach jesteśmy tak wykończeni, że przydałyby się butle z tlenem

— AKTORZY ROMY



NA PRÓBACH POLSKICH „KOTÓW” 20 OSÓB JEDNOCZEŚNIE BIEGA PO SCENIE, SKACZE I TAŃCZY. MIJAJĄ SIĘ W PEŁNYM PĘDZIE. ŚPIEWAJĄ, A JEDNOCZEŚNIE W MYŚLACH LICZĄ KROKI



Po czterogodzinnej charakterystyce trudno rozpoznać twarze aktorów

„KOTY” TO HISTORIA ZMAGAŃ O WSTĘP DO KOCIEGO RAJU

11 maja 1981 r., New London Theatre. Kurtyna idzie w górę, oczom widzów ukazują się ponadnaturalnych rozmiarów śmietnisko. Dla tych dekoracji przebudowano budynek teatru. Chwila oczekiwania i na scenę wpadają tancerze w kocich kostiumach. Zaczyna się premiera musicalu Andrew Lloyd Webbera „Cats”. Nikt nie przypuszcza jeszcze, że będzie to największy sukces frekwencyjny w światowej historii nie tylko musicalu, lecz także całego teatru. Tylko na Broadwayu będzie grany ponad 20 lat!

LICENCJA ZA SZEŚĆ MILIONÓW

21 lat później w Polsce dyrektor Teatru Muzycznego „Roma” Wojciech Kępczyński marzy o wystawieniu najslawniejszego musicalu w dziejach. Moment wydaje się odpowiedni, teatr spłacił ponad trzy miliony długów, dzięki sukcesom „Grease” i „Miss Saigon” są nadwyżki finansowe. Ale to wciąż mało, licencja na granie „Cats” kosztuje sześć milionów funtów, w dodatku standardowa umowa mówi o tym, że premierę przygotują Anglicy.

Kępczyński poszedł na całość – zaproponował stworzenie polskiej, autorskiej wersji. Rzecz niespotykana, bo chociaż „Cats” od ponad 20 lat goszczą na scenach całego świata – od Nowego Jorku, poprzez Turcję, Nową Zelandię, aż po Tokio i Helsinki – to wszędzie grana jest wersja londyńska. Nigdzie nie zezwolono chociażby na przetłumaczenie tytułu na miejscowy język. Rozmowy z właścicielami praw do tytułu trwały pięć lat, ale dzięki temu jedynie w Polsce będą to „Koty”, a nie „Cats”.

– Możliwe, że sukces „Miss Saigon” zdecydował o tym, że przystano na nasze warunki – mówi Kępczyński, który reżyseruje „Koty”.

Dwie pieczenie zostały upieczone na jednym ogniu: prawa do wersji autorskiej kosztują znacznie mniej, a ambicje artystyczne zespołu Romy zostały zaspokojone.

KOT NIE RUSZA BIODRAMI

„Cats” to historia kotów dachowców rywalizujących o przywilej wejścia do kociego raju. Polskie „Koty” mają inną niż oryginalna scenografię – akcja toczy się gdzieś w Polsce, na podwórzu wytwórni filmowej, bohaterowie też będą wyglądali inaczej. Uwspółcześnieniem kocich kostiumów zajęła się Dorota Kołodyńska, peruki wyszły spod ręki wziętej fryzjerki Jagi Hupała, a kocich rysów doda twarzom aktorów makijaż wykonany przez Sergiusza Osmańskiego, wizażystę pracującego dla światowych marek kosmetycznych.

Daniel Wyszogrodzki przetłumaczył wiersze T.S. Eliota będące podstawą libretta. – Teksty zostały „oczyszczone” z angielskich realiów, poza tym zachowałem ich oryginalność, ale i tak każdą wersję musiała zaakceptować firma Faber & Faber z Nowego Jorku zajmująca się dorobkiem T.S. Eliota – mówi tłumacz.

40 aktorów zostało wybranych spośród prawie tysiąca osób w trakcie wieloetapowych castingów. Głównym elementem aktorskiej ekspresji w przedstawieniu jest taniec. Dynamiczny, wymagający niezwykłych predyspozycji ruchowych, wyczerpujący. Aktorzy już po pierwszych próbach wychodzili wykończeni, mówiąc, że dodatkowym wyposażeniem teatru powinna być butla z tlenem. Żeby lepiej zrozumieć kocią psychikę i sposób poruszania się, zaangażowano doktor weterynarii Beatę Rudnicką-Brzezny. Pokazywała aktorom film przedstawiający grupę jej domowych czworonogów, opisywała zachowania stadne, budowę ciała kota. – Charakterystyczne dla kotów jest to, że nie mają obojczyków, co sprawia, że poruszają

się tak płynnie i mogą się przeciskać przez wąskie przejścia. Poza tym kot, chodząc, nie porusza biodrami – mówi doktor.

JAK PIŁKARSKA STRATEGIA

Damian Kacperski, który przez lata tańczył w musicalu „Cats” w Hamburgu, pokazuje tancerzom z Romy, jak przełożyć te informacje na język ciała. Jak ruchem do złudzenia przypominającym kota oddać emocje. Strach – wypręża grzbiet w pałąk, palce zakrzywia na kształt pazurów, poddańczość – turla się po podłodze, lasi. Nawet leżeć nie pozwala swobodnie, bo koty układają się do snu w pozycjach nienaturalnych dla człowieka. Uczniowie starają się naśladować mistrza. Jeszcze raz, jeszcze, i jeszcze. Do znudzenia, bólu, wyczerpania.

Kolejnego dnia próby grupowe. Kartka z zapiskami choreografów – Iwony Runowskiej i Jacka Badurka – wygląda jak strategia ataku kreślona przez piłkarskiego trenera. Rozrysowane, kto gdzie wchodzi, w którą stronę się przemieszcza. 20 osób biega, skacze, tańczy, mijając się w pełnym pędzie o centymetry. Jedna pomyłka i po chwili połowa tancerzy leży na ziemi. Będzie kilka siniaków, na szczęście nic poważnego. W sali gorąco, powietrze nasycone dwutlenkiem węgla. Ale to jeszcze nie koniec. Ćwiczenia z synchronizacją z muzyką – dopiero tu zaczynają się schody. Trzeba śpiewać, nie zważając na to, że taniec odbiera oddech. I jednocześnie w myślach liczyć kroki. – Nie damy rady – szepczą aktorki po kątach. Cicho i krótko, bo choreograf Jacek Badurek zagania ich do sali, upominając spóźnialskich.

MIERZYMY SIĘ Z LEGENDĄ

Tymczasem trwają dalsze uzgodnienia z Londynem. Licencji na wystawienie tego spektaklu udziela się kilkuetapowo. Najpierw akceptowane są kostiumy, potem scenografia, wreszcie Brytyjczycy przyjeżdżają zobaczyć prace nad choreografią. Umowa może zostać zerwana w każdej chwili – a wówczas przepadłyby już wpłacone pieniądze.

Ale kolejne inspekcje przebiegają pozytywnie. Teraz nikt już się nie oszczędza, premiera 10 stycznia. Lekarz i dwóch masażystów czuwają nad tym, żeby wszyscy aktorzy dotrwali do niej bez kontuzji. Już zarezerwowano bilety na kilkanaście pierwszych przedstawień.

Dopiero na pierwszej próbie kostiumowej widać ogrom pracy charakterystatorów. Elementy scenografii w nadnaturalnych rozmiarach, oświetlenie jeszcze nie do końca zgrane, ale spektakl nabiera barw. – Mierzymy się z największą legendą w historii musicalu. To budzi respekt i treść, ale jest spełnieniem moich marzeń – mówi Kępczyński. A tak całkiem po cichu liczy na to, że być może na premierę przyjedzie sam Andrew Lloyd Webber.

KONRAD DULKOWSKI



TY

FOTOGRAFUJESZ, GDY ŚWIECI W OCZY.
FOTOGRAFUJESZ, GDY ŚWIECI Z TYŁU.
FOTOGRAFUJESZ, GDY ŚWIECI LEDWO CO.
BO ŚWIATŁO NIE BĘDZIE DYKTOWAĆ CI WARUNKÓW!



ADAPTIVE LIGHTING*
NIEAKTYWNE

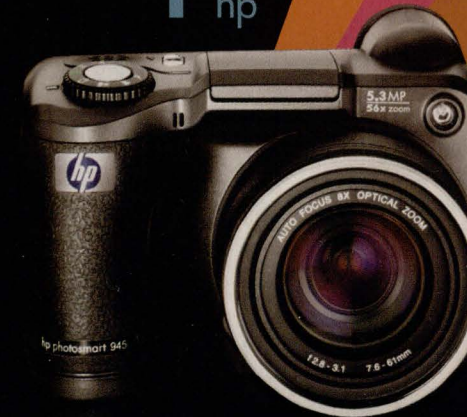
ADAPTIVE LIGHTING*
AKTYWNE

you + hp

PRZEDSTAWIAMY CYFROWY APARAT FOTOGRAFICZNY HP PHOTOSMART 945 Z TECHNOLOGIĄ HP ADAPTIVE LIGHTING*

Czy ciemno, czy jasno, Ty chcesz robić zdjęcia. Weź wtedy wysokiej klasy cyfrowy aparat HP Photosmart 945 z technologią HP Adaptive Lighting, dzięki której zawsze możesz liczyć na wyraźne, ostre fotografie. Nawet w warunkach dużego kontrastu wydobędziesz szczegóły, które zazwyczaj znikają w cieniu. Zbliż się! – ułatwi Ci to 56-krotny zoom całkowity oraz rozdzielczość 5,3 megapiksela. Dzięki ergonomicznej budowie masz teraz możliwość szybszej reakcji i świadomego tworzenia. Z każdym wciśnięciem migawki Twoje ujęcia będą coraz lepsze. Nie bój się ciemności. Bądź światłoczuły.

Sprawdź na stronie: www.hp.pl/foto lub zadzwoń: 0 800 122 622



Sytuacje przedstawione na zdjęciach są zaaranżowane. Photosmart jest zastrzeżonym znakiem handlowym Hewlett-Packard Company, L.P. © Hewlett-Packard Company, L.P.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

*Adaptacyjna technologia oświetlenia.

TYDZIEŃ

...STRAT:

Ukrywający się Saddam Husajn stracił wolność.

Stracili stanowiska prokuratorzy, którzy niesłusznie oskarżali Romana Kluskę o oszustwa podatkowe przy handlu komputerami.

Andrzej Lepper stracił możliwość skonfrontowania Adama Michnika z Aleksandrem Kwaśniewskim przed obliczem komisji badającej aferę Lwa Rywina.

Po raz kolejny mocno wiejący wiatr odbierał nam szansę dwudniowego oglądania Adama Małyszki w locie.

Jerzy Dudek znowu stracił miejsce w bramce Liverpoolu.

...I ZYSKÓW:

Unia Europejska zyskała co najmniej kilka miesięcy na ustalenie, jak ma wyglądać jej konstytucja.

Osuźci w Polsce zyskują co roku co najmniej 2,5 miliarda złotych na nielegalnym handlu paliwami.

Polska chce zyskać środki na zakup helikopterów, rezygnując z kontraktu na zakup amfibii.

Agencja reklamowa zyskiwała spore wynagrodzenie w dolarach, doradzając prezesowi Orlenu, jak nie stracić posady.

(MB)

MOŻE, ALE NIE ZAPUKA

ZBIERAJĄCY PIENIĄDZE NA SZCZYTNE CELE MAJĄ TERAZ PRAWO CHODZIĆ PO DOMACH.

Nowe przepisy o zbiórkach publicznych obowiązują już w grudniu – zabronione dotąd zbieranie pieniędzy po mieszkaniach jest już dozwolone. – Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić wolontariusza pukającego od drzwi do drzwi – mówi jednak Scholastyka Śniegowska, sekretarz generalny PCK. – Nachodzenie ludzi w domach może zwiększyć zebrane sumy, ale jednocześnie naraża kwestujących na nieprzyjemności – twierdzi. Także Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy nie będzie kołatać do prywatnych drzwi. – Nasze zbiórki odbywają się wyłącznie na ulicach oraz w sklepach, supermarketach, szko-

łach, zakładach pracy – wylicza Magdalena Dziołak, rzecznik prasowy WOŚP.

– Zawsze w tego typu sytuacjach podejmujemy ryzyko otwarcia drzwi oszustowi – ostrzega sierżant Klaudiusz Kryczka z Komendy Głównej Policji. Licząc się z tym, że do drzwi może zapukać fałszywy kwestarz, Kryczka radzi ostrożność: niebezpieczeństwo wepchnięcia nas do mieszkania zminimalizuje założony na drzwi łańcuch, zawsze możemy też zażądać pokazania przez wizjer identyfikatora ze zdjęciem, z nazwą organizatora zbiórki i z nazwą instytucji, która na nią zezwoliła. (MAMOŁ)

krótko

SPODEK WYLĄDOWAŁ

„Nagle tłumy”, czyli flash moby, pojawiły się tym razem w trzech miastach. W Lublinie przez kilka minut internauci skakali i robili pajacyki na placu Litewskim. Tłumna gimnastyka odbyła się też w Gdańsku przed jednym z centrów handlowych. Internauci katowiccy zebrali się na placu koło Skarbka, zwrócili się w stronę Spodka i wołając: „UFO!”, wskazywali palcami tę okrągłą budowlę. Choć flash moby odbyły się w różne dni, wszystkie zaczęły się między godziną 16 a 17.



Flash mob w Katowicach

Fot. A. GRYGIEL / DZIENNIK ZACHODNI

CYFRO-MAT

56 procent Polaków uważa, że władze powinny kierować się zasadami społecznej nauki Kościoła. To najwyższy wynik od kilkunastu lat

11 bomb lotniczych i 130 pocisków artyleryjskich znaleziono w mieszkaniu listonosza spod Tuszyna

Dwóch amerykańskich generałów i jeden admirał przyznali się do homoseksualizmu. Wszyscy są na emeryturze

4,1 miliona funtów kosztowała Scotland Yard wizyta Busha w Londynie

© Harpers Magazine – Tribune Media Services International 2003, © Time

DZIECKO CZY ZESTAW KOMÓREK?

EUROPEJSKI TRYBUNAŁ PRAW CZŁOWIEKA ROZPATRY SPRAWĘ, KTÓRA MOŻE ZMIENIĆ PRAWO ABORCYJNE W CAŁEJ EUROPIE

Thi-Nho Vo straciła dziecko w wyniku fatalnego błędu szpitala Hotel-Dieu w Lyonie. W 1991 roku była w piątym miesiącu ciąży. Nie mówiła wówczas po francusku, a lekarze pomylili ją z pacjentką o identycznym nazwisku. Zamiast rutynowej kontroli chirurg François Golfier rozpoczął zabieg ginekologiczny, któ-

ry uszkodził płód. Konieczna była aborcja.

Pani Vo zgłosiła sprawę na policję. Golfier został oskarżony o nieumyślne zabójstwo. W 1996 roku sąd skazał doktora na sześć miesięcy więzienia i grzywnę. Lekarz odwołał się do sądu najwyższego, który zwolnił go z odpowiedzialności. Sąd uznał, że płód nie jest istotą ludzką, nie podlega więc ochronie na mocy prawa karnego.

Adwokat pani Vo Bruno Le Griel chce teraz przekonać Trybunał, że

aborcja płodu narusza 2. artykuł Konwencji o Prawach Człowieka. – Będę prosił sąd o uznanie, że ludzkie życie zaczyna się od momentu poczęcia. Kto ośmieliłby się powiedzieć mojej klientce, że to, co straciła w wyniku błędu szpitala, to tylko zestaw komórek, a nie jej dziecko? – argumentuje Le Griel. Gdyby Trybunał przyznał mu rację, mogłoby to podważyć legalność aborcji nie tylko we Francji, lecz także w 44 pozostałych państwach, w tym także w Polsce. (RYB)

MOC W SZAFCE

Uczniowie mieszkający w internacie Technikum Leśnego w Rucianem-Nidzie zostali przylapani na przeprowadzaniu wyjątkowo ciekawego eksperymentu. W szafce, która znajdowała się w ich pokoju, hodowali konopie indyjskie. Dokładne instrukcje uprawy znaleźli w Internecie. Sprawa wydała się, gdy kierowniczkę internatu zaniepokoiło światło wydobywające się spod drzwi szafki. – Dla uskutecznienia uprawy uczniowie zainstalowali tam sztuczne oświetlenie – tłumaczy aspirant Mirosław Barański, rzecznik Komendy Powiatowej w Piszku. Uczniowie nie zostaną wydaleniem ze szkoły, ponieważ są na to za młodzi. Uprawa konopi indyjskich jest jednak przestępstwem, sprawa została więc skierowana do sądu. Interesujące, że kilka godzin przed wykryciem marihuany policjanci przeprowadzili w Technikum Leśnym pogadankę z uczniami na temat niebezpieczeństw związanych z narkotykami.

krótko

Asp. Barański i marihuana z internatu



Fot. MAREK TRUSZKOWSKI

krótko



Fot. R. KRZANOWSKI / PICTURES

CO MOŻE 500 ZŁOTYCH

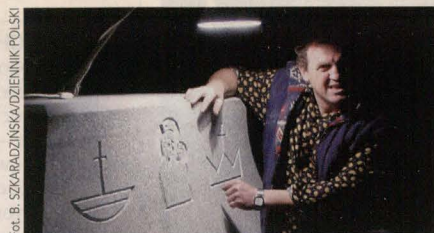
Warszawskie centrum handlowe Factory na jeden dzień zapelniono się – za sprawą nietypowej akcji promocyjnej – rozneglizowanymi klientami. Co godzina pięć osób, które zgłosiły się odziane w kostium kąpielowy, mogło wygrać bon na zakupy o wartości 500 złotych. Pierwsi chętni (na razie ubrani) stali przed sklepem już od drugiej w nocy. W sumie zgłosiło się kilkudziesięciu chętnych, głównie młodych osób. Czy nie czuli się skrępowani? Nie, przecież tyle samo pokazują na plaży – wyjaśniali. Niektóre dziewczyny obawiały się, że mogłoby je zobaczyć koledy ze szkoły. Mężczyźni mieli mniej zahamowań – gdyby mieli stwierdzać, że zdjęcie bielizny jest granicą, której by nie przekroczyły. A jeśli w grę wchodziłoby kilka tysięcy złotych? Tu już pojawiały się wątpliwości.

ZANIKANIE EUROPY

ZA 300 LAT ŚWIAT BĘDZIE ŚWIATEM OSIEMDZIESIĘCIOLATKÓW, A LUDNOŚĆ EUROPY SPADNIE O POŁOWĘ

Opracowany na zlecenie Organizacji Narodów Zjednoczonych raport prognozuje ludność świata w 2300 roku. Ta najdalej, jak do tej pory, wybiegająca w przyszłość prognoza nie jest zbyt optymistyczna. W 2300 roku na świecie będzie żyło dziewięć miliardów osób – co czwarta w Afryce. Europejczykom nie grozi wymarcie, ale jeśli będzie się nas rodzić tak mało jak dotychczas, populacja 28 krajów, w tym Polski, zmniejszy się nawet o 90 procent.

Wzrost zaludnienia świat będzie zawdzięczał nie liczbie urodzin, ale długowieczności. Kobiety zamiast 72 dożyją 97 lat, mężczyźni będą żyć przeciętnie tylko o dwa lata krócej. Świat się zestarzeje, coraz mniej będzie dzieci. W skali globu trzy razy więcej ludzi powyżej sześćdziesiątki i o połowę mniej poniżej 15. roku życia oznacza, że zamiast siebie i swoich dzieci pracujący dorośli będą utrzymywać emerytów – więcej niż jednego na statystyczną dorosłą głowę. ZUS będzie miał twardy orzech do zgryzienia. (API)



Fot. B. SZKABAZIŃSKA / DZIENNIK POLSKI

Pokryty reliefami cokół w swojej symbolicznej nawiązując do chrześcijaństwa i historii Polski

WYŻSZY GIEWONT

OFICJALNA DELEGACJA GÓRALI POJECHAŁA DO WATYKANU W ŚLAD ZA DWUTONOWYM COKOŁEM, NA KTÓRYM STANĄŁ GRANITOWY GIEWONT

Rzeźbę przedstawiającą Giewont górale podarowali Pałacu przed dwoma laty z okazji stulecia umieszczenia krzyża na prawdziwej górze. Teraz do Watykanu trafił cokół – do podstawienia pod Giewont. Dzięki temu wysokość rzeźby sięgnie 2,5 metra.

Fundament jest darem całego Podhala ofiarowanym Pałacu przez Sanktuarium Matki Bożej na Krzeptówkach. Tym razem okazją jest zakończenie obchodów 25-lecia pontyfikatu Jana Pawła II. Wewnątrz cokołu znajduje się tuba z „relikwiami polskiej ziemi”: węglem z kopalni Piast, solą z Wieliczki, fragmentem tysiącletniego dębu, bursztynem (darem Marka Biernackiego, byłego ministra spraw wewnętrznych) oraz kamieniem ze szczytu Giewontu.

Wykucie w granitowym głazie ze Strzegomia ryby i gołębka, mieczy grunwaldzkich i radła, orła piastowskiego oraz Matki Boskiej Częstochowskiej zajęło zakopiańskiego rzeźbiarza Markowi Szali zaledwie miesiąc. Artysta osobiście dostarczył cokół do Watykanu. (PAKRA)

teraz Będziesz Mieć Więcej

Powodów, dla których chciałbyś mieć swoje BMW, jest bardzo dużo. Teraz – wraz z modelem, jaki wybierzesz w salonie BMW, otrzymasz w cenie auta coś więcej... Zobacz sam, wybór jest naprawdę interesujący:

Pakiet serwisowy BMW Service Inclusive

Udział w profesjonalnym szkoleniu kierowców BMW Fahrer-Training

Pełne roczne ubezpieczenie OC, AC, NW – firmy Allianz

Równowartość w PLN jednego z powyższych elementów

Oferta specjalna



Radość z jazdy

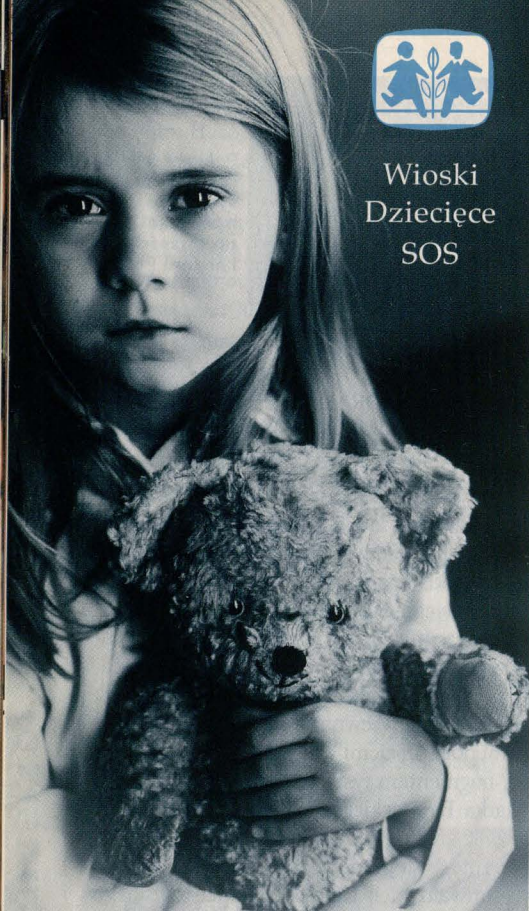
www.bmw.pl

Alternatywnie leasing 105%

Oferta obejmuje większość modeli z rocznika 2003. Szczegóły u Dealerów BMW. Infolinia: 0-801 BMW BMW czyli 0-801 269 269 lub 0-502 BMW BMW czyli 0-502 269 269



Wioski
Dziecięce
SOS



każde
dziecko
powinno
mieć mamę

każde dziecko
może mieć mamę

Trudno sobie wyobrazić życie bez mamy. Ale dla 28 000 dzieci w Polsce jeszcze trudniej wyobrazić sobie, jak to jest ją mieć. Wioski Dziecięce SOS powstały, by dać tym dzieciom szansę na prawdziwy dom, z mamą i rodzeństwem. Dom, który da im siłę i odwagę, by samodzielnie radzić sobie w życiu, kiedy już dorosną.

I Ty możesz pomóc.

Każda, nawet najmniejsza wpłata pomoże nam w budowie naszej Wioski, w której znajdzie mamę, dom i rodzinę setka dzieci.

www.sos.most.org.pl

nasze konto: 31 1060 0076 0000 3210 0002 6400

krótko

DACH ZA KRATKAMI

Bezdomny z Ostrowca Świętokrzyskiego już w połowie grudnia zadbał o dach nad głową na święta. Wszedł do banku z torbą na ramieniu i zażądał od kasjerki pieniędzy. Groził wysadzeniem budynku, ale ochronie udało się zająć mężczyznę aż do przyjazdu policji. Bezdomny z ulgą oddał się w jej ręce. – Twierdził, że chce wrócić do więzienia na zimę – powiedziała nam podkomisarz Ewa Malowańska z Komendy Powiatowej Policji w Ostrowcu Świętokrzyskim. W worku zamiast ładunku wybuchowego mężczyzna miał przygotowane rzeczy osobiste i jedzenie. Przedświąteczne życzenie „terrorysty” zostanie spełnione – prokuratura postawiła mu zarzut usiłowania rozboju, za co można trafić za zaciszne kratki nawet na 12 lat. Mężczyzna, na swoje nieszczęście, przed kilkoma tygodniami został zwolniony z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za molestowanie seksualne.

GRUBE RYBY WYPŁYWAJĄ Z CIENIA

DOTARLIŚMY DO PLANÓW SPĘDZENIA WIGILII PRZEZ POZOSTAJĄCE ZWYKLE W GŁĘBOKIM CIENIU (A PRZEZ TO INTERESUJĄCE WSZYSTKICH) GRUPY FORMALNE I NIEFORMALNE. DZIĘKI UJAWNIENIU PRZEZ „PRZEKRÓJ” TYCH PLANÓW KAŻDY MOŻE POCZUĆ SIĘ JAK POLSKA GRUBA RYBA – WYSTARCZY SKORZYSTAĆ Z GOTOWYCH SCENARIUSZY

WIGILIA GRUPY TRZYMAJĄCEJ WŁADZĘ (GTW),

czyli jak jeść karpia, nie puszczając władzy

Planująca zorganizowanie wigilii GTW najpierw typuje ze swego grona osobę, która ma zdobyć karpia. Osobnik ten (dobrze, żeby sam był grubą rybą) idzie na bazar (w Grecji powiedzieli by kiedyś, że „idzie na agorę”) i stara się załatwić, co trzeba. Od GTW domaga się pięciu procent ceny za fatygę, jeśli karpia trzeba będzie samemu ogłuszyć. Jeśli karp protestuje,

przedstawiciel GTW ucisza go, stosując jeden z wielu sposobów, na przykład powodując odebranie karpioniowi premii kwartalnej.

Zdobycznego karpia zawiąza w gazety (lub czasopisma) i przynosi na wigilię. Podniosły nastrój chwili udziela się wszystkim. – Jaka wspaniała atmosfera – mówi ktoś w koszuli w kwiatki. – A jaka boska! – zauważa ktoś inny.

Po usmażeniu karpia GTW zasiada do stołu. Ponieważ wszyscy pamiętają, jak wieczór może się skończyć, każdy uważa, aby nie popełnić błędu technicznego i nie połknąć ości.

Kiedy jednak kogoś rozboli brzuch i musi pójść do WC (zbieżność z czymikolwiek inicjalami przypadkowa), należy pamiętać, że jest w wyczaju, by podzielić się z WC jakąś małą opłatką.



WIGILIA KONTRWYWIADU, czyli co się dzieje z wędrowcem

Jak przystało na kontrwywiad, tajni agenci urządzają kontrwigilię. Przebierają się za kontr-Mikołajów i wychodzą na miasto odbierać prezenty podejrzanym o branie łapówek. Napotkane na stołach karpie faszeryją mikrofonami (podłuch nie zagłuszy ryba, bo nie mówi) i znaczą opłatki atramentem sympatycznym (bo w takim dniu wszyscy są dla

siebie mili). W szklankach z kompotem z suszonych sliwek starają się wywołać burzę, która ma odwrócić uwagę od tego, co dzieje się z wyczekiwany od wieków wędrowcem (tym, na którego w domach czeka puste krzesło).

Ponieważ taki osobnik jest potencjalnym szpiegiem, kontrwywiad zabiera go na przesłuchanie płyty z kolędami. Jeśli

wędrowiec-szpieg nadal nie chce mówić, straszy się go odebraniem uszek. Gdy już wszystko się wyjaśni, wędrowca trzeba uspokoić, że chodziło o uszka od barszczu, a nie jego własne. Wszyscy razem śmieją się z dobrego żartu.

W czasie akcji kontrwigilijnej kontrwywiadu nie ma oczywiście mowy o udzielaniu wywiadów. (zeb. MAX)

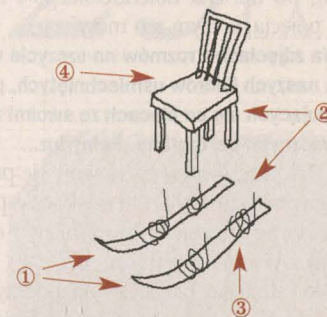


WZBOGACANIE BOŻEGO ŚWIATA

PO SZALE JEDZENIA NADCHODZI MOMENT, W KTÓRYM WARTO ZRZUCIĆ Z SIEBIE SKONSUMOWANE KALORIE. POMOGĄ W TYM SYMPATYCZNE ZBIOROWE ZABAWY, DZIĘKI KTÓRYM NIE ZAPOMNIAMY O BOŻYM ŚWIECIE, ZA TO WZBOGACIMY GO O KILKA UŻYTECZNYCH PRZEDMIOTÓW

PRZERABIAMY NARTY NA SAMOLOT DLA RZĄDU

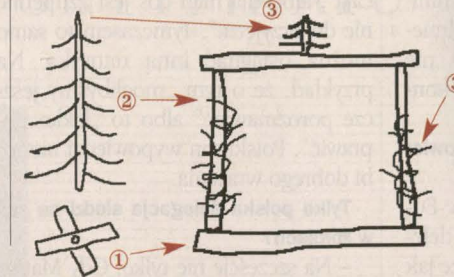
1. Bierzymy dwie stare narty. Jeśli nie mamy nart, mogą to być dwa podłużne kawałki sklejk. Narty (lub sklejki) kładziemy na podłodze.
2. Na nartach (lub sklejce) stawiamy wygodne krzesło. Może być to wolne krzesło od wigilijnego stołu, skoro jak zwykle nie zajął go niespodziewany wędrowiec. W nogach krzesła wywiercamy (za pomocą zestawu „mały inżynier” kupionego dziecku pod choinkę) otwory, przez które przepuszczamy mocny drut (zamiast drutu możemy użyć szprychy rowerowej). Drut (lub szprychę) mocno oplatamy wokół narty (lub sklejki).
3. Spód nart (lub sklejki) smarujemy pozostałym na talerzach tłuszczem po wigilijnym boczkowi i salcesonie. Kościół zaakceptował już te potrawy.
4. Sadzamy VIP-a na krześle, przypinamy pasami bezpieczeństwa (może być pasek od spodni, który wypchanym brzuchem nie będzie na razie potrzebny) i zawozimy na skocznię. Jeśli VIP będzie chciał polecieć do Brukseli, potrzebna będzie – stosując branżową terminologię – skocznia K-1200000. Potem dzwoniemy do Brukseli, żeby ostrzec, że nasz VIP już leci.



ROBIMY Z CHOINKI BRAMĘ DO UNII

Po świętach stajemy przed dylematem: co zrobić z choinką, z której opadła już większość igieł? Skoro na wiosnę wchodzimy do Unii Europejskiej, zbudujmy z choinki prowadzącą doń symboliczną bramę. Do Berlina nam najbliżej (co prawda tylko geograficznie), niech więc przypomina Bramę Brandenburską.

1. W duchu listu biskupów polskich do niemieckich przepraszamy się z krzyżakiem spod choinki (wykonanym uprzednio z dwóch kawałków sklejki). Rozmontowany krzyżak posłuży nam jako podstawa i górne zwieńczenie bramy.
2. Pień strugamy z gałązek, tniemy go na kawałki równej długości, z których ustawiamy kolumny bramy (jeśli ktoś zapyta, dlaczego każda kolumna bramy ma różną grubość, udawajmy Greka).
3. Odcięte wcześniej gałązki posłużą za dekorację. Mocujemy je do kolumn i kawałków krzyżaka za pomocą drutu (może być szprycha rowerowa), a czub z choinki mocujemy tam, gdzie czerwonoarmiści zatknęli kiedyś swój sztandar. Tak wykonana brama spełnia wszelkie ekologiczne normy czystości Euro 4231/89540673/2004. (zeb. MAX)



CO ROKU PRZED WIGILIĄ KAŻDY Z NAS STAJE PRZED POWAŻNYM PROBLEMEM, KTÓRY JEST JEDNAK TEMATEM TABU: **JAK HUMANITARNIE ZABIĆ KARPIA?** CZYTELNIKOM „PRZEKROJU” RADZA SPECJALIŚCI

TRZY SMUTNE SPOSOBY

ŚLAWOMIR PILARSKI,
KUCHARZ Z HOTELU SHERATON

Są trzy sposoby. Można po prostu wyjąć karpia z wody i czekać, aż uśnie. Niektórzy wolą jednak jednym szybkim ruchem obciąć rybie głowę tasakiem. Trzecia metoda jest, moim zdaniem, najpopularniejsza. Też ją preferuję. Lewą ręką należy zanurzyć w wodzie, a potem w soli. Sól powoduje zwiększone tarcie, więc ryba nie ma szans wysłiznąć nam się z uchwytu. Ręką w soli podnosimy karpia do góry i uderzamy młotkiem albo tłuczkiem między oczy. Tylko taki mocny cios gwarantuje, że karp nie przeżyje.

ANDRZEJ KOŁYŹCEK, OD 40 LAT HODUJE KARPIE W MIĘDZYRZECZU DOLNYM

Najlepiej ogłuszyć rybę uderzeniem w głowę młotkiem lub tłuczkiem. Gdy karp jest nieprzytomny, trzeba poderżnąć mu gardło. Następnie, dla pewności, że zablokowane zostały wszystkie ważniejsze połączenia nerwowe, wbić nóż w kręgosłup na początku płetwy ogonowej.

RAFAŁ KOSNO Z FEDERACJI ZIELONYCH W BIAŁYMSTOKU

Jestem przeciwnikiem jedzenia mięsa i ryb. Gdybym jednak miał zabić karpia, prawdopodobnie wyjąłbym go z wody i czekał, aż uśnie. Nie ryzykowałbym zabijania młotkiem z dwóch powodów. Po pierwsze, można za pierwszym razem nie trafić i zwiększyć męczarnię ryby, a po drugie, zawsze przy tym brudzi się łazienka. (saj)

POŻYCZ SOBIE WESOŁYCH ŚWIĄT

W Raiffeisen Bank Polska S.A. czeka na Ciebie specjalny kredyt zimowy. Do 10 000 złotych z wyjątkowo niskim oprocentowaniem – **już od 12%*** Bez poręczycieli i zbędnych formalności.

Minimalna wymagana wysokość zarobków – 2 000 zł brutto. * Rzeczywista roczna stopa oprocentowania: 14,8%.

zadzwoń: 0 801 602 801*
www.raiffeisen.pl



Raiffeisen Bank Polska S.A.

* Koszt połączenia – cena 1 impulsu + VAT wg taryfy TP S.A. za każdą rozpoczętą minutę połączenia



ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOBIŃSKIM Z FUNDACJI UNIA I POLSKA

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

PONURAKI Z NASZEJ PAKI

POLSCY NEGOCJATORZY NIE ZAWSZE POTRAFIĄ SIĘ ZACHOWAĆ. MATERIE, O KTÓREJ DYSKUTUJĄ, TRAKTUJĄ JAK POLE BITWY, GDZIE TRZEBA WYGRAĆ ZA WSZELKĄ CENĘ. W EUROPIE – NASZYM WSPÓLNYM DOMU – TAK SIĘ NIE ROZMAWIA

KRZYSZTOF BOBIŃSKI, NIEZALEŻNY DZIENNIKARZ I PUBLICYSTA, W STANIE WOJENNYM KORESPONDENT PRASY ZACHODNIEJ W POLSCE. WSPÓŁPRACOWAŁ Z „FINANCIAL TIMESEM”, OBECNIE WICEPREZES FUNDACJI UNIA I POLSKA. LAUREAT NAGRODY WEIMARSKIEJ ZA 2003 ROK

MICHAŁ WÓJCIK: Jak wypadają nasi negocjatorzy w rozmowach nad przyszłością i kształtem Europy?

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: Zależy kto. Jan Kułakowski bardzo dobrze się czuł w Brukseli. To jest jego miasto, jego podwórko – miał niesamowitą zdolność nawiązywania kontaktów. Jana Truszczyńskiego ceniono w Brukseli za profesjonalizm. Mamy mały problem z ministrem spraw zagranicznych Włodzimierzem Cimoszewiczem. On albo nie chce, albo nie potrafi nawiązywać kontaktów z partnerami.

Nie poklepie po plecach, nie powie: „Cool, maaan...”.

– Na zebraniach rady ministrów Europy polska delegacja siedzi koło delegacji Francji. Francuzi mówili mi, że jak przychodzą rano do pracy i zasiadają koło Polaków, to od ministra Cimoszewicza aż bije chłodem. Nie ma z nim ludzkiego kontaktu. Nie pyta: „Co słyhać?”, „Co na śniadanie?” ani „Jak ci się spało?”. Siedzi z nosem w papierach, a to od razu powoduje, że atmosfera nie jest przyjazna. Pamiętajmy, że te rady ministrów odbywają się raz na miesiąc. Ekipy traktują się jak „sami swoi”: nawiązują kontakty, podchodzą do siebie, plotkują. To w czasie przerw.

W czasie obrad z kolei minister Cimoszewicz od razu, od pierwszego zdania, formułuje polskie stanowisko w sposób bardzo postulatywny. Pewien Niemiec powiedział mi, że oni nigdy na tym forum nie stawiali spraw w ten sposób. Tak się po prostu nie robi. Polski głos jest zawsze roszczeniowy. To są żądania. Polacy albo „absolutnie odrzucają”, albo dla nich coś jest „zupełnie nie do przyjęcia”. Tymczasem to samo można osiągnąć inną retoryką. Na przykład, że o tym „moglibyśmy jeszcze porozmawiać” albo to „lekko poprawić”. Polski ton wypowiedzi nie robi dobrego wrażenia.

Tylko polska delegacja siedzi na sali w zbrojach?

– Na szczęście nie tylko. Gdy Margaret Thatcher w latach 80. walczyła o pieniądze, to doprowadzała partnerów wręcz do szału. Był taki słynny incydent, gdy wydano specjalną kolację, aby zmiękczyć trochę Anglików i poprawić nieco atmosferę rozmów. Żelazna dama wykorzystwała kolację tak, że wstała i przemawiała bite trzy godziny. Reakcja była straszna. Kanclerz Niemiec Helmut Schmidt udawał, że śpi, a w jego oczach, jak wspominał pewien niemiecki dyplomata, była autentyczna nienawiść.

Podobne problemy stwarzał premier John Major, który w tym europejskim towarzystwie po prostu źle się czuł. Dyplomaci angielscy robili wszystko, by zmienić jego nastawienie. W trakcie przerw kierowali go w stronę innych delegacji. Niestety, Major wołał towarzystwo angielskiej obsługi technicznej. Z rodakami mógł pogadać o krykiecie.

Pogaduszki to nie jest polska specjalność. Polak o głupotach gadać nie lubi. My mamy wyższe cele.

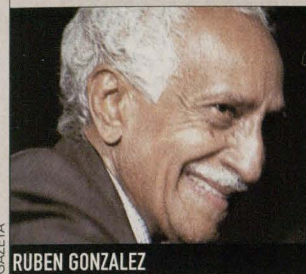
– Może to kwestia nieznamości języka. Jan Truszczyński potrafił rozwiązywać krzyżówki po holendersku, a premier Miller nie mówi, niestety, dobrze po angielsku. Poza tym pamiętajmy, że w takich rozmowach na szczycie spotykają się sami premierzy, szefowie delegacji. Był taki legendarny wręcz incydent z Johnem Majorem w roli głównej. On nie bardzo się orientował w sprawach unijnych i na szczycie w Maastricht non stop potrzebował porad. W jego delegacji był świetny dyplomata John Kerr. Członkowie delegacji mogli na chwilę wchodzić i podawać swoim szefom jakieś dokumenty. John Kerr wchodził zatem co chwila, udawał, że podaje papiery, przy czym niby niechętny upuszczał jakieś kartki. Gdy się po nie schylał, zniknął pod stołem. Wszystko szło dobrze, Kerr spod stołu podpowiadał Majorowi, co inni przywódcy mówią między sobą. Rypnęło się, gdy zaczął mówić Holender. Kerr przyznał się z ukrycia, że nie może pomóc Majorowi, bo nie zna holenderskiego i nie ma pojęcia, o czym ten mówi.

Na zdjęciach z rozmów na szczycie wiadać naszych liderów uśmiechniętych, poklepujących się po plecach ze swoimi zagranicznymi partnerami. Pełny luz...

– Tak rzeczywiście zachowuje się prezydent Kwaśniewski. On doskonale pasuje do tej atmosfery. Jest lubiany i ceniony. A inni? Nie może być tak, że Polska strategia negocjacyjna podszyta jest kompleksem kraju, który miał wiele niepowodzeń w przeszłości. Nasi politycy sprawiają takie wrażenie, jakby ciągle się obawiali, że wszyscy dybią na nasze dobro. Powinno do nich wreszcie dojść, że znajdujemy się w niesamowitym momencie dziejowym: jesteśmy bezpieczni, mamy przyjaciół i to trzeba wykorzystać. A nie zachowywać się tak, jakbyśmy czekali, że zaraz ktoś da nam w mordę.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WÓJCIK

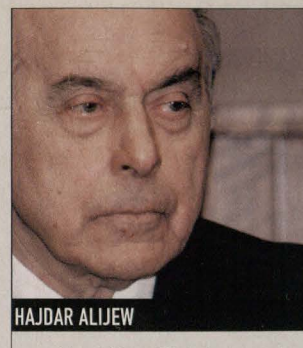
ZMARLI



RUBEN GONZALEZ

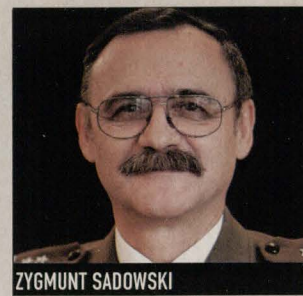
Fot. ALEXANDER NATRUSKIN/REUTERS/FORUM, AP (2), GRAZYNA MAKARA/AGENCJA GAZETA

Ruben Gonzalez, 84, kubański pianista, jeden z muzyków Buena Vista Social Club. W młodości studiował jednocześnie medycynę i muzykę klasyczną, planując pracę lekarza w dzień i muzyka w nocy, jednak w wieku 22 lat postanowił zostać po prostu muzykiem. W latach 60. dołączył do zespołu Enrique Jorrina, z którym pracował przez 25 lat. Gdy w 1996 roku zamierzał przejść na muzyczną emeryturę, gitarzysta Ry Cooder zaproponował mu udział w Buena Vista Social Club. Dwa lata później zespół zdobył międzynarodową sławę oraz nagrodę Grammy dla weteranów muzyki, nazywanych na Kubie superdziadkami. Ry Cooder pisał o Gonzalezie: „Najwspanialszy solowy pianista, jakiego kiedykolwiek słyszałem”.



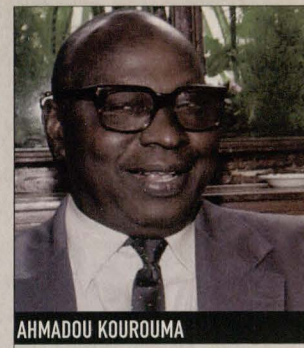
HAJDAR ALIJEW

Hajdar Alijew, 80, były prezydent Azerbejdżanu. Przez przychylnych mu rodaków nazywany „szachem”, „monarchą” lub „Babą” (dziadkiem), przez wrogów krytykowany za autorytaryzm. W 1967 roku został szefem KGB w Azerbejdżanie, od 1969 roku był I sekretarzem partii komunistycznej w republice. W latach 80. popadł w konflikt z Michaiłem Gorbaczowem i usunął się w cień. Powrócił jako prezydent w 1993 roku, gdy Azerbejdżan stał na krawędzi wojny domowej. Prześladował opozycję, obsadzał najwyższe stanowiska rodziną. Jednak w polityce zagranicznej utrzymywał bliskie kontakty z USA i Turcją, co zapewniło mu spokojne rządzenie bogatym w kaukaską ropę krajem. Stworzył dynastię: w październiku tego roku, po sfalszowanych wyborach, prezydentem został jego syn İlham.



ZYGMUNT SADOWSKI

Zygmun Sadowski, 57, generał broni. Ukończył Oficerską Szkołę Wojsk Pancernych w Poznaniu oraz Akademię Sztabu Generalnego i Akademię Wojsk Pancernych w Moskwie. Był pierwszym polskim dowódcą duńsko-niemiecko-polskiego Korpusu Północny Wschód w Szczecinie. – Objęcie tego stanowiska przez Polaka dowodzi, że nasi oficerowie są gotowi do zajmowania wysokich stanowisk w strukturach NATO – mówił Bronisław Komorowski. W 1994 roku generał Sadowski dowodził pierwszymi ćwiczeniami „Partnerstwo dla pokoju” w Biedrusku. Jako dowódca 11. Dywizji Kawalerii Pancernej imienia króla Jana Sobieskiego zaprojektował honorową odznakę swej dywizji – żółtą jedenastkę na kole zębata. Był wymieniany wśród kandydatów na dowódcę dywizji w Iraku.



AHMADOU KOUROUMA

Ahmadou Kourouma, 76, pisarz z Wybrzeża Kości Słoniowej, z plemienia Malinke. Pisał po francusku, bo język jego plemienia nie ma formy pisanej. Pierwsza powieść „Słońce niepodległości” powstała w 1960 roku, ale w druku ukazała się dopiero osiem lat później, gdy wygrała konkurs literacki Uniwersytetu w Montrealu. Literaturoznawcy twierdzą, że świat musiał dojrzeć, by zrozumieć Kouroumę. Wiele terminów narzeczka Malinke nie istnieje w innych językach, na przykład „zjedzenie duszy martwego człowieka”. We francuskim kodeksie karnym nie ma takiego przestępstwa, ale u Malinke jest ono możliwe. Kourouma stworzył literacką odmianę języka francuskiego przystosowaną do opisywania rzeczywistości i obyczajów plemienia Malinke.

25 LAT PONTYFIKATU

JEDYNE TAKIE WYDANIE NA ŚWIECIE



☛ Znany z filmów „Różowa Pantera” aktor **BLAKE EDWARDS** dostanie honorowego Oscara

za całokształt twórczości. Ceremonia odbędzie się 29 lutego

cena tylko 14,99 zł

TOM VII już w kioskach i księgarniach

sprzedaż wysyłkowa PRODOKS infolinia 0 801 27 27 50



a właściwie
to...



I po Saddamie...

Chciałbym teraz słyszeć myśli Saddama Husajna. Zobaczyć jego oczami żołnierzy amerykańskich ostrożnie odchylających deski prowizorycznego „dachu” jami-kryjówek, ostatniego pałacu wolnego dyktatora. Czy w jego oczach błysnęła ulga? Usłyszeć jego uszami odległe wybuchy petard i okrzyki radości irackiej ulicy. I nade wszystko poznać myśli człowieka, który wie, że wszystko skończone, a on sam już na zawsze będzie tylko potworem. Niczym więcej, bo już nigdy nie będzie miał państwa, które zmusi swoich obywateli do bałwochwalczego kultu jego przywódcy. Każdy z nas coś kiedyś stracił: pracę, żonę, przyjaciela, sens życia, nadzieję. A jak się czuje człowiek, który stracił budowany latami, za ciężkie pieniądze, gmach uludy, że był „ojcem narodu”, „sprawiedliwym sędzią”, „pierwszym bojownikiem z amerykańskim imperializmem”? Jakie pytania kołaczą się w jego

głowie? Co ja zrobiłem? A może: Co oni mi zrobili? Czy raczej jego głowa wypełniona jest bezrefleksyjnym instynktem zagonionego zwierzęcia? Czy będzie próbował popełnić samobójstwo, bo tylko w ten sposób mógłby uciec przed potwornym sobą? Albo raczej zabijać innych wokół siebie, gasić ich pełne pogardy oczy? Co dzieje się w głowie człowieka tak dalece skończonego? Czy to mogłoby być też nauczka dla mnie, dla nas? Ktoś powie: przecież my nikogo nie zabiśmy, nie robiliśmy tych wszystkich potworności! Zgoda, ale czy i nam czasem, tak jak jemu zawsze, nie wydawało się, że jesteśmy bezkarni? Że unikniemy jakichś konsekwencji własnego postępowania? Dlatego chciałbym teraz słyszeć jego myśli – jako przestrozę.

PIOTR NAJSZTAB

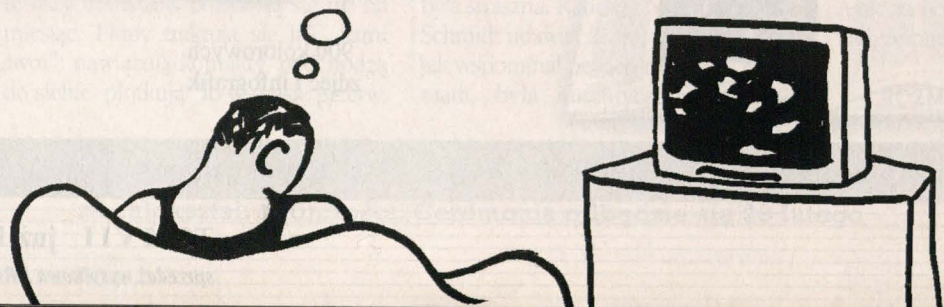
Powoli kończą się kolejne rzymskie igrzyska. Arena – inaczej niż przed wiekami – obejmuje dziś całe kraje, a gladiatorów zastąpiła 130-tysięczna armia i kilka tysięcy irackich cywili. Ale sens igrzysk pozostaje wciąż ten sam. Amok, ekstaza i chore podniecenie w zamian za poparcie dla fundatora spektaklu. Inna jest tylko skala. Kiedyś wystarczyła rzeź na miejskim stadionie, dziś, by zdobyć serca i poklask milionów, trzeba stworzyć globalne wydarzenie, by masy mogły je skonsumować. Na przykład schwytanie dyktatora. To dla nas go złapano. Żebyśmy się czuli lepiej, bezpieczniej. Byśmy pamiętali, jak bardzo nasze szczęście zależy od imperium. W zamian za podziw Ameryka chętnie dostarczy nam wrażeń: interwencja wojskowa w suwerennym kraju, egzekucja synów dyktatora

i ich pośmiertne zdjęcia, a teraz pojmanie kudłatego Saddama, który zamiast dowodzić rebelią, ukrył się przed Bushem w ziemnej norze. Tryumfalizm Amerykanów sięgnął takich wyżyn, że gdyby tylko było to politycznie poprawne, nadziałiby głowę Saddama Husajna na włócznię i wystawili przed biurem swojego namiestnika. Jakby tego było mało, rozradowanemu zwycięstwem imperium wtórują podniecone media. Nie chodzi tu o współczucie dla „biednego” zbrodniarza ani o podważanie zwycięstwa sprawiedliwości, jakim bez wątpienia jest schwytanie Saddama Husajna. Oburzający jest polityczny kapitał, który Ameryka bezwstydnie zbija na łapaniu cudzych dyktatorów. Co z tego, że broni masowego rażenia nie było nawet w Husajnowej kryjówece. Grunt to wrażenie, że ta żalosna wojna na coś się zdała. Igrzyska przyniosły skutek. Wrogów imperium Rzymianie zwozili w kajdanach do stolicy. Czekamy na egzekucję pod Kapitołem i tryumfalny przejazd rydwanu Busha ulicami Waszyngtonu. To też ze smakiem skonsumujemy. Jak każda rzymska prowincja..

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

WILHELM SASNAL

GDZIE JEST TEN FRANCOWATY PILOT?
PRZECIEŻ NIE BĘDĘ SIĘ GIMNASTYKOWAĆ
W DWUDZIESTYM PIERWSZYM WIEKU,
ŻEBY PROGRAM ZMIENIĆ.



Mieczysław Jastrun

(1903–1983)

Boże Narodzenie

Wciąż oni

Noc jest wielka

Wciąż oni

Stukają cicho w szybę

A tu jest

Boże Narodzenie

W żłobie leży

Choinka świeci w śniegu

Wracają z różnych lat i stron

W spłowiałej odzieży

I znają każdą z dawnych strun

Co rok – co wiek

Boże!

Zasłoń nas przed historią

Zbaw nas

Ty, który płaczesz w psalmach

Nagich rzek.

5 IV 1957–1980

(z tomu „Fuga temporum”, 1986)



CO PAN MI CHCE POWIEDZIEĆ?

Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego ANDRZEJ BARCIKOWSKI zajmuje się sprawami tak tajnymi, że nawet kiedy coś ujawnia, to robi z tego tajemnicę. Mimo to zdradził Piotrowi Najszlubowi, co sądzi o lobbystach, dziennikarzach, kupowaniu ustaw i zagrożeniu terrorem w Polsce

ANDRZEJ BARCIKOWSKI MA 48 LAT. SKOŃCZYŁ POLITOLOGIE NA UNIWEKSYTECIE WARSZAWSKIM. W 1983 ROKU OBRONIŁ PRACĘ DOKTORSKĄ. W KOMITECIE CENTRALNYM PZPR OD 1984 ROKU KIEROWAŁ DZIAŁAMI ANALIZ I PROGRAMÓW POLITYCZNYCH. W LATACH 1990-1994 BYŁ RZECZNIKIEM PRASOWYM POLSKIEGO ODDZIAŁU BRYTYJSKIEGO KONCERNU INFORMATYCZNEGO ICL. ZOSTAŁ SZEFEM ZESPOŁU DORADCÓW I SZEFEM GABINETU POLITYCZNEGO PREMIERA WŁODZIMIERZA CIMOSZEWICZA. OD 1998 DO 2000 ROKU PEŁNIŁ KIEROWNICZE FUNKCJE W WYDAWNICTWACH MUZA SA I MUZA EDUKACYJNA SP. Z O.O. (JEDNYM Z ZAŁOŻYCIELI MUZY BYŁ WŁODZIMIERZ CZARZASTY). POTEM PRACOWAŁ W BRE BANKU SA, BYŁ CZŁONKIEM KOLEGIUM URZĘDU ZAMÓWIENI PUBLICZNYCH I DZIAŁAŁ W KOMISJI ETYKI SLD. OD PAŹDZIERNIKA 2001 ROKU PEŁNIŁ FUNKCJĘ PODSEKRETARZA STANU W MSWiA. ZOSTAŁ SZEFEM UOP, A W CZERWCU 2002 ROKU SZEFEM AGENCJI BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. NIEDAWNO NA ZAMKNIĘTYM POSIEDZENIU SEJMU BARCIKOWSKI OSTRZEŻŁ, ŻE OBCE KONCERNY WYKORZYSTUJĄ DZIENNIKARZY W CELACH LOBBINGOWYCH, A OBCE WYWIADY WPŁYWAJĄ NA MEDIA, BY PRZEKAZYWAŁY NEGATYWNE INFORMACJE O DZIAŁALNOŚCI POLITYKÓW SLD.

– Jaki spór? On pisywał o sprawach, o których mówiłem, i ja mu nie odbieram tego prawa. Natomiast państwo ma prawo bronić się przed jednostronnymi interpretacjami różnych sytuacji. Powiedziałem Andrzejowi Kublikowi, że on, człowiek, który świetnie zna zagadnienia energetyczne, powinien wiedzieć, że to nie jest tak, że polskie firmy, na przykład PGNiG, mają szeroki wybór dostawców. W tym konkretnym przypadku dostawca ukraiński wskazał firmę, która ma dostarczyć gaz. I robienie z tego afery, mówienie o korupcji, mówienie o mafijnych powiązaniach, a były takie wątki w tekstach Kublika, jest moim zdaniem elementarnym nadużyciem.

Kiedy w grę wchodzi siła strony polskiej w negocjacjach na temat ceny gazu w przyszłości, to tworzenie przez niektórych lobbystów atmosfery afery jest osłabianiem pozycji negocjujących państwa na przyszłość w bardzo delikatnej dziedzinie. Pan pyta o kaca, a ja mogę powiedzieć, że efektem jest też wsadzenia kija w mrowisko lobbingu. Zaatakowano nas, MSWiA, moim zdaniem demagogicznie i na łamach niejednego pisma. Pisma piszą tak, aby było interesująco. Dostają materiały, piszą. Dziennikarze nie mają obowiązku ich weryfikować.

Jak to nie mają obowiązku? Co pan opowiada?

– To jest tylko kwestia warsztatu. Nie ma takiego prawnego obowiązku.

Oczywiście, że jest. W prawie prasowym, które nakłada na nas obowiązek weryfikacji informacji w kilku niezależnych źródłach. Panie ministrze, opowiadając w Sejmie o kłopotach z ustawą o grach losowych, wiedział pan, że szkuje się fala publikacji na ten temat?

– Wiedziałem, że jest firma, która chciałaby nadać szczególną głośność sprawie tej rzekomej łapówki dla posła SLD, bo taki huk i zamęt spowodują, że z wielką ostrożnością, by nie powiedzieć bojaźliwością, Sejm przystąpi – i to nie od razu – do kolejnej nowelizacji ustawy. Przykro mi, ale nie mogę mówić o szczegółach.

A Sejm planował kolejną nowelizację?

– Nowelizację, która szła w kierunku interesu publicznego. Komuś zależało na tym, żeby atmosfera wokół gier losowych to utrudniała...

Co to miałyby być za nowelizacja, kto miał ją zgłosić? To chyba nie jest tajemnica, a nic o tym nie słyszałem.

– O to właśnie chodzi, że to się dopiero rodzi, jej idea, i nie chcę w tej chwili o tym mówić, żeby nie być posądzonym o lobbowanie.

Trochę to wszystko niewiarygodnie brzmi. Jakaś firma chciała utraćć nowelizację, która się dopiero ma urodzić, i z tego powodu rozszalało się to, co się rozszalało? No, panie ministrze, co to za bajki?

– To nie są bajki. Sprawa śledztwa wokół domniemanej łapówki dla posła Jaskierni była znana od dawna i budziła

Uporał się pan już z kacem po swoim nocnym, tajnym wystąpieniu przed Sejmem?

– Rzeczywiście miałem kaca, ale dlatego, że bardzo tego nie chciałem. Uważam, że było to niepotrzebne. Wcześniej informowałem premiera, prezydenta o złych przejawach lobbingu, przed którymi państwo powinno się bronić. Inicjatywa, żeby informować o tym cały Sejm, była pochopna i upolityczniła to wystąpienie. W życiu publicznym najłatwiej sprzedają się prawdy czarne i białe, a ja mówiłem o rzeczach bardziej subtelnym.

Zaliczył pan jednak co najmniej lekką kompromitację. Bo myślę, że dla oficerów służb specjalnych pańskie wystąpienie było co najmniej dziwne i wbrew pewnym zasadom tajności, a dla opinii publicznej z kolei wyglądało to tak: rzucił pan parę oskarżeń, z których potem niewiele dało się wycisnąć. Ktoś pana do tego zmusił? Premier?

– Nie, sam problem, o którym mówiłem, istnieje. Mówi pan, że inaczej załatwia się takie sprawy w służbach specjalnych... Otóż służby specjalne mają obowiązek informowania o zagrożeniach. A to właśnie zrobiłem. Musimy przekroczyć sztywny krąg pewnej tradycji tajności. Byle tylko nie wejść w takie obszary, gdzie służby specjalne nie powinny być, zastępować innych organów państwa, nie bawić się w politykę. Granica tu jest oczywiście bardzo trudna do zdefiniowania i ja wiem, że mówię w tej chwili o sprawach bardzo delikatnych. Ale z całą pewnością nasza informacja i prewencja to nie jest złamanie ustawy o służbach.

No tak, ale pańskie wystąpienie sprowadziło się do oskarżenia między innymi dziennikarzy o uleganie wpływom lobbystów.

– Ale skąd pan wie, że ja oskarżyłem dziennikarzy? Posiedzenie było tajne.

Z pańskich późniejszych wypowiedzi, w których się pan z tego tłumaczył.

– Mówiłem, że dziennikarze mają pełne prawo do pisanja, mówiłem, ale też, że media są jednym z pól działania lobbystów. Przecież dzisiaj mamy w Polsce słabe państwo, silne media, silnych lobbystów, więc lobbyści działają poprzez media. Gdybym był dziennikarzem, też bym korzystał z materiałów, które dostarczają mi lobbyści, bo to jest normalny warsztat pracy. Nie oskarżałem dziennikarzy.

No to skąd potem pański publiczny spór z Andrzejem Kublikiem z „Gazety Wyborczej”? On twierdził, że wymienił pan jego nazwisko.

zainteresowanie, ale podchodzono do tego tak, jak sądzę warto byłoby podejść, z dużą ostrożnością. Nagle z dnia na dzień okazało się, że jest wielka afera, bo przewodniczący klubu SLD wziął 10 milionów łapówki.

Zostawmy posła Jaskiernię i to, czy wziął te 10 milionów dolarów, czy nie wziął...

– A pan wierzy, że wziął? Myśli pan, że wzięcie łapówki w wysokości 10 milionów dolarów to jest takie proste? To jest trochę tak jak z tymi 17 milionami od Agory!

Propozycja łapówki od Agory została nagrana. Chyba nie chce pan z tym dyskutować?

– To była prośba, propozycja wręczenia.

Ale ta kwota padła, jest nagrana. Ktoś wyobrażał sobie, w tym wypadku Lew Rywin, że istnieją takie pieniądze, które można z jednego miejsca w drugie przenieść. Natomiast w przypadku ustawy o grach losowych inna sprawa jest ciekawsza. I jestem ciekaw, czy pana też to interesuje. Czy szukał pan odpowiedzi na pytanie, kto zgłosił tę poprawkę ograniczającą opodatkowanie do 50 euro?

– Nie, dlatego że ABW nie zajmuje się pracami parlamentarnymi. To ma wyjaśnić marszałek Sejmu. Była w tej sprawie „biała księga”, która – jak wiemy – nie wyjaśniała wszystkiego do końca. I źle się stało, bo uważam, że w Sejmie wszystko powinno być w pełni dokumentowane.

Niech pan na chwilę przestanie być członkiem SLD i pomyśli o tym jak zwykły obywatel. Jest ustawa, jest poprawka, która w sposób kardynalny ogranicza wpływy do budżetu z tytułu tych jednorękich bandytów, jakis poseł ją zgłasza. Czy pańskim zdaniem to jest rzecz, która powinna niepokoić, rodzić podejrzenie, że chodziło tutaj nie tylko o dobro publiczne?

– Oczywiście, że powstaje takie podejrzenie. Natomiast trzeba to przeanalizować z wielu stron.

A osoby, które to zrobiły, uśmiechając się, mówią: nie, to nie ja.

– No tak, jest kontrowersja w sprawie: kto to zgłosił.

Pan mówi kontrowersja... Ona polega na tym, że winny, właściwie „złapany za rękę”, mówi: to nie moja ręka. A pan na tej podstawie mówi: no, mamy tutaj kontrowersję. I nicy z szybkiego załatwienia tej sprawy, co oznaczałoby oczywiście poświęcenie koleżanki partyjnej Anity Blochowiak.

– Pan jest przekonany co do tego, kto zgłosił tę poprawkę?

Jeżeli jest jej podpis...

– Ale są też świadkowie, którzy mówią, że kto inny to zgłosił. Ja bym nie chciał się na ten temat wypowiadać. To tylko dowodzi, że brakuje tutaj jasnych reguł gry. Pan mówi o tych 50 euro... Otóż z punktu widzenia interesu finansów publicznych dobrze jest wprowadzać rozwiązania realistyczne. Jak wiemy, najwyższe opodatkowanie tego typu maszyn jest w Hiszpanii i wynosi bodajże 125 euro, a w Polsce miało wynosić 200 euro. Trzeba sobie zadać pytanie, czy przypadkiem nie mamy do czynienia tutaj z próbą postawienia czegoś na głowie. Cóż z tego, że będzie bardzo korzystne rozwiązanie dla budżetu...

Panie ministrze, w takim państwie żyjemy! Przecież to u nas jest horrendalna akcyza na alkohol, paliwo. Nasze państwo nauczyło się żyć ze słabości swoich obywateli. Dlaczego akurat w przypadku automatów do hazardu miałyby być inaczej? Silnym argumentem za niskim podatkiem była teza, że wtedy hazard wyjdzie z szarej strefy, że właściciele je zarejestrują. Jak wiemy, nic takiego się nie stało.

– Ale to jeszcze za szybko, żeby tak mówić! Choć muszę przyznać, że jest ośmieszeniem dla państwa fakt, że automaty działają, a nie płaci się od tego podatków.

Chciałbym panu przypomnieć, że jest pan wysokim funkcjonariuszem tego ośmieszonego państwa.

Jako szef służb specjalnych jestem osobą bardzo podejrzliwą. I właśnie dlatego, że bardzo dużo wiem o korupcji, o łamaniu prawa, to nie chciałbym, żeby widziano je tam, gdzie ich nie ma



– Cała struktura tego państwa jest za słaba. Wydaje mi się akurat, że z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego wszyscy się liczą. Nie spotkałem się z sytuacją, w której działania Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego byłyby zlekceważone. Państwo polskie jest słabe na przykład niskimi ocenami instytucji publicznych, że tak niskie notowania ma Sejm, rząd.

Ale pan się temu dziwi?

– Ja się nie dziwię. Jest mi przykro. I odnoszę wrażenie – już jako obywatel bardziej – że jest bardzo niedobrze, kiedy tworzy się takie powszechne wrażenie, że wszędzie jest korupcja, mafijność, nieudolność, bo tego nie ma „wszędzie”. Dość jest korupcji, partykularyzmów, aby wskazywać je tam, gdzie są, a nie tam, gdzie ich nie ma. A działalność niektórych lobbyistów, a przez nich niektórych dziennikarzy, przynosi taki efekt. Jesteśmy lepsi, niż nam się wydaje lub ktoś próbuje nam wmówić. My wszyscy: obywatele, instytucje państwowe...

Czyli też przy okazji rząd. Sprytnie rozumowanie.

– Nie jest prawdą, że tylko w Polsce jest taka korupcja. Rozmawiałem z moimi partnerami w krajach, które uchodzą za kraje wolne od korupcji. I kiedy mówiłem im o tym, iż zardrościmy im tego, to uśmiechali się i mówili, że oni cieszą się z takiej opinii, ale wiedzą jednocześnie bardzo dobrze, że ta korupcja jest, a tylko przybiera coraz bardziej subtelne postaci. Dzisiaj bardzo rzadko korupcja polega na tym, że ktoś przychodzi z pieniędzmi i wręcza koperty, chociaż bywa i tak. Dzisiaj korupcja, także u nas, polega bardzo często na takich mechanizmach by-passowych: ktoś nagle sprzedaje swój dom po jakiejś dziwnie wysokiej cenie firmie mającej związki kapitałowe z firmą, która uzyskuje lukratywne kontrakty od zarządu miasta, w którym pracuje sprzedający ten dom. Proszę zauważyć, do czego doszło. Polscy dziennikarze w rankingu American Institut for Public Relation zostali uznani za najbardziej skorumpowanych w Europie. Jednym z kryteriów tego skorumpowania, rzekomego skorumpowania polskich dziennikarzy, w co osobiście nie wierzę...

Pan to jest dobry człowiek.

– Nie wierzę. Jednym z głównych kryteriów tej oceny była ogólna korupcja w danym kraju. A skąd się bierze ta wiedza? Bardzo często z tego, o czym piszą dziennikarze. I kółko się zamyka. Powstaje takie perpetuum mobile złej o nas opinii. To niczemu nie służy.

Służby może trochę demokracji.

– Nie po przekroczeniu pewnej granicy absurdu. Nie uderzamy się wszyscy w piersi zbyt mocno, bo zrobimy sobie krzywdę.

Jakby pan odpowiedział na pytanie, czy w Polsce można kupić ustawę?

– Nie można, dlatego że ustawa, zanim zacznie obowiązywać, musi przejść wiele etapów akceptacji i trzeba by wszystkich po kolei przekupić. Od tych urzędników, którzy piszą pierwszy projekt ustawy, poprzez tych, którzy biorą udział w procesach legislacyjnych, aż po prezydenta, który podpisuje ustawę.

Czyby nie czytał pan relacji z komisji śledczej w sprawie Rywina? Okazuje się, że osoba zdeterminowana i z charakterem, w tym wypadku Aleksandra Jakubowska, jest w stanie tymi etapami sterować.

– Dlaczego pan demonizuje Jakubowską?

Nie, ja jej wystawiam laurkę w ten sposób.

– Proszę zauważyć, że w sprawie ustawy o mediach prezydent wypowiadał się, iż w pewnej postaci jej nie podpisze. I nawet największe wysiłki kogokolwiek w jakiegokolwiek ustawie, jeśli zderzą się z wetem prezydenckim, nie mają racji bytu.

Czyli nadzieja w prezydencie?

– Nie tylko w prezydencie. Nadzieja jest też w tym, że jak ktoś podnosi rękę w głosowaniu w sprawach bardzo delikatnych, to wie, że musi jednak następnego dnia spojrzeć w lustro.

Chyba jest pan, jakby to powiedzieć, nie na swoim miejscu. Bo szef służb specjalnych, który raczej wybiela rzeczywistość, niż ją zaczernia, to jakis ewenement w skali światowej!

– Jako szef służb specjalnych jestem osobą bardzo podejrzliwą. I właśnie dlatego, że bardzo dużo wiem o korupcji, o łamaniu prawa, o obłudzie temu towarzyszącej, to nie chciałbym, żeby widziano je tam, gdzie ich nie ma.

Gdyby szef BND, niemieckich służb specjalnych, zapytał pana, co to jest afera Rywina, to co by pan mu odpowiedział?

– Powiedziałbym mu, że to jest sprawa, która wstrząsnęła polską klasą polityczną. To jest trauma, która nauczy polską klasę polityczną większej kultury.

Nie, on nie chce słyszeć o emocjach, on chce usłyszeć, co się zdarzyło!

– Zdarzyło się to, że Lew Rywin przyszedł do Adama Michnika, a wcześniej do pani Rapaczyńskiej i złożył propozycję, która potocznie nazywana jest propozycją korupcyjną, a w swojej istocie, w sensie prawnym, korupcją nie jest. Bo korupcja jest wtedy, kiedy ktoś próbuje przekupić funkcjonariusza publicznego. Była to propozycja łapówkarska złożona przez prywatnego producenta prywatnej firmie. I tak bym to zdefiniował.

A on potem pana zapytał: a ty w to wierzysz, że on mógłby to załatwić i wziąć te pieniądze?

– Powiedziałbym, że propozycja została złożona, została utrwalona na nośnikach magnetycznych, natomiast nie wierzę w to, aby ktokolwiek taką łapówkę mógł dać i za nią załatwić to, o czym mówił Rywin. To groteskowe. Ja to w swoim czasie nazwałbym błem biznesowym i przy tym trwam. Jestem przekonany, że on chciał zostać prezesem Polsatu, że bardzo wierzył w to, że może zrobić deal z Agorą, natomiast dlaczego złożył tak absurdalną propozycję, tego nie wiem. To jest problem dla psychologów.

Panie ministrze, żałuję, że nie wierzy pan w tezę o istnieniu „grupy trzymającej władzę”, ale się temu nie dziwię. Natomiast stoi przed panem jeszcze inne wyzwanie. Bierzymy udział w wojnie z terroryzmem, możemy liczyć się z odwetem. Czy w jakis istotny sposób jesteśmy przygotowani na ewentualność ataku terrorystycznego?

– Nigdy nie mówiłem, że jesteśmy bezpieczni. Zagrożenie istnieje, dotyczy przede wszystkim polskich żołnierzy w Iraku, polskich placówek dyplomatycznych w Iraku, Turcji i w innych krajach, w których działają organizacje terrorystyczne. Na terenie Polski zagrożenie jest mniejsze, bo w Polsce nie działają organizacje terrorystyczne. Nie mają swojej bazy społecznej.

AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO (ZWANA POPULARNIE ABWERA) POWSTAŁA W MAJU 2002 ROKU PO LIKWIDACJI URZĘDU OCHRONY PAŃSTWA I PRZEJĘŁA CZĘŚĆ JEGO KOMPETENCJI. JEJ PODSTAWOWYM ZADANIEM JEST PROWADZENIE DZIAŁAŃ KONTRWYWIA-DOWCZYCH NA TERENIE KRAJU ORAZ OCHRONA TAJEMNIC PAŃSTWOWYCH I TAJEMNIC NASZYCH SOJUSZNIKÓW. ZAJMUJE SIĘ TAKŻE PRZESTĘPCZOŚCIĄ ZORGANIZOWANĄ, W TYM GOSPODARCZĄ, ZWALCZA KORUPCJĘ WŚRÓD URZĘDNIKÓW I MA UPRAWNIENIA DOCHODZENIOWO-ŚLEDZCZE. ZATRUDNIA PIĘĆ TYSIĘCY PRACOWNIKÓW.

Ale oczywiście dzisiaj Europa jest przestrzenią otwartą i mogą na teren Polski wjechać terroryści, którzy przeprowadzą atak.

Czy mamy jakiś specjalny zespół, który zajmuje się tylko tym zagrożeniem?

– Jest taki zespół, który skupia wszystkie służby odpowiedzialne za prewencję antyterrorystyczną. Bo trzeba odróżnić dwie rzeczy. Jedną rzeczą, za którą odpowiedzialne są służby specjalne na całym świecie, jest wychwytywanie sygnałów o zagrożeniach atakiem terrorystycznym, o organizacjach terrorystycznych, o powiązaniach pomiędzy nimi. Drugą, za którą odpowiada Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, jest sfera reakcji, gdyby odpukać, coś się zdarzyło.

Ta ostatnia chyba leży. Sądząc po tym, że premier pół godziny leżał na trawie pod lasem, czekając na przyjazd jakiegokolwiek pomocy, a przecież wypadek zdarzył się 20 kilometrów od stolicy państwa.

– No nie, zanim ktoś dotrze do lasu, to nie jest takie proste...

W momencie, w którym premier zaczyna spadać, jego pilot wysłał sygnał i natychmiast powinien startować śmigłowiec ratunkowy, byłby tam po siedmiu minutach! Więc moim zdaniem nie jesteśmy przygotowani na natychmiastową pomoc w nagłych wypadkach. A co z prewencją antyterrorystyczną?

– Są dwa zespoły. Jeden zespół przy kolegium do spraw służb specjalnych monitoruje zagrożenia atakiem terrorystycznym. Tam mamy Straż Graniczną, celników, policjantów, wywiad, Wojskowe Służby Informacyjne, inspektora od prania brudnych pieniędzy. My tym kierujemy.

Służby specjalne nie mogą zapobiec wszystkim aktom terroru. Najwyższy współczynnik jest w Izraelu, gdzie – jak się oblicza – 80 procent aktów terroru nie dochodzi do skutku, bo służby specjalne potrafią im zapobiec. My mamy dwie hipotezy. Jedna jest taka, że Polska będzie uważana za zaplecze dla terrorystów. W pewnym sensie byliśmy takim zapleczem w latach 70. W Polsce wtedy nie szkolono terrorystów, ale byliśmy pewnego rodzaju ekonomicznym, politycznym zapleczem. Ale jest też druga hipoteza, że Polska jest także celem ataków terrorystycznych. Nie wykluczamy tego.

Czy macie jakiegokolwiek realne sygnały, że jesteśmy wśród terrorystów wymieniani jako potencjalny cel ataku?

– Otrzymujemy różne sygnały i je weryfikujemy. Jak dotąd żaden z tych sygnałów się nie potwierdził. Ale nie ma żadnej gwarancji, że w tych dniach nie znajdzie się sygnał, który będziemy musieli potraktować poważnie.

Co pan mi chce powiedzieć?

– To, co powiedziałem.

Jeżeli otrzymacie poważny sygnał, to go upublicznicie?

– Przede wszystkim jeśli otrzymamy wiarygodny sygnał o zagrożeniu – zmobilizujemy odpowiedzialne służby do intensywniejszego niż zazwyczaj działania. Jeśli zajdzie taka konieczność – poinformujemy także obywateli, zwrócimy się o wzmoczoną ostrożność. Niestety, to jest tak, że nawet w najdojrzałszych, najstarszych demokracjach są ograniczenia praw człowieka związane z prewencją antyterrorystyczną. I ja nie daję żadnej gwarancji, że w Polsce tak nie będzie.

Zbliżamy się do tego momentu?

– Weryfikujemy każdy sygnał i nie zawahamy się wprowadzić nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 10 GRUDNIA 2003 R.
ZDJĘCIA ROBERTLASKA.COM

Wywiad opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

ZALINIAMI WROGA

Tygodnik „TIME” jako pierwszy dotarł do Irakijczyków, którzy zabijają amerykańskich żołnierzy. Oto specjalny raport o powstaniu, które niebawem ogarnie cały Irak

Dla Abu Alego ataki na amerykańskich żołnierzy to część codziennej rutyny. W skromnym wiejskim domu członek powstańczej komórki gościł niedawno siedmiu innych bojowników. Pomimo huku krążących w powietrzu amerykańskich helikopterów powstańcy siedzieli wygodnie na wytartych sofach, palili ogromne ilości papierosów, swobodnie rozmawiając o broni, taktyce, długich kolejkach po benzynę, a także o tym, czyje dziecko zaczęło właśnie raczkować.

Obecność amerykańskiego dziennikarza wcale ich nie speszzyła. – To wasi żołnierze się boją, a nie my – ryczy Abu Ali. Uśmiechnięty od ucha do ucha bojownik pokazuje, co by się stało,

TIME

BRIAN BENNETT,
MICHAEL WARE (BAGDAD)

Komórka Abu Alego. Ci iraccy bojownicy przeprowadzili ataki na centralę Tymczasowych Władz Koalicyjnych w Bagdadzie, główną bazę wojsk amerykańskich na bagdadzkim lotnisku i inne amerykańskie obiekty wojskowe w Iraku

Ataki na wojska koalicji stają się coraz bardziej zuchwałe, lepiej zorganizowane i szerzej zakrojone. Widziani od wewnątrz rebelianci są rozproszonym, ale bardzo trudnym przeciwnikiem

żołnierzy zmusiła Stany Zjednoczone do wycofania się z Iraku. – I to się może udać – ostrzega człowiek z Pentagonu.

By temu zapobiec, Amerykanie muszą przede wszystkim poznać rebeliantów. Analitycy amerykańskiego wywiadu próbują złożyć w całość fragmenty zeznań jeńców, okruchy informacji i fakty ustalone po atakach. Według nich rebelianci stanowią luźną konstelację wolnych strzelców i grup, w których skład wchodzi ludzie lojalni wobec starego reżimu, fedaini, byli członkowie Gwardii Republikańskiej i służb bezpieczeństwa, bojownicy dżihadu, zawodowi terroryści, płatni kryminaliści i wreszcie zwykli Irakijczycy rozczarowani okupacją.

Według większości amerykańskich analityków do oporu wzywają przede wszystkim byli poplecznicy reżimu, którzy w nowym Iraku mają najwięcej do stracenia. Ich wezwania podchwytywać różne grupy bojowników. Nawiązanie komunikacji zajęło im kilka miesięcy. Teraz te rozproszone grupy nauczyły się współpracować dla osiągnięcia wspólnego celu – wyrzucenia Amerykanów z Iraku.

Przez ostatnie trzy miesiące rozmawialiśmy z dziesiątkami rebeliantów. Braliśmy udział w zebraniach ruchu oporu i oglądaliśmy tamśmy wideo z ataków na siły koalicyjne. Zaslano nam oczy, rewidowano nas, wożono w nocy po kilka godzin samochodem, a spotkania rzadko odbywały się dwa razy w tym samym miejscu. O atakach nigdy nie byliśmy informowani z wyprzedzeniem. Widziani od wewnątrz rebelianci wydają się rozproszonym, ale niezwykle trudnym przeciwnikiem.

OBSERWUJĄ RUCHY WOJSK

Pod przywództwem dawnych popleczników Saddama ruch oporu jest coraz lepiej zorganizowany. Szefowie małych komórek, którzy dotąd działali niezależnie, wymieniają się informacjami i dzielą zadaniami.

Pewnej listopadowej nocy Abu Ali zorganizował spotkanie szefów ośmiu takich komórek i 17 adiutantów. Młodszy mężczyźni byli uzbrojeni w karabiny AK-47; starsi, z których każdy reprezentował inną komórkę ruchu oporu liczącą co najmniej 20 żołnierzy, mieli przy sobie broń krótką. Abu Ali wskazywał po kolei gestem na każdego z nich, a oni w odpowiedzi referowali sytuację na swoim terenie. Z ich opowieści wyłaniała się mapa miejsc, w których Amerykanie napotykają największe trudności: Bagdad, Dora, Hilla, Abu Ghraib, Faludża, Ramadi.

Abu Ali jest ekspertem technicznym tej siatki i de facto jej szefem. Wyszkolony w Europie

w ramach programu zbrojeniowego Saddama wyspecjalizował się, jeszcze jako przedstawiciel irackich sił zbrojnych, w głowicach raketowych i elektronicznie. Ostatnio opracował metodę odpalania pocisków helikopterowych z ziemi.

Wewnątrz siatki informację wędrują z dołu struktury w górę, zaś polecenia w kierunku odwrotnym. Rebelianci oceniają informacje na temat ruchów amerykańskich oddziałów i wybierają cele. Kiedy są gotowi do ataku, szybko aktywują ludzi i arsenały. Komórki pracują na swoim terenie, ale czasami są przerzucane w inne regiony, by utrudnić Amerykanom ich identyfikację. Czasami przeprowadzają wspólnie większe, skoordynowane akcje.

BRONI IM NIE BRAKUJE

Byli członkowie reżimu Saddama mają niezbędną wiedzę techniczną i pieniądze do prowadzenia swoich operacji. Organizatorami są najczęściej oficerowie średniego szczebla z dawnej bezpieki. – To pułkownicy, podpułkownicy i majorzy bezgranicznie oddani Saddamowi – mówi generał major Raymond Ordierno, dowódca amerykańskiej 4. Dywizji Piechoty. Obalony dyktator stanowi niewątpliwie ideologiczną inspirację dla jego walczących popleczników, ale wydaje się mało prawdopodobne, by bezpośrednio kierował atakami. – Musiałby wydawać rozkazy – mówi przedstawiciel Pentagonu w Iraku. – A to zbyt narażałoby go na schwytanie.

Strategiem ruchu oporu jest długoletni zastępca Saddama Izzat Ibrahim al-Duri, najwyższy rangą urzędnik byłego reżimu, który wciąż pozostaje na wolności. To on był celem niedawnego rajdu na Kirkuk. Al-Duri uciekł.

Pieniądze i uzbrojenie nie wydają się dla rebeliantów problemem. Kiedy siatce Abu Alego zaczyna brakować środków, zwracają się do człowieka znanego jedynie jako „Emir”. – Nie jesteśmy bogaczami, ale niczego nam nie brakuje – mówi Abu Ali.

Ceny starych radzieckich rakiet typu ziemia-powietrze, którymi dysponowała armia Saddama, dochodzą na czarnym rynku do tysiąca dolarów za sztukę, a mimo to organizacja Alego ma ich mnóstwo. Jego siatka ma też dostęp do broni, która szerokim strumieniem przepływa przez granice Iraku. Szef innej komórki w Bagdadzie, Mohammed, z dumą pokazuje swoją najnowszą zdobycz – partię moździerzy kalibru 60 milimetrów. Na pytanie, skąd je ma, Mohammed odpowiada jednym słowem: – Syria.

Najbardziej przerażające plany Abu Alego związane są jednak z bronią niekonwencjonalną. Jego największym skarbem, jak sam mówi,



Amerykański żołnierz pilnuje irackiego generała podejrzanego o organizowanie ataków na siły koalicyjne

Fot. YURI KOZEV/TIME

gdyby wiedział, że Bush przyjedzie do Iraku na Święto Dziękczynienia. – Namierzylibyśmy go i... bach! – krzyczy, udając strzał z wyrzutni raketowej.

BĘDĄ ZABIJAĆ

Na zewnątrz przy świetle księżycy ludzie Abu Alego przygotowują tymczasem pozycje przed następnym atakiem. Zwiadowcy krążą po okolicy w taksówkach, inni udają robotników wracających do domu i wymieniają sekretne sygnały z mijającymi ich kolegami. Wszyscy podlegają Abu Alemu, byłemu oficerowi fedajńskiej milicji Saddama, który jest dobrze przeszkolony w taktyce partyzanckiej. Wysoki, żyłasty mężczyzna o ogorzalej twarzy nie kryje, że chce walczyć z Amerykanami. – Będę zabijać żołnierzy Busha, aż się stąd wyniosą albo znajdą swój grób na pustyni – mówi.

Ali patrzy na zegarek i zarządza początek akcji. Mężczyźni pakują się do trzech samo-

chodów i rozjeżdżają w różnych kierunkach. Przez ponad godzinę krążą wokół bazy lotniczej, by upewnić się, że teren jest czysty. Potem oddział zajmuje pozycje na kawałku płaskiego terenu i ustawia lufy wyrzutni w stronę oddalonego o trzy kilometry bagdadzkiego lotniska. Stacjonują tam załogi amerykańskich helikopterów, oddziały zaopatrzeniowe i kierowana przez CIA Iracka Grupa Rozpoznawcza, która szuka broni masowego rażenia.

Rebelianci ładują trzy rakietki typu powietrze-powietrze, które przerobili tak, by móc je odpalać z ziemi. Drugi zespół podkrada się bliżej, aby móc ostrzeliwać dolinę. Kolejny pododdział, uzbrojony w wielkokalibrowe strzelby i broń maszynową, formuje szpicę. Według fedainów z tyłu są jeszcze ludzie uzbrojeni w ręczne wyrzutnie rakiet typu ziemia-powietrze i granatniki. Mają wypatrywać amerykańskich helikopterów, gdyby te chciały powstrzymać atak rebeliantów.

W oddali widać niewyraźny zarys helikoptera. Niski warkot silnika słychać niebezpiecznie blisko. Trzy rakietki zostają odpalone w dwusekundowych odstępach i nikną w ciemnościach. Kilka minut później jest już po akcji. Oddział rozmontowuje wyrzutnię i ładuje ją na samochody. Zwiadowcy znikają w pobliskich polach. – Przedostaliśmy się tutaj bez żadnych problemów – mówi Abu Ali. – Tak wygląda ta amerykańska potęga.

ORGANIZUJĄ SIĘ

– Trudno się naprawdę zorientować, jak wygląda nasz wróg – przyznaje jeden z amerykańskich urzędników, który z bliska przygląda się okupacji. Na konferencjach prasowych Amerykanie zapewniali, że wiedzą, jakie są siły bojowników, ich korzenie, motywacje i szanse na odniesienie sukcesu.

Prywatnie przyznają jednak, że wiedzą o wiele mniej. Optymiści w Pentagonie nadal są

przekonani, że rebelia jest słaba i powoli obumiera. – Prawdziwi powstańcy potrzebują wsparcia lokalnej społeczności, a ci w Iraku go nie mają – mówi wysoki rangą urzędnik, który dwa tygodnie temu towarzyszył Rumsfeldowi w jego podróży do Iraku. – Uschną i zginą. Pytanie tylko, jak długo to potrwa – dodaje.

Tymczasem dla żołnierzy na miejscu jest oczywiste, że bojownicy pracują nad tym, by się zjednoczyć i wszczać prawdziwe powstanie. Ataki wymierzone w wojska koalicyjne stają się coraz bardziej zuchwałe, lepiej zorganizowane i szerzej zakrojone.

– Podwójna zasadzka, do której doszło w Samarze, była jak dotąd największa i najbardziej skomplikowana – mówi wysoki rangą pracownik amerykańskiego wywiadu w Waszyngtonie. – Oni wiedzą, że nie mogą nas pokonać militarnie, ale sądzą, że mogą to zrobić politycznie – wyjaśnia przedstawiciel Pentagonu. Partyzanci chcą, by liczba zabitych



ZWOLENNICY REŻIMU

PRZYWÓDCY: SADDAM HUSAJN (przywódca ideologiczny), IZZAT IBRAHIM AL-DURI.

KIM SA: Bojownicy rekrutują się z milicji fedainów, byłych członków Gwardii Republikańskiej, dawnych służb specjalnych i armii.

POWIĄZANIA I TAKTYKA:

W zastępstwie Saddama dowództwo objęli jego zastępcy, którzy pozostają na wolności. Amerykański wywiad podejrzewa przede wszystkim byłego wiceprezydenta Izzata Ibrahima, choć to inni przekazują rebeliantom pieniądze i instrukcje. Lojaliści są odpowiedzialni za większość ataków na siły koalicyjne, a obecnie koordynują także działania innych grup. Są coraz lepiej zorganizowani i wyszkoleni.



ROZCZAROWANI IRAKIJCZYCY

PRZYWÓDCY: Brak, podobnie jak solidnej infrastruktury. Niektórzy z tych ludzi są opłacani przez pozostałe grupy, by wykonywali brudną partyzancką robotę

KIM SA: Zabójcy do wynajęcia, przestępcy prowadzący nielegalne interesy, zwykli obywatele rozczarowani okupacją.

POWIĄZANIA I TAKTYKA:

Zwykli obywatele, rozwścieczeni sposobem, w jaki Amerykanie przeszukują domy, i oburzeni przypadkami zabijania niewinnych osób, występują zbrojnie przeciw Amerykanom. Do ataków przylączyła się niekiedy lokalna ludność. Są mało skuteczni, ale w przyszłości z ich szeregów mogą się rekrutować nowi żołnierze ruchu oporu.



GRUPY TERRORYSTYCZNE

PRZYWÓDCY: ABU MOUSAB AL-ZARQAWI, MULLAH KREKAR

KIM SA: Obecna w Iraku grupa Ansar al-Islam może być ekspozyturą Al-Kaidy. Żołnierze Ansar to przede wszystkim iraccy Kurdowie z ugrupowań islamskich, wsparci przez nieznaną liczbę wojowników dżihadu z innych państw arabskich. Niektórzy są weteranami walk w Afganistanie.

POWIĄZANIA I TAKTYKA:

Rozbici w wyniku amerykańskich bombardowań w północnym Iraku członkowie organizacji w większości uciekli do Iranu. Uważa się, że niewielkie komórki znowu działają w Iraku i organizują w Bagdadzie samobójcze zamachy bombowe w stylu Al-Kaidy.



BOJOWNICY Z ZAGRANICZĄ

PRZYWÓDCY: IMAMOWIE na całym Bliskim Wschodzie, którzy w meczetach wzywają do świętej wojny przeciwko okupacji Iraku.

KIM SA: Młodzi, fanatyczni Arabowie z Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Syrii i Jemenu. Większość przyjeżdża do Iraku na własną rękę.

POWIĄZANIA I TAKTYKA:

Ekspertki szacują ich liczbę w najlepszym wypadku na kilkuset. Większość nie ma przeszkolenia wojskowego, a ich związki ze zorganizowanymi grupami oporu są nikłe. Sami Irakijczycy nie są pewni, czy chcą zagranicznej pomocy. Chociaż obecność obcych bojowników jest niepokojąca, ich liczba nie jest na tyle duża, by powodować poważne niebezpieczeństwo.

jest kryjówka z pociskami moździerzowymi kalibru 82 milimetry. Mohammed pokazuje jeden z takich naboju i mówi: – To broń chemiczna. Pokryty zieloną, otwieraną od góry osłoną pocisk ma rozszerzoną głowicę wypełnioną jakąś obrzydliwie śmierdzącą cieczą, której zapach pali nozdrza. Z rosyjskich oznaczeń wynika, że jest to substancja wybuchowa pod nazwą TD-42.

Nie można stwierdzić, co naprawdę jest w pocisku. Iraccy naukowcy z Komisji Uprzemysłowienia Wojska kupowali w latach 80. i na początku 90. radziecką amunicję, którą następnie napełniali nieznanymi substancjami. Abu Ali twierdzi, że w pocisku jest silnie trujący gaz. Jego grupa, jak mówi, tylko czeka na odpowiedni amerykański cel i właściwe warunki pogodowe, by go użyć. Kiedy wyrażamy swój sceptycyzm, Abu Ali uśmiecha się i mówi: – Poczekaj, to zobaczysz.

Z NAKAZU KORANU

Nie wszyscy bojownicy są fanatycznymi zwolennikami Saddama. Wielu to pobożni iraccy muzułmanie, którzy wierzą, że walczą z „niewiernymi”, wypełniają nakaz Koranu.

Część mudżahedinów pochodzi z zagranicy. Według amerykańskiego wywiadu ludzie ci przyjeżdżają z takich krajów, jak Arabia Saudyjska, Jordania, Jemen i Syria i są do tego zachęceni przez entuzjastycznych imamów w swoich rodzinnych stronach. Po przekroczeniu granicy kierują się do meczetów i tam szukają kontaktów z lokalnymi ośrodkami oporu.

– Wykorzystują fundamentalistów jako mięso armatnie, szczególnie do samobójczych ataków na tak zwane miękkie cele, między innymi przy użyciu samochodów-pułapek – mówi jeden z amerykańskich urzędników.

W szeregi mudżahedinów chętnie wstępują także sami Irakijczycy. 29-letni bojownik, który przedstawia się jako Abu Abdullah, zgadza się na spotkanie w niewielkiej wiosce w pobliżu Ramadi, gdzie mieszka wielu zwolenników dawnego reżimu. Cieszył się z upadku Saddama, ponieważ wierzył, że wyniesie on do władzy islamski rząd. Religia skłania go jednak teraz do występowania przeciwko Stanom Zjednoczonym. – Islam głosi, że nikt nie powinien okupować naszej ziemi – mówi Abu Abdullah. – Walczymy, ponieważ Amerykanie przyszli tu zabijać naszych rodaków. Nikt nam za to nie płaci.

Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy do rebelii przeniknęli zawodowi terroryści, szczególnie tacy związani z Al-Kaidą. Według amerykańskich analityków w Iraku odradza się kurdyjska grupa Ansar al-Islam. Jej bojownicy ćwiczą podobno zamachy samobójcze, a przywódca Ansar działa w Bagdadzie.

IRAKIJCZYK PRZECIW IRAKIJCZYKOWI

Administracja Busha ze swojej strony chce ukazać rebelię jako zjawisko przede wszystkim wewnętrzne. To pozwala Waszyngtonowi wytrwale twierdzić, że rebelia się skończy, gdy najbardziej radykalnym ugrupowaniom zabraknie ludzi i sprzętu. Taka postawa pozwala również uniknąć Bushowi oskarżeń o to, że wojna w rzeczywistości zwiększyła poziom zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych, ponieważ w Iraku powstało prawdziwe gniazdo terrorystów.

Starając się stłumić rebelię, amerykańskie Centralne Dowództwo planuje ostatnio sformować irackie siły szybkiego reagowania, które mogłyby identyfikować i zwalczać partyzantów skuteczniej, niż to robią Amerykanie. Wojskowi chcą, by do 26 grudnia pięć

głównych partii politycznych zasiadających w tymczasowej Radzie Zarządzającej połączyło swoje milicje w jedną całość.

Jednak eksperci – jak na przykład Mustafa Alani, specjalista do spraw bezpieczeństwa z londyńskiego Królewskiego Instytutu Studiów Obronności i Bezpieczeństwa – ostrzegają, że takie politycznie określone oddziały stanowią prostą drogę do wojny domowej, która może wybuchnąć po zaniknięciu rebelii.

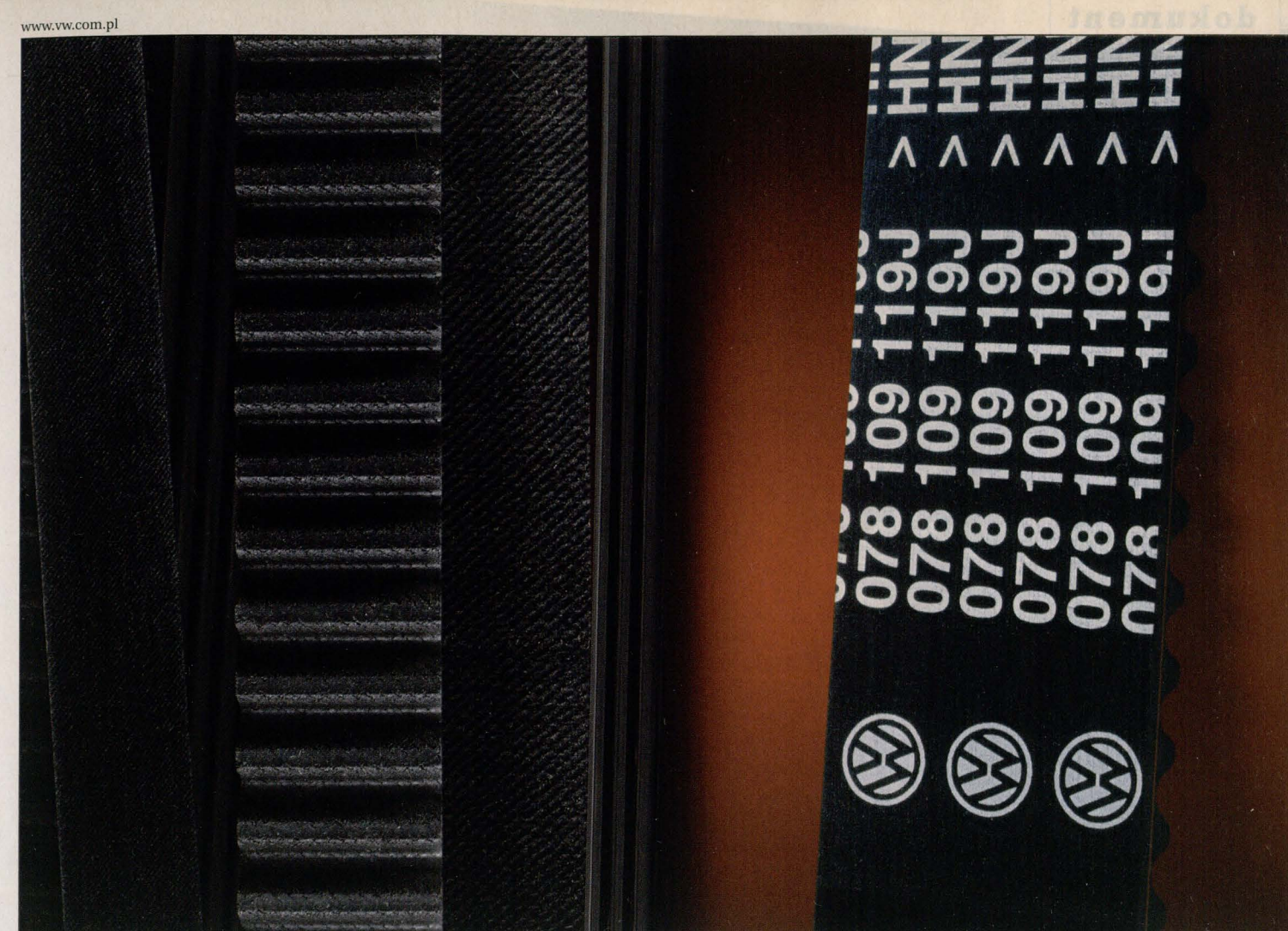
Rebelia zrodziła się ze zróżnicowanych elementów i to może sprawić, że kiedyś się rozpadnie. W ubiegłym miesiącu, łamiąc zasady ramadanu, Abu Ali mówił swoim bojownikom o ofiarach wśród ludności cywilnej. – Zabiję 10 Irakijczyków, by zarząć jednego Amerykanina – powiedział wtedy. Abu Raheman, były wojskowy, który bawił się akurat ze swym 10-miesięcznym synem, odrzekł, że jeden martwy marine nie jest warty tego, by poświęcać choćby jednego Irakijczyka. Mohammed, inny były wojskowy, stwierdził, że nie może znieść zabijania ludzi, w których imieniu walczy. Abu Ali odburknął coś i lekceważąco machnął ręką. – Oni nie są tacy jak ja – powiedział. – Ja piję krew.

Pozostali siedzieli i patrzyli na niego beznamiętnie. – Pewnego dnia, gdy nie będzie tu już Amerykanów, zacznę zabijać mudżahedinów – zażartował, przeciągając palcem po gardle w charakterystycznym geście. Może nie zdążyć, jeśli ktoś dopadnie go pierwszy.

BRIAN BENNETT,
MICHAEL WARE (BAGDAD)

WSPÓŁPRACA: MASSIMO CALABRESI I DOUGLAS WALLER (WASZYNGTON), BRUCE CRUMLEY (PARYŻ), MARK THOMPSON (BAGDAD) I VIVIENNE WALT (RAMADI)

© 2003. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKULU W JAKIKOLWIEK SPOŚÓB I W JAKIMKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRIEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE



Jak rozpoznać oryginał?

Paski klinowe, klocki hamulcowe, świece... Kilkuset producentów i tysiące różnych części. Ale jak rozpoznać te najlepsze dla naszego Volkswagena? Wszystkie Oryginalne części Volkswagen® posiadają specjalne oznakowanie, które nie tylko daje pewność najwyższej jakości, ale także gwarancję, że są one identyczne z tymi, które zamontował producent.

Każdy Volkswagen to tysiące idealnie dobranych ze sobą elementów. Stosowanie części nieoryginalnych podnosi ryzyko poważnych awarii, może powodować utratę gwarancji, a w najlepszym razie pogarsza osiągi samochodu i przyspiesza jego zużycie.

Oryginalne części Volkswagen®



Pacjenci dochodzą do siebie. Personel ma chwilę wytchnienia. Ranek na Kolskiej w Warszawie



Fot. MARTA DYLEWSKA/REPORTER

TRZEZAWO O IZBACH

Kojarzą się z aresztem, upokorzeniem i wstydem.

Miastom brakuje pieniędzy na ich utrzymanie.

Izby wytrzeźwień – zamknąć, zostawić, zreformować?

JOANNA GORZELIŃSKA
ANNA WOŹNIAK

Wystarczą dwa mocne piwa na pusty żołądek i głośno zaśpiewana piosenka, żeby trafić do izby wytrzeźwień. Doprowadzony najpierw musi się rozebrać, później bierze prysznic i łąduje w wieloosobowej sali. Bez piżamy, bo jej nogawki lub rękawy mógłby wykorzystać do próby samobójczej. Sanitariusze zamykają drzwi od zewnątrz, a najbardziej agresywnych pacjentów przywiązują pasami do łóżek.

Każdego roku ćwierć miliona Polaków spędza noc w „żłobkach”. Od kiedy w 1956 roku otwarto pierwszą izbę, wytrzeźwiało w nich kilka milionów osób.

Teoretycznie do izb powinny trafiać tylko osoby naruszające porządek publiczny, zagrażające sobie lub innym. W praktyce jednak zdarza się, że policja i służby miejskie zabierają też do izb niegroźnych pijacków.

– Izby to relikty minionych czasów. Przez lata naruszano w nich prawo człowieka do wolności – uważa wiceprezydent Gdyni

Ewa Łowkiel. Radni podjęli decyzję o zlikwidowaniu z końcem grudnia gdyńskiej izby, która kosztuje budżet miasta 233 tysiące złotych rocznie. Pracownicy żartują, że trzeba by przedłużyć jej działanie chociaż o jeden dzień, bo w sylwestrowy wieczór nie brakuje tu podopiecznych.

Marek Romsicki z Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych nie zgadza się z opinią, że izby są nielegalne. – Nie naruszają praw człowieka. Trybunał w Strasburgu raz na zawsze rozwiął te wątpliwości.

W 2000 roku Trybunał Praw Człowieka rozpatrywał skargę Witolda Litwy o bezprawne przewiezienie do izby wytrzeźwień i chociaż uznał, że Litwa nie powinien się tam znaleźć, jednocześnie orzekł, że polskie izby wytrzeźwień działają zgodnie z prawem. – To nieprawda, że jak wejdziemy do Unii, będziemy musieli pozamykać izby. Prawo unijne tego nie reguluje i krajom członkowskim pozostawia wybór w tej sprawie – tłumaczy Romsicki i dodaje: – Do tej pory nie wymyśliłszy nic lepszego dla osób, które się napiły i potrzebują pomocy, bo mogą zamarznąć, udusić się własnymi wymiocinami lub wpaść pod tramwaj. Tu-taj gra toczy się o ludzkie życie.

Od dwóch lat każdy, kto trafił do izby, może w ciągu siedmiu dni złożyć zażalenie i domagać się zbadania zasadności zatrzymania. Wbrew obawom, że sądy utoną pod stosami zażaleń, w 2002 roku spośród 250 zatrzymanych poskarżyło się na piśmie zaledwie kilkudziesięciu.

Powodem może być nikła szansa na pozytywne rozpatrzenie zażalenia. Doprowadzony do izby musi stanąć sam przeciwko sanitariuszom i policjantom. Zdaniem adwokata Andrzeja Tkaczyńskiego policjantów jest zawsze dwóch i w razie wątpliwości rację ma zawsze policja.

TRZEZEWY POGLĄD NA ŻYCIE

Pomysł stworzenia miejsca odosobnienia dla pijanych zrodził się w carskiej Rosji. Car Piotr I kazał otworzyć je przy niektórych knajpach w Moskwie i Petersburgu. Pijanego rozbierano i wrzucano do niedużej komórki. Rano obrzucano go wyzwiskami i pobierano opłatę (obrzucenie wyzwiskami nakazywał specjalny dekret cara).

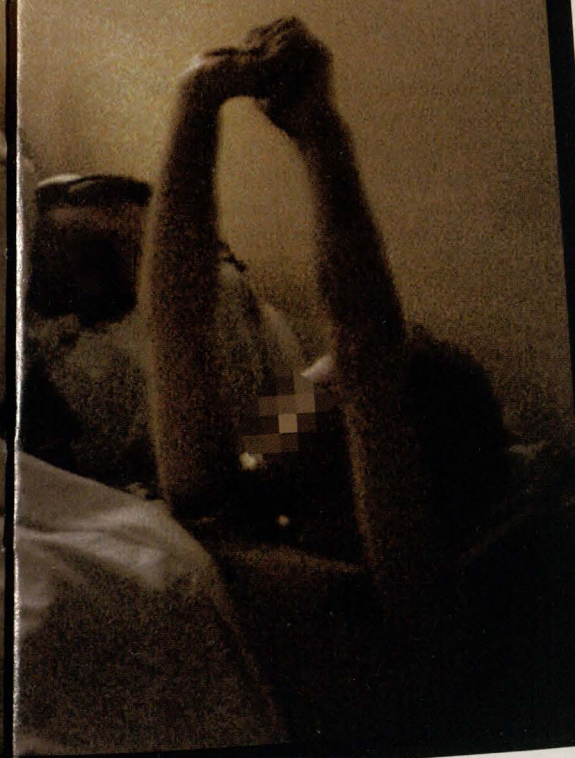
Jednak pierwsza izba wytrzeźwień z prawdziwego zdarzenia pojawiła się 7 listopada 1902 r. w Tule. Założył ją lekarz i społecznik Fiodor Archangielski. Miała 13 miejsc oraz pomieszczenie, gdzie mogły przenocować dzieci pijaków. Rano gościa stawiano na nogi, dając amoniak do powąchania i sok z ogórków do wypicia. A z gramofonu puszczano muzykę, by „przywrócić trzeźwy pogląd na zjawiska życia”. Takie luksusy cieszyły się szalącą popularnością w Tule, dlatego szybko wprowadzono opłatę za nocowanie: „pół rubla z duszy upadłej, która nie mogła się podnieść do normalnego położenia”.

W Polsce przed II wojną światową policja bardzo rygorystycznie traktowała osoby nietrzeźwe – wystarczyło, że kogoś lekko „zawiało” na ulicy i natychmiast był zgarniany do aresztu. Ponieważ brakowało w nim opieki medycznej, zdarzały się wypadki śmiertelne.

Pierwsza w PRL ustawa o zwalczaniu alkoholizmu powstała w 1956 roku i wtedy też uruchomiono pierwszą izbę wytrzeźwień. Osoba pijana i agresywna miała tam pozostać aż do wytrzeźwienia. Dopiero trzy lata później ograniczono czas zatrzymania do 24 godzin. Wtedy też nakazano zakładać izby wytrzeźwień w miastach powyżej stu tysięcy mieszkańców. Izby zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. W sumie powstało ich ponad 60.

Obecnie w Polsce są 52 izby, które rocznie odwiedza blisko ćwierć miliona osób. W rekordowym roku 1977 skorzystało z nich pół miliona obywateli. Statystyki dowodzą, że może tam trafić każdy. W 2002 roku warszawski „żłobek” na Kolskiej odwiedziło ponad 37 tysięcy osób, głównie mężczyzn w wieku od 30 do 49 lat. Ponad 70 procent z nich nie miało pracy. Wśród pozostałych dominowali pracownicy fizyczny, emeryci i renciści. Zdarzali się uczniowie, i to trzy razy częściej niż studenci. W wolnych zawodach, które stanowiły najmniejszy odsetek pacjentów, prym wiodli prawnicy, dziennikarze i lekarze. Od czasu do czasu w izbie budzili się też aktorzy, reżyserzy i muzycy.

PACJENCIE!
ZOSTAŁEŚ PRZYJĘTY DO IZBY WYTRZEŻWIEŃ. WSZYSTKIE SVOJE WARTOŚCIOWE PRZEDMIOTY I PIENIĄDZE ODDAJ DO PRZECHOWANIA. PONIEWAŻ PONOSIMY ODPOWIEDZIALNOŚĆ WYŁĄCZNIE ZA DEPOZYT ZGŁOSZONY. WOBEC CZEGO NIE PRÓBUJ UKRYĆ PRZED DEPOZYTARIUSZEM SWOICH CENNYCH PRZEDMIOTÓW W UBRANIU, BUTACH ITP.



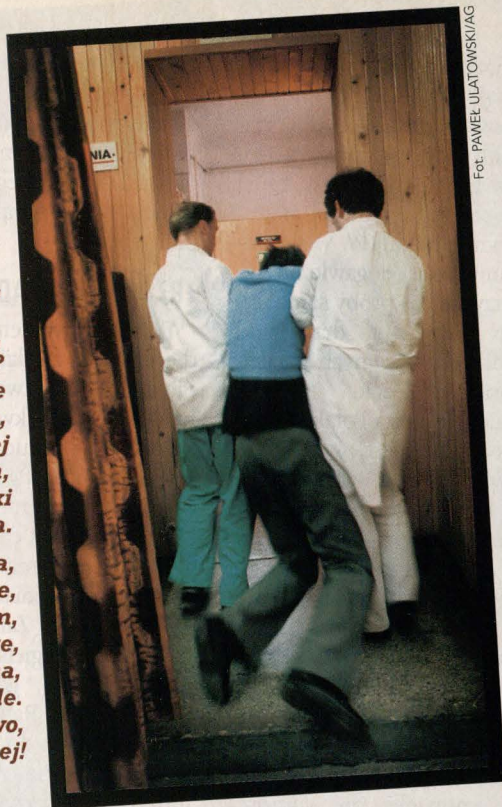
Katarzyna Figura nagrała w Los Angeles rapową piosenkę „Izba”. Protest song nawiązuje do nocy, jaką aktorka spędziła w warszawskiej izbie wytrzeźwień w lecie 1998 roku.

Tekst Jann Castor

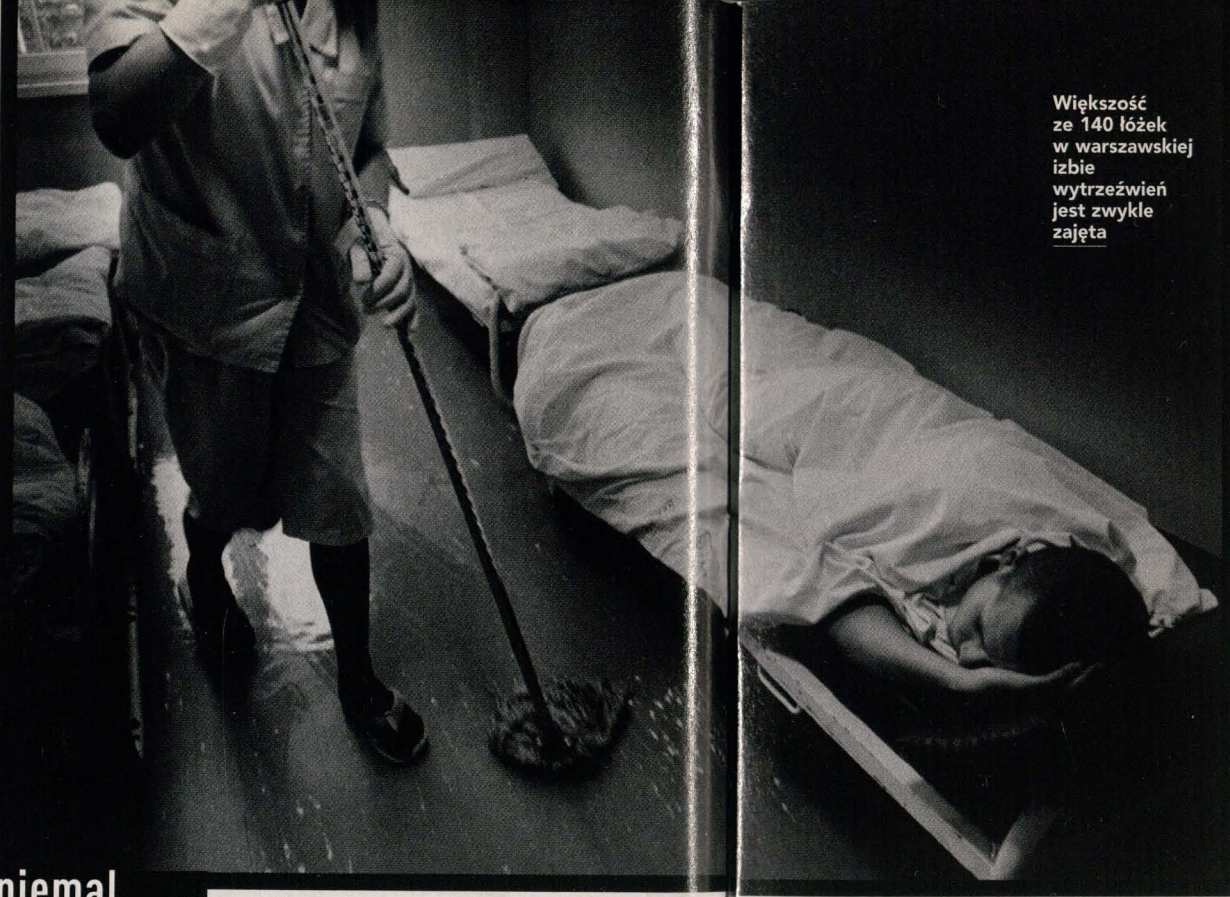
„IZBA”

W kajdankach na Wilczą, a potem kapujesz? Na Kolską, a tam ubranie się zdejmujesz, w tej polskiej Wojtusiowej izbie bajka będzie długa, lecz zamiast iskiereki policjant do mnie mruga.

Dwóch facetów wpada, pokazać mi się każe, stoję naga i słucham, puszczają komentarze, panowie, jak tak można, to nie mieści się w pale. Zamknij się ty kurwo, zobaczysz, co dalej!

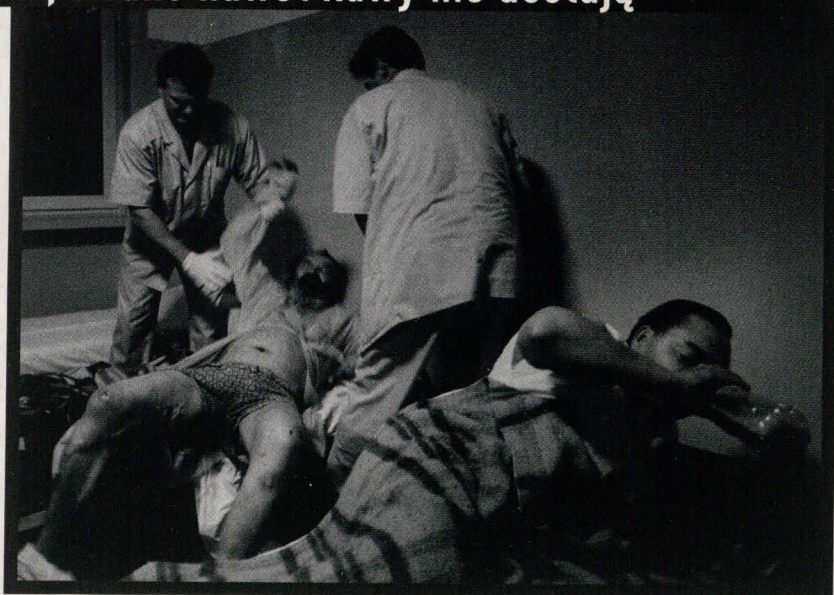


FOT. PAMEL UJATOWSKI/AG



Większość ze 140 łóżek w warszawskiej izbie wytrzeźwień jest zwykle zajęta

W porównaniu z niemieckimi nasze izby to niemal luksus. W Hamburgu pijani śpią na pryczach w ubraniu, a rano nawet kawy nie dostają



Powyżej: Krakowski „żłobek” mieści się przy ulicy Rozrywki

Obok: 70 procent klientów izby na Kolskiej to bezrobotni

trafić do izby po udanych imieninach, zapłaci każdą kwotę, bo jest uczciwy, jest mu głupio i nie chce, aby ta sprawa się za nim ciągnęła. A większość klientów nie zapłaci, nawet jeżeli miałoby to być 10 złotych.

Radom był pierwszym miastem, w którym zamknięto izbę wytrzeźwień. Najbardziej odczuli to lekarze. Każdego dnia pogotowie wyjeżdża średnio 15 razy do nietrzeźwych osób. – Na miejscu okazuje się, że taka osoba nie potrzebuje pomocy lekarskiej, nie ma żadnych obrażeń, jest po prostu pijana – opowiada doktor Piotr Kowalski, dyrektor izby przyjęć w Radomiu. Cięższe przypadki trafiają do szpitali, a tam znowu lekarze skarżą się, że nie potrafią dać sobie rady z awanturującymi się pijakami. Często dochodzi do bójek z personelem. Z braku miejsc niektóre zabiegi, na przykład płukanie żołądka, trzeba przeprowadzać w obecności innych pacjentów.

Podobnie jest w Lublinie, gdzie też już nie ma izby wytrzeźwień. Pracownicy oddziału toksykologii w szpitalu przy ulicy Biernackiego boją się andrzejek, sylwestra i popularnych imienin. Liczba pijanych pacjentów wzrosła o ponad 20 procent. Na oddział regularnie trafiają okoliczni pijacy.

Kiedy cztery lata temu w Elblągu klub radnych AWS próbował zlikwidować izbę wytrzeźwień, by ograniczyć koszty, zaprotestowali policjanci i straż miejska. Ostatecznie miasto uznało, że lepiej dokładać do izby, niż zwozić pijanych do szpitali, które i tak muszą zapłacić za ich pobyt.

od 200 do 400 złotych, a ściągalność opłat wynosi zaledwie 20 procent. – Izby same sobie ukręciły sznurek na szyję. Jeśli pobyt kosztuje tak drogo, siłą rzeczy nie ma możliwości ściągnięcia tych pieniędzy – uważa Marek Romsicki z PARPA.

Innego zdania jest Alina Dzikowska, główna księgowa izby wytrzeźwień w Szczecinie.

– Zmniejszenie opłat nie zwiększy ściągalności. Jeżeli ktoś pracuje i zdarzyło mu się

MUZYKA ZAMIAST BICZY

Od sześciu lat izby wytrzeźwień intensywnie się reformują. Personel ma coraz wyższe kwalifikacje. Pacjenci mogą też korzystać z pomocy psychologów i terapeutów.

– W porównaniu z warunkami w Hamburgu nasze placówki to prawie luksus – uważa Elżbieta Damasiewicz-Gudzowska, dyrektor krakowskiej izby wytrzeźwień. – Do niemieckich izb trafia margines społeczny. Doprowadzonych kładzie się w ubraniu na pryczy

w obskurnej sali, a jak już dojdą do siebie, czyli mogą ustać, wypuszcza się na ulicę. Nawet kawy nie dostają – mówi dyrektor.

W Rudzie Śląskiej agresywnych pacjentów personel uspokaja muzyką relaksacyjną. Dyrektor izby Grzegorz Zdebelak, z wykształcenia muzyk pedagog, poprzez muzykoterapię próbuje ucłowieczyć tę nieludzką instytucję, która za PRL-u słynęła głównie z biczy wodnych. Zdaniem dyrektora jego eksperyment nie wymaga wielkich nakładów – trzeba mieć tylko wieżę stereo i odpowiednią muzykę.

Do Rudy przyjeżdżają nawet Skandynawowie, by podglądać nowatorskie rozwiązanie. Z badań nad metodą dyrektora Zdebelaka wynika, że spośród 82 agresywnych pacjentów tylko 16 nie chciało w ogóle słuchać żadnej muzyki, krzycząc: „Wyłączyć to!”, 36 przy odgłosach lasu od razu oddało się marzeniom i odpłynęło w sen, a 23 osoby zasnęły kilka minut później. Z kolei sześciu podopiecznych poprosiło o zmianę muzyki, najczęściej na disco polo. Dyrektor podkreśla, że nie każda muzyka ma charakter terapeutyczny, a dźwięki należy dozować bardzo ostrożnie.

Marek Romsicki uważa, że izby trzeba reformować, bo stały się niewydolne, są molochemi i przypominają areszt. – Chcemy, żeby straciły więzienny charakter. Na podpis ministra zdrowia czeka rozporządzenie, by nietrzeźwe osoby podejrzane o popełnienie wykroczeń lub przestępstw od razu odwozić do aresztu, zamiast przechowywać je w izbie – tłumaczy Romsicki.

ZAMIATANIE POD DYWAN

Pracownicy izb opowiadają, że zmienił się wizerunek placówek, a pacjenci czasem nawet są wdzięczni za opiekę. – W jakiś poniedziałek przyszedł do nas mężczyzna, by po-

dziękować za uratowanie życia. Pamiętał, że spędził u nas bardzo mroźną noc, i gdyby tu nie trafił, najpewniej by zamarł – opowiada Elżbieta Damasiewicz-Gudzowska.

Pracownicy próbowali też obalić mit o kradzieżach w izbach. Opowiedzieli nam historię o pijanym mężczyźnie znalezionym w parku, który miał przy sobie kilkanaście tysięcy złotych. Rano okazało się, że dostał pożyczkę z banku i z tej okazji poszedł z kolegami świętować do parku. Dziękował Bogu, że pieniądze nie przepadły. Gdyby nie trafił do izby, najprawdopodobniej ktoś by go okradł, i co by wtedy żonie powiedział?

Inne opowieści mają ci, którzy 10 lat temu doświadczyli izby na własnej skórze. – To było najbardziej traumatyczne przeżycie w moim życiu. Nigdy nie zapomnę, jak stałem bosy i prawie nagi na lodowatych kaflach. Do dzisiaj mam przed oczami szpiczaste czubki butów sanitariuszy – wspomina noc w „żłobku” 38-letni fotograf.

Coraz więcej młodych osób uważa, że śpiących na ulicach pijaków nie należy w ogóle ruszać.

– Rozwojenie pijaczków po izbach wytrzeźwień to zamiatanie problemu pod dywan. Usuwamy ich z pola widzenia, ale oni wcale nie znikają. Następnego dnia wracają na ulicę po to, żeby policja znów ich zgarnęła do izby – uważa 27-letni Marek. Jego zdaniem w ogóle nie powinno się zbierać z ulicy pijaków i bezdomnych. Dlaczego my, podatnicy, mamy płacić za to, że oni nie pracują i piją?

Czy izby są lekarstwem na leżących na ulicach pijaków? Nie. Ale czy można ich po prostu zostawić bez opieki?

JOANNA GORZELIŃSKA
ANNA WOŹNIAK

LABORATORIUM PSYCHOEDUKACJI od 1978

Należy do EAP (Europejskie Stowarzyszenie Psychoterapii) i EAIP (Europejskie Stowarzyszenie Psychoterapii Integracyjnej). Ośrodek pomocy psychologicznej, psychoterapii, rozwoju osobistego i szkoleń. 8 superwizorów psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Psychiatrycznego: Anna Bersz, Anna Bieniek, Rafał Bornus, Jerzy Dmuchowski, Wojciech Eichelberger, Zofia Miłska-Wrzośnińska, Barbara Smolińska, Andrzej Wiśniewski. Licencjonowani superwizorzy treningu i trenerzy oraz psychoterapeuci.

PROponujemy:

- Konsultacje dla dorosłych i dzieci, psychoterapię indywidualną, grupową, rodzinną, warsztaty rozwoju osobistego.
- Od 25 lat organizujemy co miesiąc wyjazdowe pięciodniowe Grupy Otwarcia® nastawione na wzrost świadomości własnych uczuć i zachowań w kontaktach z innymi ludźmi. Najbliższe terminy: 9 – 14. I. 04, 6 – 11. II. 04, 7 – 12. III 04

SZKOlenia dla profesjonalistów:

- Kolejna edycja Kursu „Kontakt w sytuacji pomagania” IV – VI 2004. Cykl zajęć praktycznych dla osób pracujących w obszarze pomocy psychologicznej. Kurs przygotowuje do rekomendowanego przez Sekcję Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychologicznego trzyletniego Studium Psychoterapii, które rozpocznie się w lipcu 2004.
- Podyplomowe Studium Trenerów Grupowych we współpracy ze Szkołą Wyższą Psychologii Społecznej. Najbliższa edycja od X 2004 r.

Blizsze informacje: Laboratorium Psychoedukacji, ul. Katowicka 18, 03-932 Warszawa, Tel.: 617 61 64, 616 13 72, 0 501 20 14 90, faks 617 24 52; <http://www.lps.pl>, e-mail: lps@lps.pl

Polacy na Ziemiach Odzyskanych nie boją się Niemców. Czekają na nich jak na zbawienie. O dobro ojczyzny troszczy się już tylko prezydent Szczecina Marian Jurczyk

TEKST DOROTA SAJNUG

ZDJĘCIA
KONRAD KONSTANTYNOWICZ / ZEROJEDEN.COM

Z pocałowaniem ręki wszystko sprzedamy Niemcom – mówią mieszkańcy Boryszyna, małej wsi na Ziemiach Odzyskanych. – Żeby tylko chcieli kupić. Patriotyzm, Polska? O czym tutaj mówić, kiedy nie ma co do garnka włożyć. W Boryszynie w dobrym stylu jest mieć swojego Niemca. Parę euro zawsze skapnie. Ale boryszynianie, podobnie jak ich znajomi z sąsiednich wiosek, marzą o prawdziwym eldorado. Wierzą, że zacznie się ono dla nich w chwili, gdy wejdziemy do Unii i Niemcy zaczną masowo wykupywać naszą ziemię.

PROBLEM BARDZO NABRZMIAŁY

Prezydent Szczecina Marian Jurczyk troszczy się o przyszłość swego miasta. Postanowił uwłaszczyć mieszkańców jeszcze przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Już od stycznia szczecinianie będą mogli wykupić za 5–10 procent rzeczywistej wartości grunty, które wcześniej dostali w wieczystą dzierżawę.

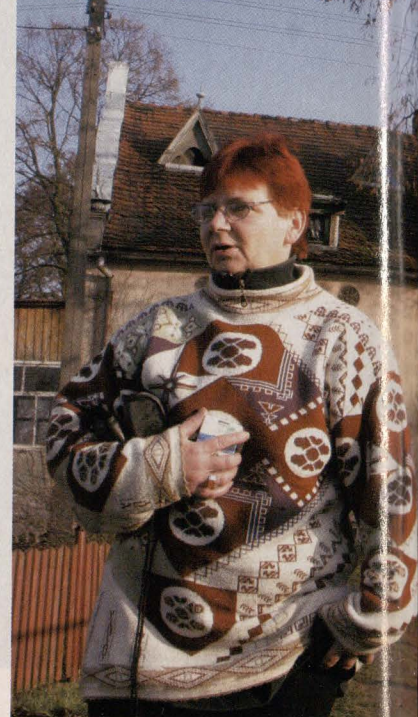
– Nie boję się Unii. Ale dobry gospodarz powinien sobie na przednówek zabezpieczyć kawałek chleba – mówi prezydent Jurczyk. – Moim obowiązkiem jest sprawić, by mieszkańcy Szczecina mogli spokojnie spać. To wynika z troski o własną ojczyznę. Nie twierdzę, że może się stać coś złego. Ale... Poza tym chcę dać ludziom możliwość dysponowania ich własnością. Sprawa Szczecina od wojny była drażliwa. Sądzę, że ten problem w najbliższej przyszłości jeszcze bardziej nabrzmieje.

Prezydent zaprosił w tej sprawie szczecinian do gmachu filharmonii. Zainteresowanie spotkaniem przeszło oczekiwania organizatorów. Ponad dwa tysiące osób nie mogło pomieścić się w sali, tłoczyły się na schodach i przed budynkiem. W holu umieszczono głośniki.

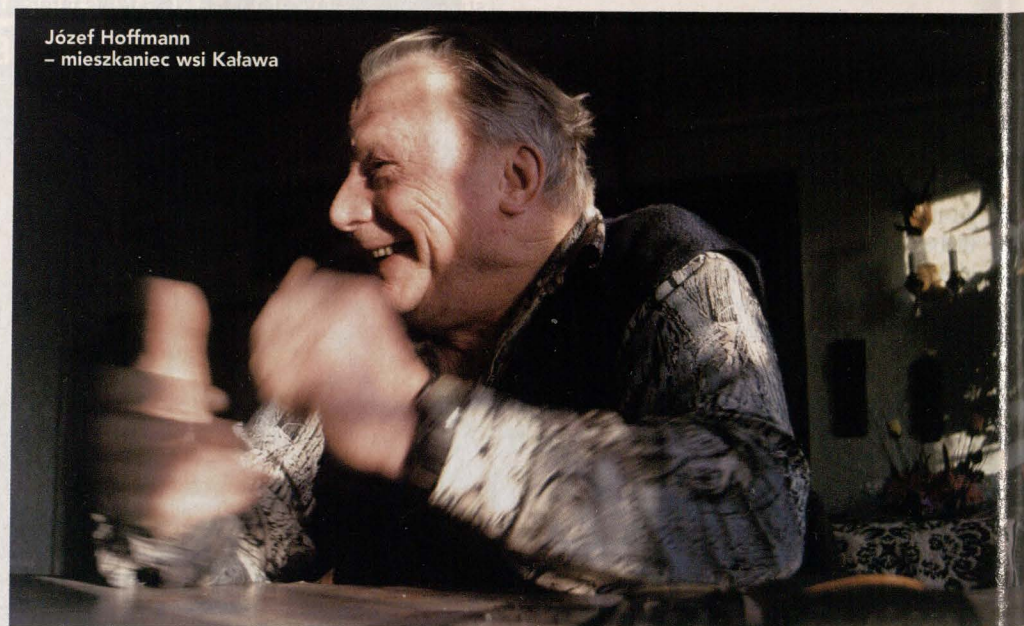
– W pewnym momencie do mikrofonu dorwała się jakaś starsza pani – opowiada jeden z uczestników spotkania. – Tak zajęła prezydenta swoimi sprawami, że nikt inny



Mirosława Kulaczyk
– sołtys Wysokiej



Anna Kędryna
– sołtys Boryszyna



Józef Hoffmann
– mieszkaniec wsi Kalawa



Anna Kędryna
– sołtys Boryszyna

Mirosława Kulaczyk na cmentarzu w Wysokiej, na którym pochodzący stąd Niemcy ufundowali „Kamień pojednania”

Anna Kędryna przed swoim domem. Osiem lat temu przyjechała do Boryszyna z Krakowa. U niej spotykają się Polacy i Niemcy, nowi i dawni mieszkańcy wsi

Józef Hoffmann, jedyny Niemiec, który po deportacji wrócił do rodzinnej Kalawy. W domu mówi zawsze po niemiecku, tylko przeklina po polsku

nie mógł dojść do głosu. Ludzie zaczęli się denerwować. Wyszarpili sobie nawzajem mikrofony. Zapanował totalny bałagan. Prezydenta wyprowadzono z sali drugim wyjściem.

Jurczyk jest zadowolony, że mieszkańcy tak bardzo zainteresowali się jego pomysłem. – Wiem, że większość z nich kupi ziemię, by zabezpieczyć swoją przyszłość. Nie sądzę, by ludzie masowo zaczęli pozbywać się własności i sprzedawać ją Niemcom.

O pomysły Jurczyka wszyscy mówią: – Jesteśmy za.

Ale część pracowników urzędu miasta nie wierzy w rozsądek szczecinian.

– Ludzie na pewno zaczną sprzedawać Niemcom ziemię – mówią. – Zdecyduje ekonomia. Taka uchwała ułatwi im tylko zadanie. Ale z drugiej strony – zastanawiają się – i tak nie unikniemy tutaj tego, co jest nieuniknione.

DOBRE DUCHY DZIADKÓW

– Pierwszy Niemiec pojawił się w Boryszynie gdzieś koło 1995 roku. Był przestraszony, przeproszał co drugie słowo, nie wiadomo za co. Tłumaczył, że przyjechał tutaj, by zobaczyć dom rodziców. Powiedział, że niczego nie chce i zaraz sobie idzie – opowiada sołtys Boryszyna Anna Kędryna.

Po pierwszym Niemcu szybko pojawili się kolejni. Ludzie pozamykali się w domach i nieufnie podglądali ich zza firanek. Przyjeźdźni chodzili po polach, zaglądali przez płoty do obojczy. Z czasem miejscowi przywykli do tych odwiedzin, a nawet je polubili. Dawni mieszkańcy Burschen (dziś Boryszyn) nie skąpili grosza. Chcieli, by gospodarstwa ich przodków nie popadły w ruinę.

Więc czasy, gdy w Boryszynie ludzie bali się Niemców, dawno należą do przeszłości. Nikt już nie straszy dzieci hasłem: „Bo przyjdzie Niemiec i wykupi”. – Żeby tylko przyszedł jak najprędzej – marzą boryszynianie. O przyjeźdźnych zza zachodniej granicy mówią „nasi przyjaciele”.

– Niemcy są tu akceptowani, a nawet pożądani. Byłam kiedyś świadkiem pewnej rodzinnej sceny – mówi Anna Kędryna. – Kiedy przyjeżdżają do Boryszyna Niemcy, robię za tłumaczkę. Pewien Niemiec chciał obejrzeć dom swoich dziadków. Poszłam zapytać o zgodę gospodarza. A on wciągnął Niemca do mieszkania, objął go, zaczął klepać po plecach i mówi: – Dziękuję panu za ten dom. Przeżyłem tu szczęśliwe życie. Pewnie dlatego, że opiekowały się mną duchy pana dziadków.

Pani sołtys przypomina sobie, jak kilka lat temu jeden z odwiedzających Boryszyn Niemców poprosił ją o niecodzienną przysługę. Miała zapytać mieszkańców, czy zgodzą się, by został pochowany na ich cmentarzu. Nie miał rodziny i chciał spocząć wśród swoich przodków.

– Ludzie powiedzieli, że im to nie przeszkadza – opowiada Kędryna. – Ten Niemiec jeszcze żyje, ale już przygotował sobie tu grób.

W Boryszynie podoba się Niemcom. I to nie tylko byłym mieszkańcom. – Do mnie przyjeżdżał „na roboty” Jürgen spod Drezna – żartuje Anna Kędryna. – Był bez pracy. U siebie dostawał zasiłek i trochę dorabiał na czarno. Pieniądze wołał wydawać w Polsce, bo tu taniej i na dłużej mu starczało. Mieszkał kątem u mnie. Za to mył podłogi i zmywał po obiedzie.

Pani Mirosława Kulaczyk, sołtys sąsiedniej Wysokiej (dawniej Hochwalde), uważa, że Niemcy z szacunkiem podchodzą do ziemi ojców. Pokazuje zdjęcie lotnicze swojej miejscowości zrobione tuż przed wojną. To podarunek od dawnego mieszkańca Leonarda Hoffmana. Wręczył je podczas uroczystości wmurowania „Kamienia pojednania” na miejscowym cmentarzu. Kamień ufundowali dawni mieszkańcy Hochwalde. Zjechało się wtedy parę autokarów z Niemiec. Tłumnie przybyli też obecni mieszkańcy wsi. Była msza tłumaczona od razu na niemiecki. Śpiewał chór. Wszyscy mieli łzy w oczach, i Polacy, i Niemcy.

Potem w barze pani sołtys odbyło się przyjęcie. Kobiety ze wsi upiekły placki, były międzynarodowe śpiewy. Teraz wspólne uctowania z Niemcami odbywa się kilka razy w roku.

– Starsze panie chciały się pochwalić, że znają parę słów po polsku – opowiada Anna Kędryna. – Przypomniały sobie „Szła dziewczeczka do laseczka”. Ale trochę im się pokręciło i wyszła „dziweczka”. Dzieci miały ubaw. Ale starsi z powagą poprawiali niemieckie babcie. Dbali, by nie poczuły się urażone.

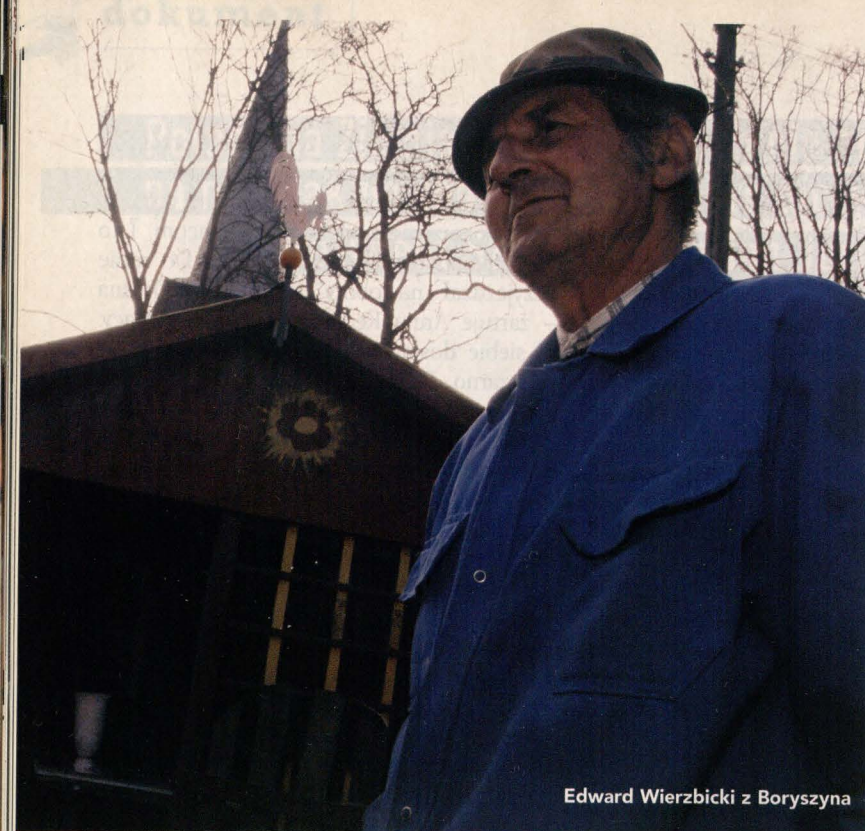
NIE RZUCIM ZIEMI

Józef Hoffmann jest jedynym Niemcem, który został po wojnie w Kalawie (dawniej Kalau). Po polsku mówi słabo. Na moje „Guten Tag” reaguje uśmiechem. W jego domu zawsze rozmawiało się po niemiecku. Tylko przeklinało po polsku. – W papierach mam, że jestem Polak. Tak trzeba było zrobić. Ale ja zawsze czułem się tylko Niemcem. Może teraz zmienię obywatelstwo – zastanawia się. – Ale mojej ziemi nie porzucę.

– Miałem 14 lat, gdy wysiedlono stąd całą moją rodzinę – opowiada. – Tata szybko umarł, a mama się uparła, żeby wracać. Mówiła, że tylko tu może żyć, że to jest jej dom. Przyciągnęliśmy nasz dobytek na wózek. Dom zasiedlony, nie było gdzie mieszkać. Jednemu gospodarzowi spodobał się nasz wózek. W zamian za koła dał nam dach nad głową. I tak tu żyję.

Hoffmann nigdy nawet przez moment nie pomyślał, żeby wyjechać do Niemiec. – Żle bym się tam czuł – przyznaje. – Tu mi dobrze. Tu zostanę do końca.

POLSKA ZIEMIĘ CHĘTNIE SPRZĘDAM



Edward Wierzbicki z Boryszyna

Edward Wierzbicki, przesiedlony zza Buga, chętnie sprzedałby Niemcom swoje gospodarstwo. Tak samo chętnie by zrobili inni mieszkańcy wsi

Poniżej: Prezydent Szczecina Marian Jurczyk boi się, że po wejściu do Unii obcokrajowcy będą masowo kupować naszą ziemię. Postanowił więc sprzedać ją Polakom za pięć procent wartości

Z pocałowaniem ręki Niemcowi bym sprzedał.

Pieniążki do ręki i złote życie na starość.

Co mi po patriotyzmie, kiedy nie ma z czego żyć?

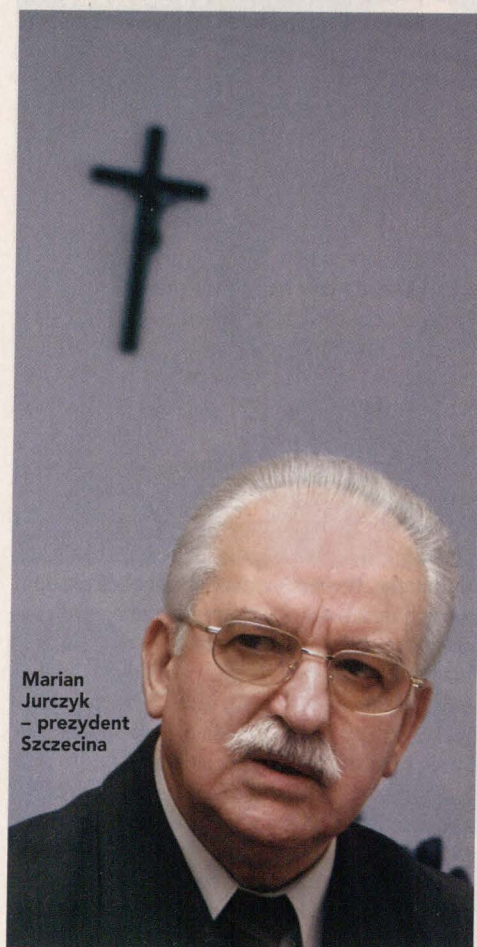
We wsi mówią o nim „rozprawdzający”. Kiedy tylko w Kaławie zjawia się jakiś Niemiec, musi trafić do Józefa. Wtedy pan Józef jest w swoim żywiole. Oprowadza gościa, poznaje z Polakami, pomaga się dogadywać. Chętnie pisze Polakom listy i tłumaczy pocztówki, które przed świętami przychodzą z Niemiec.

– Dzięki mnie kilka polskich rodzin przyjaźniło się z Niemcami – mówi z dumą. – Ja tu jestem swój, ludzie mi wierzą.

Hoffmann ma trochę pretensji do Niemców, że przyjeżdżają tak rzadko. – Wolą gdzieś fruwać po Majorkach. A ja nie wyobrażam sobie, jak można nie poznać miejsca, gdzie się urodziła i wychowała ich matka albo gdzie są groby dziadków.

Z PRZEKĄSEM O PATRIOTYZMIE

Mieszkańcy Boryszyna i sąsiednich wsi z chęcią pozbyliby się ciężaru, jakim jest dla nich gospodarstwo. Edward Wierzbicki, którego rodzina przyjechała kiedyś zza Buga, ma już dosyć swojej ziemi. – To tylko kłopot i ciężka praca. Ledwo się da związać koniec z końcem – mówi. – Z pocałowaniem ręki Niemcowi bym sprzedał. Pieniążki do banku i złote życie na starość. Może tylko dom bym



Marian Jurczyk – prezydent Szczecina

sobie zostawił i hodował parę świń i kur. Albo nie – dodaje po chwili. – Dom też bym sprzedał i kupił mieszkanie w mieście.

Wierzbicki uśmiecha się z przekąsem, gdy słyszy słowo patriotyzm. – O czym tu mówić – wzrusza ramionami. – Co mi po patriotyzmie, kiedy nie ma z czego żyć?

Inny mieszkaniec Boryszyna w ogóle się nie zastanawia. – Mam pięć hektarów. Oddam temu, kto da więcej. A czy to będzie Niemiec, Francuz czy Holender, czy może pani? Mnie tam wszystko jedno. Mam pracę, a ziemia do niczego mi nie jest potrzebna.

Cztery mężczyźni z Wysokiej, popijając piwo w wiejskim sklepie, zastanawiają się nad najbliższą przyszłością. – Naszych dzieci ta ziemia nie obchodzi – mówią po krótkim namyśle. – One tylko w Internecie siedzą, po innym świecie podróżują. Wyjeżdżają na stażę, za granicę. Widzą, że ludziami gdzie indziej jest lepiej. Prawie nikt z młodych nie chce tu zostać. My to też inne pokolenie. Może jedynie nasi rodzice do tej ziemi są przywiązani. Pamiętają wojnę i swoje wygnanie. Boją się stracić to, co mają.

Prezydent Marian Jurczyk jest wyraźnie zmartwiony, gdy opowiadam mu, co usłyszałam w Boryszynie i sąsiednich wsiach.

– To smutne – mówi. – Przecież nasi rodzice za Polskę przelewali krew. Boli mnie, że ludzie myślą takimi kategoriami. No cóż, w obecnych czasach najwyraźniej zwycięża ekonomia. Przykro mi, że nic nie można na to poradzić.

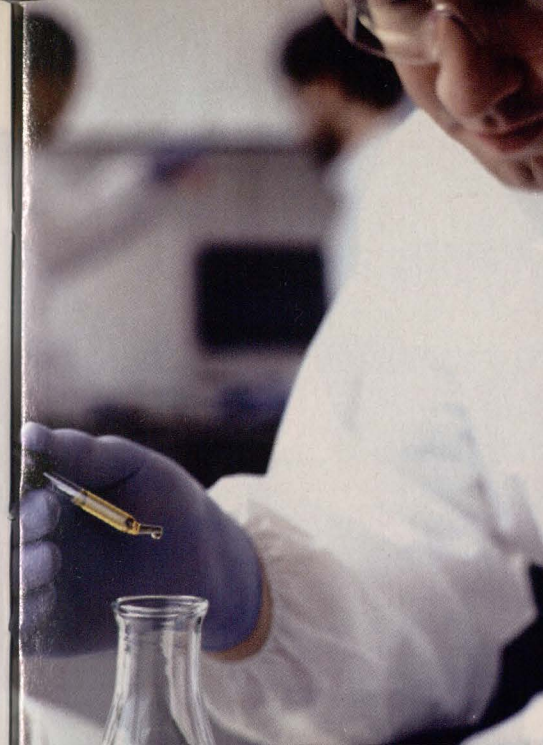
WSZYSTKIM SIĘ OPŁACI

Ale Niemcy nie palą się do wykupu. Anna Kędryna zapytała swoich gości, czy nie chcieliby na stałe wrócić na ziemię swoich przodków. – Skąd! – odpowiedzieli.

– Z 50 osób, które akurat były u mnie, tylko jeden Jürgen Kroft powiedział „tak” – mówi pani sołtys. – Atmosfera stała się wtedy trochę nieprzyjemna. Nakrzyczał nawet na mnie, że mieszkam w jego domu, w jego niemieckim domu, i nie mam do tego prawa. Ale inni twierdzili, że nigdy nie zamieszkali by tu na stałe. Że przyjeżdżają do Polski tylko z powodów sentymentalnych. Jeden oświadczył, że nie może patrzeć na straszną biedę, która tu panuje. Do Boryszyna nie wróci, woli zachować wspomnienia z dzieciństwa. Inni tłumaczyli, że w Niemczech mają swoje domy i swoje życie. Może kupiliby najwyżej jakąś działkę i domek letniskowy. A ziemia? O tym w ogóle nie myślą.

Mieszkańcy Boryszyna są optymistami. – Kupią, kupią. Potrafią liczyć pieniądze. To i nam, i im z pewnością będzie się opłacać.

DOROTA SAJNUG




lek

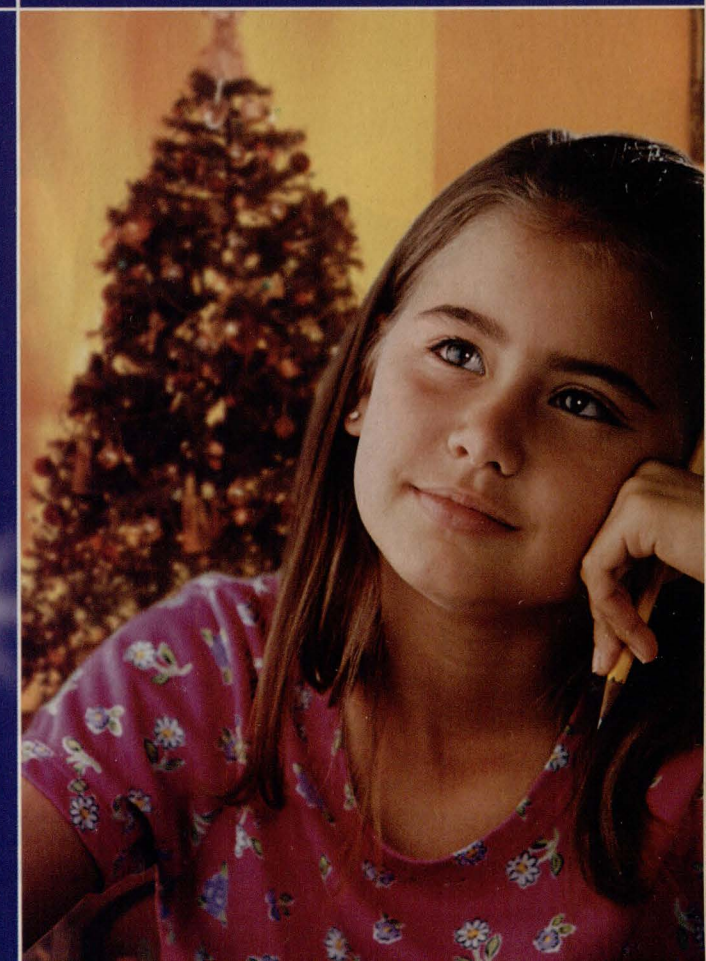
"...niech marzenia staną się rzeczywistością..."

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzymy wszystkim Czytelnikom, Partnerom oraz Przyjaciołom szczęśliwych, pełnych rodzinnego ciepła chwil, zaś w nadchodzącym Nowym Roku spełnienia marzeń.



lek OFICJALNY SPONSOR TOPR

ZDROWA WSPÓŁPRACA





szal

SPECJALNIE DLA TYCH, KTÓRZY JUŻ MAJĄ WYRZUTY SUMIENIA,
ŻE WPADLI W **SZAŁ ZAKUPÓW**, PRZYGOTOWALIŚMY COŚ NA POCIECHĘ
I UKOJENIE NERWÓW: 21 STRON O PRAWDZIWYM SZALEŃSTWIE KUPOWANIA
– OD SUPERLUKSUSOWYCH PRZEDMIOTÓW DO SPOKOJU SPOŁECZNEGO



Fot. KYOICHI TSUZUKI

KOD *luksusu*

OLGA WOŹNIAK

Luksusowy wyścig trwa. My chcemy być tacy sami jak bogaci, oni stosują uniki. Co liczy się w ich świecie? Dyskrecja, skromność i elitarność. Ostentacja powoduje skreślenie z listy znajomych

Rolls-royce? To takie pretensjonalne. Ten pierścionek z brylantem? Zbyt wulgarny. „Słoneczniki” van Gogha lepiej upchnąć gdzieś na strychu. Nie kupuje się przecież dzieł znanych malarzy, ale raczej tych mniej popularnych, za to bardziej intrygujących. Garnitur znanego projektanta? Zdecydowanie w złym guście. Co się liczy? Unikatowość, perfekcja, jakość i tradycja. Deklaruje ostentacja. Prawdziwy luksus to brak demonstracji, dyskrecja, skromność i elitarność. Jeśli tego nie wiesz, żegnamy.

JAK OGON PAWIA

Czym jest luksus? – Oznaką statusu. W ludzkich społecznościach możliwość posiadania drogiego przedmiotu stanowi dla innych taki sam sygnał jak w świecie zwierząt ogon pawia czy śpiew słowika – mówi profesor Tatiana Klonowicz z Instytutu Podstaw Psychologii Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej.

„Zobacz, jestem zdrowy i zaradny. Jestem lepszą partią od innych”. W świecie ludzi, tak jak i w świecie zwierząt – czy nam się to podoba, czy nie – większość zachowań to sygnały mające świadczyć o atrakcyjności seksualnej. A ludzkie akcje na rynku seksualnym rosną proporcjonalnie do grubości portfela.

– Kobiety myślą tak: skoro rzeczy, które ma ten mężczyzna, są takie drogie, to musi on być sprytniejszy od innych, a skoro jest taki sprytny, to potrafi też zatroszczyć się o potomstwo – wyjaśnia doktor Bogusław Pawłowski z Katedry Antropologii Uniwersytetu Wrocławskiego. – Z ewolucyjnego punktu widzenia maybach czy dom w Aspen niczym nie różni się od 10 krów, które ma Buszmen. Luksusowe auto czy taki dom w Europie jest tym samym co stado bydła w Afryce czy pole ryżu w Azji. Wyznacznikiem możliwości mężczyzny.

OFIARY DEMOKRACJI

Dlatego odwieczna mimikra popycha ludzi do naśladownictwa najbogatszych. Tak jak mucha przybierająca groźne barwy osy maluczcy, by podbić swe akcje na seksualnym rynku, nieustannie starają się przejmować symbole bogactwa. Jeśli dziś o przynależności do „kasty” świadczy torebka od Prady, możesz być pewien, że

Jak tworzy się poczucie luksusu?

Luksusowe samochody – Ferrari, Porsche, Maybach, Bentley. Cena? Sięga trzech milionów złotych. Choć w całości są wytworem techniki, uparcie starają się utrzymać iluzję naturalności. Najdroższe samochody wykańczane są drewnem i skórą. Karoseria robiona jest ręcznie. I tu także masowość przegrywa. Samochód często widywany na ulicach przestaje być atrakcyjny. Poza tak oczywistymi elementami wyposażenia, jak telewizor, komputer pokładowy czy GPS, firmy produkujące luksusowe samochody wkładają dużo pracy w znacznie bardziej subtelne sygnały. Tu liczy się dźwięk zamykanych drzwi, który może oznaczać stopień dopasowania do karoserii, odgłos silnika też wskazuje na wyższą jakość. W tym biznesie także liczy się dyskrekcja. Przykład? Właściciel modnej nowojorskiej restauracji Sirio Maccioni jeździ „zwykłą” lancią. Kolega „z tej samej klasy” nie da się jednak oszukać. Wprawne ucho natychmiast rozpoznaje, że pod karoserią lancii zamknięty jest silnik Ferrari. A jeśli chodzi o niewtajemniczonych – to co cię obchodzi, co oni myślą?

Luksus w aucie poznaje się także po... zapachu. Każda poważna firma motoryzacyjna zatrudnia sztab ludzi zajmujących się kompozycją „bukietu zapachowego” drogiego auta. Przed wypuszczeniem do sprzedaży samochody są dokładnie obwąchiwane. Z różnych części samochodu wycina się niewielki fragment i zamyka w hermetycznym pojemniku. Dwie godziny podgrzewa się go do 80 stopni Celsjusza. Następnie próbkę obwąchuje kilka specjalistycznych nosów i wystawia ocenę. 1 – oznacza bez zapachu, 6 – nieznośna woń. Oczywiście kontroluje się zapachy nie tylko wycinków wyposażenia, lecz także całe ich zestawy, by sprawdzić, czy poszczególne wonie się nie gryzą. Pod koniec cały samochód nagrzewany jest specjalnymi promiennikami przez kontrolerów, którzy sprawdzają wrażenie ogólne. Określa się, jaki zapach dominuje. (OWO)

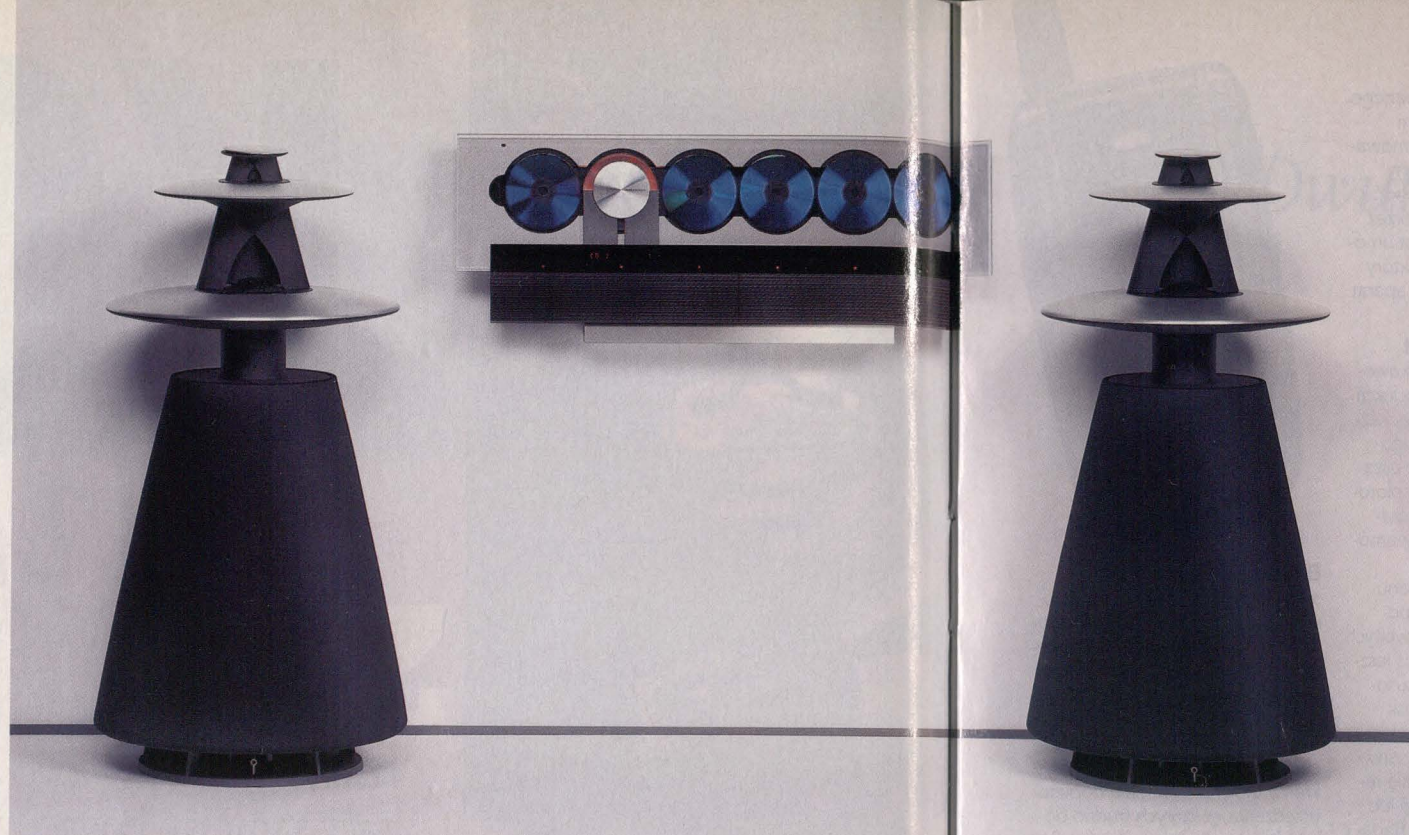
Morgan



Bristol



Bentley



W audiofilskim sprzęcie Bang & Olufsen trudno się czasem dopatrzeć jego prawdziwego przeznaczenia

W następnym sezonie każda przedstawicielka klasy średniej będzie nosić jej gorzej lub lepiej wykonaną podróbkę. Jeśli szykiem jest podjechać pod restaurację bentleyem, jutro nowobogaccy playboycy z pewnością zaopatrzą się w wóz tej marki.

To właśnie napędza rynek dóbr luksusowych – by nie pozwolić zagarnąć swoich terytoriów hordom nowobogackich z ambicjami, prawdziwie bogaci ludzie muszą dokonywać wielu uników. Co sezon zmieniać kod dostępu do sezamu. „Jeśli w tym roku symbolem statusu jest Boże Narodzenie w St. Bart’s – pisze Richard Conniff, autor „Historii naturalnej bogaczy” – za rok będzie nim wyprawa na ranczo w Portugalii”. Nie znasz kodu – wypadasz.

Dawniej bogaczom żyło się dużo łatwiej. Luksusowe dobra były naprawdę luksusowe. Na kupno purpurowego płaszcza pozwolić mógł sobie tylko król – czerwony barwnik pozyskiwano z pewnego rodzaju skorupiaków. Do ufarbowania jednego płaszcza potrzebnych było 12 tysięcy zwierzątek. Kogo na to stać?

Gdyby jednak znalazł się taki śmiałek – zaraz można go było poskromić za pomocą prawa. Odpowiednie ustawy utrzymywały jakiś taki porządek w hierarchii.

Chłopi mogli ubierać się na brązowo lub czarno, jedwab przysługiwał wyżej urodzonym, tak jak i odpowiednie barwy. Znaczenie miała liczba złotych i srebrnych guzików, a szerokość koronkowego kołnierza

od razu dawała jasność, kto jest kim. Podszycanie się bogatych kupców pod szlachciców karano grzywnami.

Życie najbogatszych utrudniła demokracja. Dziś każdy może ubierać się, jak chce, i trudno zakazać tego jakąkolwiek ustawą. Zwiększa się także liczba osób, które stać na zakup dóbr luksusowych.

Ale zmiany luksusowych artykułów w produkowane masowo czynią je bezwartościowymi. Jak się bronić?

MUSI BYĆ DROGO

Odpowiedź daje efekt Veblena – zjawisko w ekonomii nazwane tak na cześć naukowca, który pierwszy dostrzegł prawidłowość: bogaci wolą wyższe ceny, bo to określa przynależność do grupy. Obniżka cen luksusowych artykułów może paradoksalnie zmniejszyć ich sprzedaż.

Wie o tym dobrze zarząd luksusowych hoteli Four Seasons. Woli zamknąć hotele poza sezonem, niż obniżyć cenę, by nie zepsuć prestiżowego wizerunku. Kto zlekceważy efekt Veblena – wypada z gry.

By bronić się przed farbowanymi lisami chyłkiem usiłującymi dostać się do wyższej sfery, bogaci ludzie stosują jeszcze jeden zabieg: umiar. Sztuka bycia bogatym nie polega na konsumpcji na pokaz – najczęściej się z tym pogodzić nowobogackim, którzy bardzo potrzebują widocznego potwierdzenia swojego statusu. Bogaci wiedzą dobrze – popisywanie się czymkolwiek: intelligen-

cją, pieniędzmi, urodą, to sygnał, że coś jest nie w porządku. Ma to zastąpić coś innego – kompleks pochodzenia, wiek, brak wykształcenia. Dlatego gdy widzisz kogoś z ostentacją popisującego się luksusem, możesz być pewien – ten człowiek jest „nowy w klasie”.

W sferze najbogatszych informacje o statusie przekazywane są zaszyfrowanym językiem zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych. Dlatego nie wzruszajmy się skromnością bogatej kobiety, która nosi broszkę wyglądającą, jakby była ze stali. Wtajemniczeni wiedzą, że musiała po nią polecieć do Paryża i kupić przy placu Vendôme w sklepie, który wygląda, jakby chylił się ku upadkowi. Wystawa wyłożona wypłowiałym aksamitem nie zachęca do wejścia. Po co? Co tam jest? To wiedzą tylko ci, którzy umieją rozszyfrować trzy litery wygrawerowane na lustrze nad drzwiami: JAR. Joel A. Rosenthal umawia się tu na indywidualne spotkania z najbogatszymi kobietami świata. Projektuje dla nich biżuterię. Posiadł sekret takiej obróbki platyny, by wyglądała na stal. Tak szlifuje różowe szafiry, by myłono je z ametystami. Ta skromność kosztuje 30 tysięcy dolarów.

A że inni tego nie widzą? Bogacz nie usiłuje wyrzeć wrażenia na człowieku poza

jego klasą. Za specjalną dopłatą firmy luksusowe zdejmują metki z ubrań, znaczki z samochodów. Bogaty i tak rozpoznaje, na innych im nie zależy.

ZEMSTA VEBLENA

– Niektóre marki osiągnęły swój szczyt pod koniec lat 90. – mówi Bernard Arnault, „papież luksusu”, szef LVMH, koncernu zrzeszającego firmy luksusowe: – Ześliznęły się jednak z mapy wyrobów prestiżowych i stały się częścią rynku masowych wyrobów luksusowych. Gucci czy Prada teraz w Europie Zachodniej wydają się starym klientem za mało elitarnym.

I choć poszerzenie rynku dóbr luksusowych wydawało się dobrym ruchem marketingowym – efekt Veblena mści się na sprytnych szefach sprzedaży. Nigdy wcześniej tak jak teraz rynkiem dóbr luksusowych nie wstrząsała recesja ani sytuacja polityczna.

Dawniej luksus kierowany był do wąskiego grona odbiorców, których sytuacja materialna pozwalała na pozostawanie obojętnymi na światową zawieruchę ekonomiczną. Dzisiejsi masowi odbiorcy dóbr luksusowych bardziej uzależnieni są od kursu euro, wojny w Iraku

STATOIL

zadowolenia do pełna

Serdeczne życzenia Magicznych Świąt



Wszystkim naszym Klientom składamy serdeczne życzenia na Święta i Nowy Rok.

Duxo miłości, zdrowia, spokoju i wszelkiej pomysłowości.

Odwiedź w dniach 20-24 grudnia jedną ze stacji Statoil, zrób zakupy za minimum 150 zł i odbierz nasz gwiazdkowy prezent dla Ciebie – płytę CD z wyborem najpiękniejszych koled. Liczba płyt ograniczona.

i recesji. Dlatego luksusowe firmy zaczęły poszukiwać nowych pomysłów. Jak często bywa w takiej sytuacji – najlepsze okazały się te już sprawdzone.

Luksus opłaca się tylko wtedy, gdy będzie dostępny jedynie dla wybrańców. Według szacunkowych danych na świecie jest blisko siedem milionów milionerów, których majątek łącznie wart jest 27 bilionów dolarów. W samej tylko Azji w ciągu ostatnich 15 lat liczba bogaczy wzrosła o 60 procent. Dlatego nie warto już dogadzać gustom średniozamożnych. Wiele firm zlikwidowało tanie linie i zaproponowało produkty jeszcze droższe niż jakiegokolwiek do tej pory. Veblen uśmiecha się tryumfalnie.

KROJONE NA MIARĘ

Dziś nie chodzi o to, by mieć zegarek Rado, ale by był zaprojektowany specjalnie dla ciebie. Suknia? Precz z haute couture. Ta była uszyta tylko dla ciebie. U Gucciego kupisz buty szyte na miarę. Nie stać cię? Spadaj!

Dziś kupujesz sobie prawo do wyłączności posiadania. W przyszłości będzie jeszcze bardziej elitarnie. Z badań rynku przeprowadzonych przez brytyjską firmę Pearlfinger zajmującą się wzornictwem wynika, że indywidualizacja luksusu będzie postępować. Na wóz walkmanów powstaną „spaceman”, które będą dbać o nasze otoczenie: likwidować hałas (wytwarzając fale dźwiękowe w przeciwfazie) i rozciąć zapach przyjemny dla naszego powonienia, tworząc minioazy spokoju.

W przyszłości kucharz będzie nam przygotowywał posiłki dostosowane do naszego DNA. Genetycznymi preferencjami będą się też kierować twórcy leków czy kosmetyków. Wszystko będzie przycięte na biologiczną miarę. A gdy światem luksusu zaczną rządzić genetycy, bardzo trudno będzie ukryć brak błękitnej krwi. Choć pewnie i to stanie się z czasem jedynie kwestią pieniędzy.

OLGA WOŹNIAK

KORZYSTAŁAM MIĘDZY INNYMI Z KSIĄŻEK „HISTORIA NATURALNA BOGACZY” RICHARDA CONNIFFA, „PSYCHOLOGIA EWOLUCYJNA” DAVIDA M. BUSSA ORAZ „THE ECONOMIST” Z 3 LIPCA 2003 R.



KAŻDEMU LUKSUS NA JEGO MIARĘ. JAK ZAPEWNIAMY SOBIE POCZUCIE LUKSUSU, CHOĆ NIE JESTEŚMY MILIONERAMI?

RADIOWA TRÓJKA, CZWARTEK, 21.00. ZAPRASZA JERZY SOSNOWSKI

Elektroluksus

Producenci sprzętu elektronicznego mają twardy orzech do zgryzienia. Nielatwo jest zrobić wrażenie na kliencie przyzwyczajonym do tego, że co miesiąc pojawiają się na rynku kolejne nowinki. Jeszcze trudniej jest oszłomić kogoś, kto ma duże pieniądze. Producenci wzięli się jednak na sposób.

Telefon komórkowy jeszcze niecałe 10 lat temu był wyjątkowym luksusem. Choć ówczesne słuchawki były ciężkie i niewygodne, pokazywały, że ich właściciel musi mieć stałe kontakty z wielkim światem i że go na to stać. Teraz komórkę ma niemal każdy – jedyny wyjątek stanowią niemowlęta. Ceny sprzętu spadły na tyle, że średnio sytuowany



biznesmen może sobie pozwolić na najbardziej zaawansowany technicznie aparat niemal dowolnej firmy. No właśnie – niemal. Fińska Nokia, największy na świecie producent telefonów komórkowych, stwierdziła, że prawdziwie prestiżowych klientów nie zdołacie aparatem napchanym nowinkami technicznymi. Nawet najbardziej rozbudowana słuchawka nie kosztuje przecież więcej niż trzy-cztery tysiące złotych. To zdecydowanie za mało, by choćby zainteresować naprawdę bogatych. Powstała więc firma-córka Vertu. Pozornie z matką nie łączy jej nic poza branżą. Starannie unika się skojarzeń z typowymi telefonami Nokii. Vertu sprzedaje aparaty-cudeńka. Na stronie internetowej klient sam wybiera, czy aparat ma mieć obudowę ze stali nierdzewnej, złota czy może platyny. Oraz czy platyna ma się błyszczyć, czy też być dyskretnie matowa. Telefon w platynowej obudowie kosztuje 21 tysięcy dolarów – niemal 85 tysięcy złotych. Co ciekawe, za te pieniądze

nie dostaje się ani wbudowanego aparatu fotograficznego, ani skomplikowanego oprogramowania. Liczy się sam styl i jedyny w swoim rodzaju projekt. Choć zamówienie można złożyć przez Internet, lepiej widziane jest umówienie się z konsultantem, który doradzi, jak skonfigurować aparat do własnych potrzeb.

Personalizacja i projekt

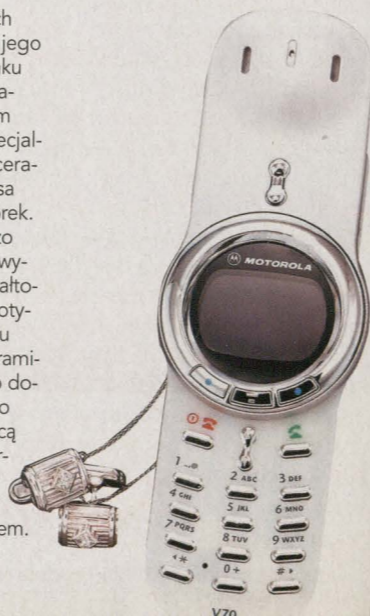
są tym, co świadczy o wyjątkowości urządzenia. W dobie produkcji idącej w miliony egzemplarzy każdy chciałby mieć coś jedynego w swoim rodzaju. Biedacy muszą się zadowolić wymiennymi kolorowymi obudowami czy wygaszaczem ekranu. Bogaci mogą zamówić obudowę ze skóry w ulubionym kolorze lub menu dostosowane do własnych potrzeb. Za cenę dwóch przywoitych samochodów dostaje się coś jeszcze. To pomysł wzięty z luksusowych hoteli – małe przyciski o nazwie concierge, którego wciśnięcie łączy ze specjalnym serwisem, gdzie obsługa zajmie się rezerwacją stolika w restauracji lub zakupem biletu lotniczego. Bogatemu klientowi trzeba dogodzić.

Komórka Vertu nie zwraca uwagi swoim wyglądem. Szlachetny metal nie różni się na pierwszy rzut oka od dobrze dobranego plastiku. Są jednak okazje, gdy trzeba zabłysnąć – szczególnie lubuje się w tym show-biznes. Z okazji jednego z festiwali w Cannes firma Motorola wypuściła na rynek serię telefonów V wyposażonych w 10-karatowymi diamentami. Taki gadżet kosztował 50 tysięcy dolarów. Kontynuując ten trend, Motorola nawiązała współpracę z firmą Swarovski słynącą z wyjątkowo lśniących kryształów. Skrzętnie nakładkę na telefon łatwo pomylić z elegancką bransoletką – zadbano o to skojarzenie, odpowiednio ją pakując.

Biuro projektów, które powstało w strukturach niemieckiego Siemens, opracowuje wygląd wszystkich produktów tej firmy. Jeden z jego menedżerów opowiada o rynku luksusowych telefonów, wymachując niewielkim błyszczącym przedmiotem. To kawałek specjalnie przygotowanego spieku ceramicznego – zdaniem Siemens przyszłość luksusowych komórek. Co prawda materiał jest bardzo ciężki, ale za to ma niezwykłą wytrzymałość, daje się łatwo kształtować i jest bardzo chłodny w dotyku. Jeżeli w obudowie telefonu umieści się fragment takiej ceramiki, urządzenie będzie ważyło o dobre 50 gramów więcej, ale o to chodzi. Zamożni klienci nie chcą czuć w ręce zwykłego, ordynarnego plastiku – znacznie przyjemniejsze będzie na przykład połączenie ceramiki z jedwabiem.



Branża audio podbija serca bogatych klientów wyjątkowym projektem. Bardzo dobry telewizor można kupić za kilka tysięcy złotych, ale najnowocześniejsze technologie zostaną w nim obudowane zwykłym, co najwyżej srebrnym, plastikiem. Wstyd postawić coś takiego w apartamencie. Dyskretny urok luksusu mają dopiero urządzenia, w których trudno dostrzec się ich funkcji. Telefon firmy Bang & Olufsen przypomina futurystyczny kwiat, a głośniki wyglądają jak generatory pola siłowego z filmu science fiction. Wszystko nasycone jest zaskakującymi rozwiązaniami – pilot sam się unosi, gdy zbliży się do niego dłoń. Inną formą luksusu jest sprzęt audiofilski. Tu nie liczy się wygląd – najdroższe modele pakuje się w obudowy żywo przypominające projekty z NRD. Obowiązuje zasada – im mniej przycisków, tym lepiej. Wewnątrz również styl retro – ponoć najlepszy dźwięk dają stare lampy próżniowe, zastąpione dziś przez tranzystory. O ile zwykły wzmacniacz dobrej firmy można kupić za pięć tysięcy złotych, o tyle brudnosrebrzysta obudowa wypełniona archaicznymi lampami może kosztować tyle, ile niewielkie mieszkanie. (PS)



Dwutygodnik **VIVA!**
prezentuje wielki plebiscyt

VIVA! 2003
NAJPIĘKNIEJSI

27 listopada w **VIVIE!** szukaj listy

25 NOMINOWANYCH POLEK

Zagłosuj – wybierz **NAJPIĘKNIEJSZĄ**

i wygraj:



CITROËNA C2

oraz ponad 200 atrakcyjnych nagród

Partnerem akcji jest **L'ORÉAL**
PARIS



TEKST MARCIN WLAZY
ZDJĘCIA KYOICHI TSUZUKI



WESOŁYCH OFIAR!



U góry:
Japoński
fotograf
Kyoichi
Tsuzuki – na
mianiaków
mody trafiał
przypadkiem

Na sąsiedniej
stronie: Fanka
projektantki
Anny Sui jest
dodatkiem
do własnego
mieszkania

Obok:
Buddyjski
mnich
z Ibaragi
w swojej tajnej
świątyni
ciuchów firmy
Comme des
Garçons

Moda to nie żarty. Nie można być modnym tylko trochę. Trzeba iść na całość. A to może cię doprowadzić do szaleństwa. Więc lepiej uważaj!

Co rano tokijczyk Yoyogi Hachiman, opuszczając swą mikroskopijną kawalerkę, owija wokół dłoni pomarańczowy ręcznik i dopiero taką owiniętą ręką chwytą swój nesenser. Ten ręcznik wzbudza czasem ciekawość kogoś z pędzącego do pracy tłumu w zatłoczonym wagonie metra albo w przypominających mrowisko korytarzach podziemnej kolejki. Na samą teczkę nikt nie zwraca uwagi.

Tymczasem jest ona warta 4,5 tysiąca dolarów, czyli 18 tysięcy złotych. Skromny tokijski urzędnik biurowy kupił ją w Paryżu, w firmowym butik starym francuskiego Hermès. Firmy znanej z jedwabnych chustek, krawatów i perfum. Znanej z logo z bryczką zaprzęgniętą w jednego konia. Ten nesenser to dla Yoyogiego świętość. Nie chce go kalać własnym potem, a że, niestety, pocał mu się ręce, więc wymyślił, że będzie sobie

owijał dłoń ręcznikiem. Ręcznik też zresztą nosi logo z bryczką. Hachiman jest maniakiem Hermès. Na gadzety tej firmy wydaje wszystkie zarobione pieniądze. Nie ma rodziny, w klitce bez łaźienki mieszka sam. Z Hermèsem.

PODWÓJNE ŻYCIE MNICHA

Nie wiemy, jak ma na imię. Ma 29 lat i jest buddyjskim mnichem w świątyni

w Ibaragi koło Osaki. Ale nie tylko. Jest też mnichem w zakonie wyznawców firmy Comme des Garçons. To nie jest byle jaki zakon.

Założona w 1973 roku przez słynną japońską projektantkę Rei Kawakubo firma od lat uchodzi za synonim słowa „kultowy”. Comme des Garçons to odzież, którą nosi świat sztuki – właściciele prestiżowych galerii,

artyści, kuratorzy i kolekcjonerzy. To Comme des Garçons w latach 80. wylansowało na nowo kolor czarny – dziś obowiązkowy kolor elit, show-biznesu, mediów i reklamy.

Ubrania projektowane przez Rei Kawakubo przypominają bardziej rzeźby niż zwykłą odzież. Ale poza trudnymi projektami Kawakubo tworzy też serie superdrogich, prostych T-shirtów. To od nich zaczęło się szaleństwo

skromnego mnicha z Ibaragi. Co miesiąc na jeden weekend opuszcza klasztor i jedzie do Tokio, gdzie w opłacanej przez niego kawalerce czekają koszulki, marynarki, spodnie, berety, szale, kamizelki, koszule w kwiaty i w kratę – wszystko z metką Comme des Garçons. Tu zrzuca swój mniszy habit i staje się jednym z milionów ultramodnych tokijczyków. Ma tylko kilkadziesiąt godzin, by

Te mieszkania są czymś nowym. Są mieszkaniami ciuchów, nie ich właścicieli

oddać się szaleństwu zakupów – po japońsku „shoppingu” lub „kaimono”.

PAN MARGIELA

Zanim wyjaśnię, o co chodzi, opowiem o jeszcze jednym szaleńcu. Ten wykładowca akademicki – podobnie jak mnich od Comme des Garçons – wolał zachować anonimowość. Można go nazwać Panem Margiela – od nazwiska belgijskiego projektanta, który doprowadził Bogu ducha winnego tokijczyka do granic obłądzenia.

Kiedy je, nachyla się nad talerzem, niemal dotyka nosem swego posiłku. Po to, by ani jedna kropelka tłuszczu czy sosu sojowego nie kapnęła na jego święte ciuchy. Pan Margiela nie suszy ubrań na sznurkach na zewnątrz – mogłyby zszarzać od spalin. Ma specjalny system wieszaków w mieszkaniu, wszystkie sztuki odzieży ponumerowane, znają swoje miejsce w szeregu. Kiedy przychodzi wiosna, Pan Margiela pakuje zimowe rzeczy do specjalnych plastikowych toreb i odsysa z nich powietrze, by nie dać szansy molom. Pan Margiela w swym mieszkanku jeszcze nigdy nie przygotował żad-

nego posiłku – odzież mogłaby przesiąknąć zapachem jedzenia. Nie ma nawet kosza na śmieci. Po prostu nie ma w domu nic, co w jakikolwiek sposób mogłoby zaszkodzić ubraniom z metką Martina Margieli.

Trzeba przyznać, że sam projektant zdaje się celowo zachęcać do takich niecodziennych zachowań. Poza gronem współpracowników nikt nie wie, jak Martin Margiela wygląda. Uważany za jednego z najzdolniejszych projektantów średniego pokolenia wywiadów udziela wyłącznie za pośrednictwem faksu. I nigdy nie przychodzi na pokazy. Jego ubrania można rozpoznać po białej metce pozbawionej nazwiska projektanta. Dziwak. Jak i jego japońscy fani.

SZCZĘŚLIWE OFIARY

Wszystkie te historie i kilka innych, równie dziwacznych, wyłowił Kyoichi Tsuzuki. Trudno dokładnie powiedzieć, kim jest ten 47-letni tokijczyk. Jest mistrzem odkrywania. Projektował kluby nocne, wydawał pisma poświęcone sztuce, był reporterem, redaktorem, dziś jest przede wszystkim fotografem. Fotografem-tro-

picielem. Najszynniejsza jego książka, wydany w 1993 roku album „Roadside Japan” („Przydrożna Japonia”), to fotograficzny zapis podróży przez prowincjonalny kicz we wszystkich kolorach landrynek. To Japonia kierowców tirów, a nie kaligrafów i ogrodników. Ten album pokazywał Kraj Kwitnącej Wiśni tak odmiennie od naszych zachodnich wyobrażeń, że aż stał się wydarzeniem.

Następnie Tsuzuki przez kilka lat fotografował kicz japońskich mieszkań. Mieszkań, o których myślimy, że są kwintesencją minimalistycznej harmonii. Owocem tej pracy stał się album „Universe for Rent” („Świat do wynajęcia”) – o świecie zagraconych, byle jakich mieszkańek, za które Japończycy muszą płacić horrendalne czynsze.

Podczas tej pracy Tsuzuki natknął się na coś zupełnie sobie nieznanego. Na maniakalnych kolekcjonerów ubrań. Ubrań noszących metkę tylko jednego projektanta. Wnętrza ich mieszkań też były czymś nowym. To były mieszkania ciuchów, nie ich właścicieli. Przeszrenie, w których rządzą nie ludzie, ale

W mieszkaniu miłośnika projektanta Martina Margieli nie ma nic, co mogłoby zaszkodzić ukochanym ciuchom. Nie ma kuchni, kosza na śmieci. W lodówce – tylko przeterminowane krople do oczu. Żadnych zapachów



Niech Święta będą czasem ciepła i spokoju,
niech życzenia się spełniają, a postanowienia
zmieniają życie. Niech świąteczny czar
trwa jak najdłużej i niech każdy z Was
zawsze nosi w sercu świąteczną moc
– moc spełnionych marzeń.

Spełnionych marzeń życzy



GRUPA PZU

Członkowie Grupy: PZU SA, PZU Życie SA



Po lewej: Fanka ubrań Vivienne Westwood rozstała się ze swoim chłopakiem, bo chciał, by założyła zwykłe dżinsy. Niżej: Tu mieszka fanka Gucciego



Pozbawione oprawy ubrania modnych marek stają się wielkim nic. Upchane w ciasnych mieszkaniach wyglądają jak podróbki

przedmioty. W których ludzie stają się dodatkiem. Modnym dodatkiem, ma się rozumieć.

Cykl 32 zdjęć, z których kilka pokazujemy dziś w „Przekroju”, Tsuzuki zatytułował „Happy Victims” – „Szczęśliwe ofiary”, od angielskiego określenia *fashion victim* – ofiara mody. Niecodzienność tych zdjęć bierze się przede wszystkim z tego, że Tsuzuki sfotografował swych bohaterów w ich prywatnych mieszkaniach. A raczej norach, bo dla Europejczyka mieszkanie mające kilkanaście metrów kwadratowych to raczej nie jest mieszkanie. Sami z siebie ci Japończycy są po prostu modnie ubranymi zwykłymi ludźmi. Robi się ciekawie dopiero wtedy, gdy uchylą przed nami drzwi swych dziupli. Robi się wtedy i śmieszno, i straszno.

SZYKUJ MIEJSCE

Tsuzukiego zafascynowały te świątynie ciuchów. Wiele osób wyznało mu, że niektóre z tych ubrań nigdy nie były noszone. To jeszcze da się wytłumaczyć pasją kolekcjonerską. Ale czym wytłumaczyć rozpad związku kolekcjonerki ubrań Vivienne Westwood, której narzeczony kupił motor i chciał, by jego dziewczyna założyła na przejażdżkę zwykłe dżinsy?

Inna „szczęśliwa ofiara”, która wszystkie swoje pieniądze wydaje na ciuchy i kosmetyki Anna Sui, przeistoczyła siebie w manekin, a mieszkanie w butik ulubionej projektantki. Nie ma w nim praktycznie niczego, co nie nosiłoby napisu „Anna Sui”.

Anonimowa maniaczka Jeana Paula Gaultiera uznana przez firmę za „czołową japońską klientkę” kupuje wszystkie nowe modele projektanta. Gdy tylko coś nowego dociera do butiku, pracownicy dzwonią do niej, by szykowała miejsce na kolejne ubranie. W małym, dwupokojowym mieszkaniu żyje z mężem i dwoma córkami. Wynajmuje specjalne pomieszczenie na pułki ze swymi Gaultierami. Mąż kiedyś policzył, ile te fanaberie niepracującej żony kosztowały. Mogłoby za to wybudować własny dom.

TACY SAMI, TYLKO BARDZIEJ

Czy kanciapy pełne szmat, którymi w rzeczywistości są mieszkania „szczęśliwych ofiar”, mają w sobie coś modnego? Czy w jakikolwiek sposób kojarzą się z luksusowym światem elegancji? Odpowiedź brzmi: oczywiście nie!

Kyoichi Tsuzuki chciał zainteresować wielkie domy mody swymi odkryciami. Ale wielkie domy mody, które należą dziś w większości do wielkich korporacji i wydają miliony na reklamę, zauważyły to samo co wszyscy. Że te ich superszałowe ubrania pozabawione odpowiedniej oprawy stają się wielkim nic. Sfotografowane przez Tsuzukiego mieszkania wyglądają jak bliskowschodnie stragany, na których handluje się podróbkami! Ze sponsoringu wyszły nici.

Ale wystawa i tak trafiła do Europy. W Paryżu i Londynie zamożni mieszkańcy przychodzili tłumnie popatrzeć na te dziwne zdjęcia. W londyńskiej Photographers' Gallery, dokąd „Szczęśliwe ofiary” trafiły w październiku, wi-

dzowie zaśmiewali się jak dzieci w wesołym miasteczku. Bo wiadomo – Japończycy to taki śmieszny naród.

O zdjęciach Tsuzukiego rozmawiałem z Henrykiem Lipszycem, wybitnym japończykiem, byłym ambasadorem RP w Tokio. – Łatwo nam żartować z przywiązania Japończyków do luksusowych marek. Ale każdy, kto przeżył tam trochę czasu, wie, że wbrew temu, co się powszechnie sądzi, warunki bytowania tam są naprawdę trudne. Kupowanie markowych ubrań i gadżetów, a także inne, czasem dla nas niezrozumiałe formy rozrywki są, być może, formą kompensacji. Komfort życia codziennego jest wątpliwy. Kilka milionów mieszkańców Tokio poświęca codziennie trzy godziny albo i więcej na dojazdy do i z pracy. Do tego dochodzi klimat. Lato w japońskiej metropolii bez klimatyzacji to doświadczenie trudne do zniesienia. Nie wspominając o ciasnocie i ciągłym zagrożeniu trzęsieniami ziemi i tajfunami. Przyszło im żyć naprawdę w trudnych warunkach, ale dzięki samodyscyplinie radzą sobie nieźle – mówi Lipszyc. – A tak poza tym – może pan tego użyć jako puenty – to Japończycy są tacy sami jak my, tylko bardziej.

Londyńczycy śmieją się ze „Szczęśliwych ofiar” mieli ręce pełne eleganckich toreb z drogich butików. A my? Czy nie ulegliśmy właśnie świątecznej akcji „Kupuj, ile się da!”?

MARCIN WLAZYŁ

ZDJĘCIA DZIĘKI UPRZEJMOSCI
THE PHOTOGRAPHER'S GALLERY, LONDYN



Gaz Ziemny

źródło przyjaznej energii



Naturalne ciepło w Twoim domu

Dbasz o ciepło i komfort dla Twojej rodziny. Szukasz przyjaznego i nowoczesnego źródła energii, dzięki któremu stworzysz dla bliskich przytulny i ciepły dom. Gaz Ziemny to idealne rozwiązanie. Twój dom ogrzewany gazem ziemnym to komfort w utrzymywaniu wybranej temperatury, pełna kontrola nad kosztami użytkowania, gwarancja ciągłych dostaw siecią gazociągów oraz ekologiczne podejście do życia. To także pełna gwarancja bezpieczeństwa Twojej rodziny.



Wszelkie niezbędne informacje w zakresie przyłączenia do sieci gazowej oraz wykorzystania gazu ziemnego w Twoim domu uzyskasz w najbliższym Biurze Obsługi Klienta Zakładu Gazowniczego. Dane teleadresowe Biura Obsługi Klienta znajdziesz na stronie internetowej.

www.gazziemny.pl

ZA ŻADNE SKARBY ŚWIATA

Czy szaf kupowania ma jakieś granice? Owszem. Najbardziej zapamiętali kupujący rozbijają sobie nos o bezcenne skarby. Można je tylko ukraść

O tym zapewne myślał Nader Szah, władca Persów, kiedy latem 1739 roku zdobywał Delhi, stolicę państwa Mogoła Wielkiego, najpotężniejszego z królestw ówczesnych Indii. Chociaż Nader Szah wywiózł stamtąd pięć tysięcy skrzyń złotych rupii i osiem tysięcy srebrnych (stu robotników przetapiało biżuterię na monety przez 15 dni i 15 nocy), naprawdę pożądał tylko jednego klejnotu – największego szlifowanego diamentu świata, ozdoby skarbcza podbitego kraju. Kamień jednak zniknął. Dopiero po kilku dniach jedna z kobiet z haremu Mogoła Wielkiego doniosła, że widziała, jak tuż przed zdobyciem miasta władca upadającego kraju chował brylant w zawojach swojego turbanu. Nader Szah zaprosił królewskiego jeńca – któremu darował życie – na wspólną ucztę. W trakcie biesiady zaproponował, aby na znak pokoju i wiecznej przyjaźni zamienili się turbani. Królewski jeńiec zbłądł, ale zrozumiał:

to była propozycja nie do odrzucenia. Kiedy po uczcie Nader Szah rozwinął turban, blask klejnotu olśnił go tak, że nadał mu imię Koh-i-noor – Góra Światła. Zgodnie z legendą brylant miał należeć do władcy świata, którym Nader Szah chciał zostać, i przynosić pecha mężczyznom. Sprawdziło się: osiem lat później Nader Szah został zamordowany. Jego synowi, który nie chciał zdradzić, gdzie schowano Koh-i-noor, oblano głowę wrzącą smołą i wyłupiono oczy. Po długich i krwawych perypetiach brylant wpadł w ręce – jako zastaw za dług państwowy jednego z królestw indyjskich – brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, która sprezentowała go na jubileusz królowej Wiktorii, kobiecie władającej światem, a więc nienarazonej na przekleństwo związane z kamieniem.

Prawdopodobnie żaden z bohaterów tej historii nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego uważał klejnot za bezcenny.

Tak jak Koh-i-noor bezcenne przedmioty są zawsze wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju. Można wycenić każdy mniejszy brylant, ale największego nie sposób, bo nie ma go z czym porównać. Obecnie, po dodatkowym oszlifowaniu w czasach królowej Wiktorii, Koh-i-noor ozdabiający koronę Królowej Matki waży 108,93 karata, ale tylko naiwny sądziłby, że jego wartość można porównać do wartości dwóch 55-karatowych kamieni.

Bezcenny przedmiot otacza także legenda – i trudno powiedzieć, czy legenda narasta wokół bezcennego skarbu, czy dzieje się odwrotnie: to jego nadzwyczajna wartość powoduje wytworzenie wokół legendy. Koh-i-noor miał należeć do władcy świata. Osadzony w brytyjskich klejnotach koronnych był symbolem potęgi Imperium Brytyjskiego, nad którym wówczas nigdy nie zachodziło słońce, i źródłem zbiorowej dumy poddanych królowej Wiktorii – podobnie jak „Mona Liza” w Luwrze, inny

bezcenny skarb, który jest symbolem kulturowego bogactwa Francji i jej tradycji jako skarbnicy dzieł sztuki.

Przedmioty bezcenne są też bezużyteczne. Mogą przynosić dochód – za oglądanie Koh-i-noor i „Mona Lizy” trzeba dziś zapłacić – ale to nie jest ich podstawowa funkcja. Dzięki wywiezionym ze skarbcza Mogoła Wielkiego tysiącom skrzyń złota i srebra Nader Szah mógł w Persji zawiesić podatki na trzy lata. Żaden historyk nie ma wątpliwości, że królowi bardziej przydał się ten skarb od jednego błyszczącego kamienia. Mimo to król Persów ponad wszystko pożądał właśnie tego klejnotu. Królewską próżność mógł zaspokoić tylko przedmiot bezcenny. Być może właśnie w próżności należy szukać prawdziwego sekretu fascynacji bezcennymi skarbami: ich nieskończona wartość podnosi naszą wartość – a w każdym razie tak się wielu z nas wydaje.

ADAM LESZCZYŃSKI

[Kolumna Zygmunta]

Podobno pewien przedsiębiorczy warszawiak sprzedał ją przed wojną przybyszowi spoza miasta za 10 złotych, czyli równowartość solidnych butów Bata. Kupiec bardzo się rozczarował, kiedy dowiedział się, że bezcennego pomnika – symbolu ciągłości państwa polskiego – nie może zabrać do siebie na wieś.



[Prywatny kraj]

Historia zna przykłady zakładania państw przez garstkę śmiałków (na przykład 18 bohaterów, którzy założyli Urugwaj w 1829 roku). Dziś jednak kraju – takiego prawdziwego, z miejscem w ONZ, flagą, wojskiem i narodową drużyną piłkarską – nie da się kupić za żadne pieniądze. Jedną z ostatnich prób stanowi założenie w latach 60. Sealandii, państwa na sztucznej wyspie poza granicami terytorialnymi Wielkiej Brytanii. Chociaż Sealandia wydaje własne paszporty – i podobno nieźle na nich zarabia, sprzedając je między innymi uchodźcom z Wietnamu – nie dorobiła się jeszcze nie tylko miejsca w ONZ, lecz nawet formalnego uznania przez inne kraje europejskie. Zdesperowanym (i zamożnym) pozostaje kupienie kraju istniejącego – na przykład Litwy, gdzie mafia rosyjska niedawno zainstalowała prezydenta. Uwaga jednak – takie transakcje nie są ani legalne, ani pewne.



[10 bezcennych prezentów] NIERUCHOMOŚCI

[Graceland]

Dom Elvise. Miejsce kultu i zarazem świetny interes – czysty zysk przynoszony przez Graceland wynosi 22 miliony dolarów rocznie (bilet kosztuje 65 dolarów, a poza tym każdy zwiedzający wydaje średnio 50 dolarów na pamiątki). Dla 900 tysięcy pielgrzymów odwiedzających rocznie Graceland to jednak przede wszystkim świątynia Króla. Nie wiadomo, ile kosztowałby Graceland, gdyby zechciano go wystawić na sprzedaż.



[Złoto z Nimrud]

Legendarny skarb królowych Asyrii sprzed trzech tysięcy lat, odnaleziony w 1988 roku w grobowcach odkrytych na południu od Bagdadu. Oszałamiająca kolekcja złotych naszyjników, amuletów, nausznic i innych klejnotów. Przez kilka miesięcy sądzono, że zrabowano ją z Muzeum Narodowego w Bagdadzie przed wejściem do miasta Amerykanów (pokazywano ją tam krótko w 1990 roku). Skarb odnaleziono szczęśliwie w zalanym przez wodę skarbcu banku centralnego, gdzie został ukryty tuż przed inwazją. Przed wejściem leżały ciała rabusiów. Zginęli, kiedy jeden z nich chciał rozbić drzwi skarbcza, strzelając w nie z bliska z bazooki. Drzwi wytrzymały. Teraz prawdopodobnie złoto z Nimrud pojedzie w podróż po muzeach całego świata.



Fot. RADU SIGHETI/REUTERS/FORUM

[Złoty stolec Aszanti]

Stolec z litego złota. Tron ceremonialny królów z plemienia Aszanti w Ghanie żyjących na jednych z najbogatszych złóż złota w Afryce. Stolec podobno spadł z nieba, zesłany Aszantim przez bogów. Symbol władzy królewskiej, czczony i dobrze strzeżony.



Fot. AP

[Star of Africa]

Największy brylant na świecie: waży 530,2 karata, oszlifowany na kształt gruszki o 74 ścianach. Wycięty z największego diamentu świata znalezionego w 1905 roku w Afryce Południowej – diamentu Cullinan (3106 karatów!). W 1908 roku nieoszlifowany kamień sprzedano za astronomiczną wówczas sumę 800 tysięcy funtów (znalazca dostał tylko 10 tysięcy). Najlepszy wówczas szlifierz świata, jeden ze sławnych braci Asscher z Antwerpii, zemdlął, kiedy zabierał się do cięcia tego diamentu. Obecnie znajduje się w głowicy brytyjskiego berła w skarbcu londyńskiej Tower. Ile jest wart – nie wiadomo. Nie należy się też spodziewać, aby został wystawiony na sprzedaż.



Fot. FRANCIS G. MAYER/CORBIS/FREE

[10 bezcennych prezentów] DZIEŁA SZTUKI

[Czaszka Mitchella-Hedgesa]

Perfekcyjnie wykonana z jednego bloku kryształu czaszka z ruchomą żuchwą. Podobno odnaleziona przez Annę Mitchell-Hedges, córkę brytyjskiego podróżnika i odkrywcy, podczas jego ekspedycji do Belize. Anna miała ją znaleźć w ruinach świątyni Majów w Lubaantun, gdzie wraz z ojcem poszukiwała ruin Atlantydy. W rzeczywistości Mitchell-Hedges kupił czaszkę na aukcji w Sotheby's w Londynie w 1943 roku, a jego córka Anna nie brała udziału w ekspedycji do Belize. Nie wiadomo, gdzie czaszka została wykonana i skąd pochodzi. Analiza wykonana w 1970 roku w laboratoriach Hewletta-Packarda dowiodła, że wyrzeźbiono ją z precyzją, którą trudno byłoby uzyskać nawet dzisiaj – a nie ulega wątpliwości, że liczy kilkaset lat. Co więcej, wykonano ją bez użycia metalowych narzędzi. Dziś stanowi własność ponad 80-letniej Anny Mitchell-Hedges mieszkającej w Kanadzie.



[Godzinki księcia de Berry]

Bezcenny skarb dla bibliofila. Godzinki – zbiór modlitw na każdą z liturgicznych godzin dnia, teksty mszy i psalmów, kalendarz – wykonane dla księcia Jana de Berry, brata króla Francji Karola V, księcia Anjou i księcia Burgundii, jednego z najlepiej urodzonych francuskich feudałów ówczesnego czasu. Ilustrowane w latach 1412–1416 cyklem, uznawanych dziś za jedne z najwspanialszych – o ile nie najwspanialsze – miniatur średniowiecznych. Francuski skarb narodowy przechowywany w klimatyzowanej kasie pancernej.



Fot. EAST NEWS (2)

[„Dawid” Michała Anioła]

Jeżeli nie najslawniejsza, to na pewno jedna z najslawniejszych rzeźb świata. W 1501 roku jedna z potężnych gildii kupieckich we Florencji zamówiła u Michała Anioła posąg Dawida – symbol siły i witalności Florencji. Dzieło zostało ukończone w ciągu trzech lat. Specjalna komisja złożona z najbardziej szanowanych mieszczan zdecydowała, że posąg stanie przed Palazzo Vecchio – siedzibą florenckiego rządu. Dziś na tym miejscu stoi kopia, a prawdziwego „Dawida” – wiecznie obłożonego przez turystów – można oglądać w Galleria dell'Accademia. Jest pilnie strzeżony: w 1991 roku szaleniec próbował rozbić rzeźbę młotkiem. Zanim go powstrzymano, udało mu się ukruszyć palce lewej stopy.



Fot. RIC ERGENBRIGHT/CORBIS/FREE

[Calun turyński]

Stare pogrzebowe płótno z lnu o kształcie prostokąta. Kolorem przypomina kość słoniową. Ma 4 metry 36 centymetrów długości i 1 metr 10 centymetrów szerokości, grubość jednej trzeciej milimetra. Na calunie są dwa wizerunki – od tyłu i przodu – zwłok wysokiego mężczyzny z brodą i długimi włosami. Według legendy płótno rozłożono na płycie grobowca przed namaszczeniem ciała Chrystusa i złożeniem go do grobu. Na calunie widać ślady ran. Od stu lat badają go liczne komisje i choć jego autentyczność niedawno definitywnie podważono, nadal nie ma ceny. Pierwszy pewny przekaz historyczny na jego temat pochodzi z 1353 roku. Miał być wówczas własnością niejakiego Goffreda de Charny, możnego feudała z północnej Francji, i wygląda na to, że to średniowieczny falsyfikat.



Fot. GAMMA/B&WB



Dla dekoracji salonu, dla dodania sobie prestizu – po to sztukę kupowano kiedyś. Ale dziś – kiedy obiektem sztuki może być dwoje hasających dzieci – kolekcjonowanie sztuki współczesnej jest wielkim ćwiczeniem umysłu. I nie ma większej frajdy!

Niemiecki potentat branży budowlanej Erich Marx, czarujący 82-letni dżentelmen, przyjechał do Warszawy w ubiegłym tygodniu, by polskiemu potentatom wielobranżowym opowiedzieć, czym jest kolekcjonowanie sztuki współczesnej. Być może, na zachętę, wypożyczy Polsce część swoich olbrzymich zbiorów.

Jedną z pereł kolekcji Ericha Marksa są potężne bloki zwierzęcego tłuszczu, od 30 niemal lat przechowywane w odpowiedniej temperaturze, by zapobiec zepsuciu. Te bloki łożu odlew przejścia podziemnego w Münster. Wielki prostopadłościan łożu posłużył kiedyś słynnemu artyście Josephowi Beuysowi do zwrócenia uwagi na bezduszną, twardą be-

tonową przestrzeń, która otacza ludzi w mieście drugiej połowy XX wieku.

Spotkanie wielkiego niemieckiego kolekcjonera sztuki współczesnej z elitą polskiego biznesu zorganizowała Anda Rottenberg, która chce, byśmy kiedyś mieli w Polsce wielkie muzeum nowej sztuki. Choćby takie, jakie od siedmiu lat ma w Berlinie Erich Marx.

Rozmowy poświęcone sztuce współczesnej odbyły się w starannie odrestaurowanym XIX-wiecznym pałacu Sobańskich przy warszawskich Alejach Ujazdowskich – w pałacu mieści się elitarny Klub Polskiej Rady Biznesu. W tym salonie polskiego kapitalizmu pełno jest pięknych obrazów w złożonych ramach, przed wej-

ściem od strony Alej Ujazdowskich stoi odlew słynnej figury Dawida dłuta Donatella. Jest niezwykle szykownie, można się poczuć jak przed wojną, nawet tą pierwszą. Nowoczesną formę mają tu tylko baterie w ekskluzywnych toaletach.

Anda Rottenberg marzy, by przykład Ericha Marksa zachęcił najbogatszych Polaków do inwestowania w sztukę współczesną. To się opłaca. Zaufanie do tej dziwnej sztuki i wytrwałość w jej finansowaniu mogą skończyć się tak jak w przypadku Marksa – jego nazwisko łopocze dziś na flagach przed wspólnym berlińskim muzeum, na którego budowę sto milionów euro wyłożyło państwo.

PO ILE WYOBRAŹNIA?

MARCEL ANDINO VELEZ

Erich Marx, przedsiębiorca budowlany i wielki kolekcjoner sztuki współczesnej, na tle portretu, który namalował mu Andy Warhol

sprzedajemy dzieła sztuki, które nie zmieścili się w naszym boksie” – wołają. I kręcąc się i wymachując rękami, opisują jakieś niewidzialne obiekty. „To dzieło kosztuje 10 tysięcy dolarów albo 8 tysięcy euro” – podają kolejno ceny każdego opisanego obiektu. Kręcąc się po pustym pokoju dzieci ktoś kupił pierwszego dnia targów. Bo to one właśnie były dziełem sztuki, które „zrobił” młody artysta Tino Seghal. Cena wyniosła około 12 tysięcy funtów.

Ale dzieci nie można kupić. Zatem szczęśliwy kolekcjoner otrzymał za swoje pieniądze starannie wydrukowany certyfikat, że jest właścicielem dzieła sztuki, które polega na wynajęciu z agencji modeli dziecięcych dwojga dzieci w wieku lat tyłu i tyłu. Dzieciaki będą przez dwie godziny wykonywać taki a taki układ choreograficzny i recytować załączony do certyfikatu tekst.

Praca Tino Seghala była hitem tegorocznych targów w Londynie. Młody artysta dzięki niej „zrobił sobie nazwisko”. Krytycy pisali, że ta para dzieci jest dowodem śmiałości Seghala, pełnym tupetu wystawieniem kolekcjonerów na próbę. I obnażeniem absurdu, jakim jest rynek sztuki współczesnej. Sztuki, która często najzwyczajniej w świecie nie istnieje.

ŚNIADANIE Z SZAMPANEM

Ludzi bardzo bogatych jest na świecie naprawdę bardzo dużo. Może nie tyle co biednych, ale dość, by utrzymać przy życiu najbardziej niezwykłą gałąź gospodarki – rynek

sztuki współczesnej. Utrzymywanie tego rynku jest w dodatku wyjątkowo przyjemne.

Jeśli ktoś decyduje się zostać kolekcjonerem, poważnym kolekcjonerem, czekają go między innymi darmowe bilety lotnicze, noclegi w pięciogwiazdkowych hotelach i coś, co wszyscy organizatorzy targów sztuki obowiązkowo umieszczają w swych programach dla VIP-ów: *champagne breakfast*. Nie ma targów sztuki bez tych miłych poczęstunków serwowanych dla wybrańców w najlepszych galeriach, a nawet w domach u kolekcjonerskiej braci. Wszystko na koszt organizatorów.

Targi sztuki – kręgosłup rynku – odbywają się dorocznie w kilkunastu miastach świata. Najważniejsze są w Bazylei, w Berlinie, Paryżu i ostatnio w Londynie. Targi w Kolonii, kiedyś obowiązkowe dla kolekcjonerów i galerii, ostatnio wychodzą z mody. A za to targi w Bazylei pączkują jak kapitalistyczna sieć handlowa – od ubiegłego roku odbywają się także... w Miami na Florydzie. Tam jest szczególnie dużo przebogatych amerykańskich starszych państwa, których łatwo nawrócić na kolekcjonowanie. To właśnie na targach w Miami kolekcjonerzy zapraszają kuratorów i co znamienitszych gości na prywatne śniadania z szampanem do swoich domów, by pochwalić się zbiorami.

By tak unieśmiertelnić swoje nazwisko, wystarczy trochę odwagi. I dużo wyobraźni.

PARĘ DZIECI DROGO SPRZEDAM

Cóż można kupić na stoisku nowojorskiej galerii na londyńskich targach sztuki? To przecież są targi sztuki – tu się kupuje sztukę współczesną. Handel ludźmi jest, rzecz jasna, zabroniony. Dziećmi – zabroniony jeszcze bardziej. A na stoisku należącej do Maurizia Cattelana (tego od Papieża i meteorytu) Wrong Gallery nie ma sztuki, tylko para ośmiolatków. Roześmiane dzieciaki hasają po niewielkim pomieszczeniu, chichoczą i zagadują ciekawskich. „Zastanawiacie się, co to jest? My tu



Muzeum Hamburger Bahnhof – trzon ekspozycji stanowi kolekcja Ericha Marksa; na zdjęciu praca Anselma Kiefera (1997).
Niżej: Twórca performance'u Joseph Beuys na wystawie sztuki współczesnej Documenta VI w Kassel, instalacja „Pompa miodowa” (1977)

Artyści przeciwni istnieniu dzieł sztuki sprzedają po prostu swoje pomysły

Na targach wystawiają się galerie. Są ich tysiące, ale światową czołówkę tworzy nie więcej niż setka. Ta setka ma swoich artystów, którzy nadają ton sztuce. Tak kreuje się mody.

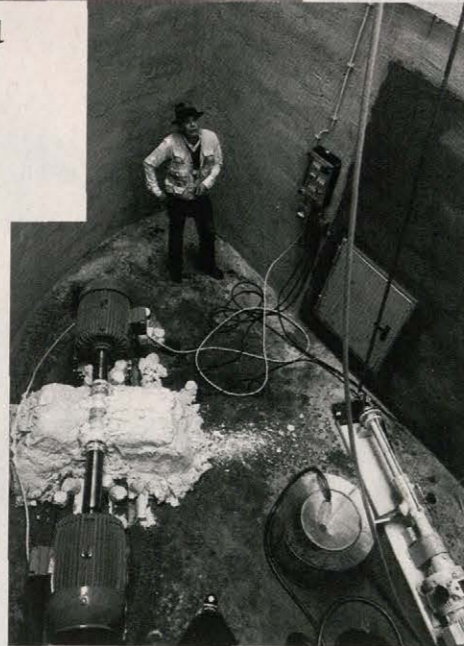
Bycie kolekcjonerem ma też tę dobrą stronę, że można artystą bawić się jak zabawką. Gdy ma swoje pięć minut na arenie, można kupować jego pomysły. Gdy pięć minut minie, prywatny doradca podsunie kolekcjonerowi kolejne nazwisko do kupienia.

To artyści podejmują ryzyko. Ryzyko bycia artystą. Mogą mieć z tego radość, kiedy uda im się wciągnąć do gry kolekcjonerów. Taką grą jest właśnie sprzedanie dwóch rezolutnych dzieł i certyfikatu. Jeśli się to udaje, znaczy, że system rynku sztuki współczesnej działa. Wtedy jest szansa, że powstaną rzeczy ważne.

Nie piękne, nie efektowne, ale takie, dzięki którym można pomyśleć o świecie w inny sposób niż zwykle. Choćby przez chwilę. A to zawsze jest ważne.

IDOL IDOLI

Dziś najgłośniejszym kolekcjonerem świata jest angielski baron reklamy Charles Saatchi. Od pół roku ma w Londynie, nad Tamizą, własne muzeum sztuki współczesnej. Od kilkunastu lat konsekwentnie kupuje sztukę młodych brytyjskich artystów. Dzięki jego zakupom tych młodych artystów zaczęto traktować jako głos pokolenia. Nazwano ich YBA – Młodzi Brytyjcy Artyści. Mówi się o nich również BritArt. Ale najbardziej znany jest ojciec BritArtu. Jego pieniądze z reklamy zrewolucjonizowały brytyjską sztukę, rozkręciły modę na kolekcjonowanie, sprawiły, że sztuka współczesna stała się w Wielkiej Brytanii tematem codziennych rozmów. Taka jest siła pieniędzy wydawanych na sztukę.



Fot. ULLSTEIN/BE&W (2)

Sztukę zdecydowanie niepiękną i niepasującą do pełnego antyków salonu.

Charles Saatchi, zapewne idol wielu kupujących, którzy marzą o takiej karierze, sam też ma własnego idola. Jego nazwisko jest piękniejsze niż wszystkie dzieła sztuki, które posiada – Giuseppe Panza di Biumo, włoski hrabia, właściciel największych w świecie zbiorów amerykańskiej sztuki minimalistycznej i konceptualnej z końca lat 60. Sztuka ta ma to do siebie, że nie bardzo jest. Inaczej mówiąc – jest tylko trochę.

Panza di Biumo wiele dzieł, które kupował od zbudowanych wobec sztuki przedmiotowej minimalistów i konceptualistów, kupił w postaci projektu. Artyści wymyślali dzieła sztuki, ale ponieważ z zasady byli przeciwni istnieniu dzieł sztuki, więc sprzedawali swoje pomysły na papierze. W ten sposób Panza di Biumo posiadał wielką kolekcję sztuki, która nie zagrażała mu znanemu jego pałacu pod Varese koło Mediolanu. Ale tego i tak było coraz więcej, a on był coraz starszy. Panza di Biumo postanowił rozdać lub sprzedać część zbiorów. Amerykańska fundacja Solomona R. Guggenheima kupiła sporo tych projektów sprzed lat i... wykonała według nich dzieła.

To był koniec lat 80., a projekty pochodziły z końca lat 60. Dzieła sztuki, które przez 20 lat istniały na niby, nagle się zmaterializowały. Część artystów przyjęła to zjawisko ze spokojem. Niektórzy się procesowali.

A co to były za dzieła? Na przykład przepis, jak ułożyć cztery świetlówki albo w jaki sposób ustawić cztery lampy z żarówkami o określonej mocy, by świeciły w jeden punkt.

– Od lat zachodzę w głowę, czemu kolekcjonerzy kupują taką sztukę, której nie można mieć. Czym się kierują. Ale nadal tego nie rozgryzłem. Wiem jedno. To są fascynujący ludzie, którzy chcą brać udział w jakimś innym, futurystycznym myśleniu – mówi Andrzej Przywara z Fundacji Galerii Foksal, jednej z niewielu polskich instytucji, które aktywnie uczestniczą w światowym obiegu sztuki. – Wielkie kolekcje już dawno nie zajmują się tylko gromadzeniem dzieł. Bycie kolekcjonerem dziś tak naprawdę oznacza, że twoje pieniądze umożliwiają prowadzenie jakiegoś projektu badawczego. To myślenie nad wynalazkami. Niechby z tego wychodziły absurdy. Ważne jest poszerzenie możliwości. Kolekcjonujesz, czyli pozwalasz artyście penetrować jakieś nowe obszary. Bez tej dziwnej sztuki nie mielibyśmy jak o tym wszystkim pomyśleć – dodaje.

ILE MOŻNA ZAROBIĆ

Erich Marx, niemiecki potentat branży budowlanej, siedzi przy choince w Klubie Polskiej Rady Biznesu. Opowiada, jaką drogą doszło do połączenia prywatnej kolekcji z publicznymi pieniędzmi, które władza wydała na odbudowę i adaptację budynku dworca Hamburger Bahnhof, gdzie dziś mieszczą się zbiory – wielka ilość prac Andy'ego Warhola, Roberta Rauschenberga, Cy Twombly'ego, Roya Lichtensteina i Josepha Beuysa. Gdy polscy biznesmeni pytają, czy dobrze wyszedł na inwestowaniu w sztukę, Marx nie czuje się zmieszany. Nie ma powodu. Pieniądze są tak samo ważne w sztuce jak w branży budowlanej.

– Ale nie jest tak, że najpierw się ma pieniądze, a potem przychodzi zaciekawienie sztuką. Jeśli chce się zrozumieć sztukę, chce się z nią obcować, to na to pieniądze zawsze się zarobi – mówi sędziwy milioner. – Mnie zależało, by stworzyć kolekcję, która zobrazuje niepokoję mojego pokolenia. Chciałem je wyrazić poprzez sztukę, którą zgromadziłem i przekazałem mojemu miastu.

Hrabia Giuseppe Panza di Biumo pytany, po co kolekcjonuje sztukę współczesną, odparł: „Dzięki niej prowadzę nieustanne poszukiwanie sensu życia”.

Anda Rottenberg liczy, że w Polsce znajdują się odważni, którzy zechcą poszukać sensu życia albo obrazować niepokoję naszej epoki.

My w zamian dostaniemy muzeum ich imienia. Wszystkim się opłaci.

MARCEL ANDINO VELEZ

Prócz 480000 zwykłych logo i dzwonek mamy także kilka wyjątkowych...

Sprawdź je:

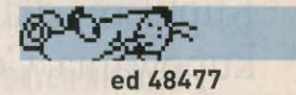


polki.pl

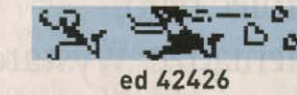
Gustowne logo



ed 351



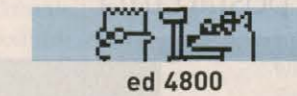
ed 48477



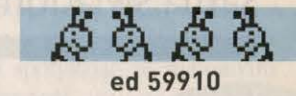
ed 42426



ed 52060



ed 4800



ed 59910

Dzwonki

- System Of A Down - ATWA ed 115671
- Jay-Z feat. Beyonce - Bonnie&Clyde ed 125513
- Reamon - Supergirl ed 110430
- Brainstorm - Colder ed 95447
- Ms. Dynamite - Put Him Out ed 59609

Wpisz numer logo lub dzwonka w treść SMS i wyślij go pod numer 7213. Pamiętaj o spacji między ed a numerem.

Koszt logo i dzwonek tylko 2 zł + VAT.

Dzwonki polifoniczne

- Ewelina Flinta - Żatuję ed 110405
- Berlin - Take My Breath Away ed 100912
- The Animals - House Of The Rising Sun ed 99258
- The Beatels - Girl ed 88632
- Myslovitz - Sprzedawcy Marzeń ed 100910

Wpisz numer dzwonka w treść SMS i wyślij go pod numer 7913. Pamiętaj o spacji między ed a numerem.

Koszt dzwonek polifonicznych 9 zł + VAT.

Prezentowane obiekty działają na telefonach Nokia. Jeśli masz inny telefon bądź szukasz innych modnych dodatków, wejdź na stronę www.sms.wp.pl/polki/

serwis polki.pl znajdziesz w portalu wp.pl Wirtualna Polska

KUPOJ NA NIBY PŁACI NAPRAWDĘ

Kupujemy dla samej przyjemności kupowania. Coraz częściej nawet nie musimy wcale mieć tego, na co wydaliśmy pieniądze. Wystarczy sama świadomość posiadania

Swoistym fenomenem końca XX wieku stały się zakupy wirtualne. Nie chodzi tu o handel internetowy – w komputerowych sklepach kupujemy zwykle realne przedmioty: książki, płyty czy filmy. Istnieje jednak rynek zakupów, których, choć wydajemy na nie pieniądze, nigdy nie dotkniemy. To idealne rozwiązanie dla sprzedawcy – bierze gotówkę, a w zamian nie musi nawet opłacić kosztów wysyłki.

Najsłynniejszymi z takich zakupów stały się działki na Księżycu. Kilkanaście lat temu paru spryciarzy wczytało się w United Nations Outer Space Treaty, czyli uregulowanie prawne ONZ dotyczące przestrzeni kosmicznej. W 1967 roku ustalono, że „przestrzeń kosmiczna, w tym Księżyc i inne ciała niebieskie, nie podlega przywłaszczeniu przez żadne państwo ani w drodze proklamowania na nich suwerenności, ani poprzez wykorzystanie czy okupację, ani w jakikolwiek inny sposób”. Ale państwo to nie znaczy obywatel. Korzystając z tej nieścisłości, sprytni Żemianie rozpoczęli sprzedaż odległego o 300 tysięcy kilometrów gruntu. Ze względu na czasowe trudności z dojazdem ceny nie są zbyt wygórowane – australijska agencja nieziemskich nieruchomości Lunar Reality sprzedaje akr (nieco ponad cztery tysiące metrów kwadratowych) za blisko 40 dolarów amerykańskich. Dla prawdziwych nieziemskich posiadaczy przygotowano większe kawałki gruntu – 10 akrów w promocyjnej cenie to tylko 200 dolarów!

Właściciel Lunar Reality twierdzi, że od 1980 roku, gdy zaczął się handel księżycowym gruntem, działki kupiło ponad dwa miliony osób. Ciekawe, co będzie, gdy ludzie zaczną budować bazy na Księżycu – czy rozpoczną się prawne spory o każdy z kosmicznych kamieni? Jeszcze większe problemy będą mieli inni kosmiczni posiadacze. Za równowartość około 50 dolarów można nabyć przez Internet prawo

do nadania imienia gwiazdzie. Są ich w końcu setki miliardów – dlaczego więc nie skorzystać i za głupie 200 złotych nie uwiecznić imienia ukochanej na nieboskłonie? Jeżeli się dobrze poszuka, można nawet znaleźć promocję – gwiazda za pół ceny! Za te pieniądze dostaje się koordynaty naszego świecącego punktu, elegancki certyfikat i parę innych gadżetów. Wymarzony prezent – gwiazdka na Gwiazdkę!

Problem w tym, że prawo do nadawania nazw obiektom w kosmosie ma jedynie Międzynarodowa Unia Astronomiczna. Od dawna nie nazywa gwiazd imionami, jedynie nadaje im numery. Trudno się dziwić – gdyby każdy miał nazywać gwiazdy wedle własnego uznania, trudno byłoby odnaleźć nową kometę, która pojawiła się pomiędzy Gwiazdą Wujka Wilhelma a układem Monisia i Maruś.

Jednak przepisy dotyczące nazewnictwa gwiazd nie przeszkadzają dziesiątkom firm w sprzedaży nieistniejących praw. Wyraźnie przypomina to handel kolumną Zygmunta...

HIPOPOTAM POD CHOINKĘ

Jeżeli już ktoś musi znaleźć oryginalny prezent, który podobnie jak średniej wielkości gwiazda nie zmieści się pod choinką, można polecić wilka grzywiastego lub parę mrówkojadów. Za pierwsze zwierzątko przyjdzie zapłacić 300 złotych, za parę tych drugich – aż 1000. Jednak prezent może okazać się nieco kłopotliwy – nie ze względu na upodobania kulinarne, ale raczej konieczność comiesięcznego wnoszenia opłaty.

Chodzi oczywiście o adopcję zwierzęcia w zoo. Wobec recesji, kapitalizmu i innych wrogich uwarunkowań ogrody zoologiczne wzięły się na sposób i odsprzedają prawa do opieki nad swoimi zwierzętami firmom i osobom prywatnym. W zamian za comiesięczną wpłatę koło wybiegu zwierzaka umieszcza się tabliczkę z nazwą lub imieniem sponsora. Niektóre ogrody zoologiczne dają też certyfikat poświadczający adopcję.

Jeśli jednak nie jesteś wielbiciele zwierząt, za to wruszeniem napawają cię rośliny, mamy też coś dla ciebie. Wiadomo, że z okazji Gwiazdki co roku morduje się na świecie setki tysięcy Bogu ducha winnych drzewek – wdzięcznych świerczków, uroczych jodełek czy rozkosznych modrzewi. Jeżeli kogoś to mierzi, może – zamiast wyciąć – posadzić drzewko. Oczywiście ni-

ZWIERZAKI DO ADOPCJI W OPOLSKIM ZOO

ZEBRA RÓWNIKOWA 150 złotych

WIELBŁĄD DWUGARBNY 300 złotych

KANGUR RUDY 100 złotych

HIPOPOTAM KARŁOWATY 200 złotych

PIGMEJKA 50 złotych

TAMARYNA BIAŁOCZUBA 100 złotych

SOWA ŚNIEŻNA 50 złotych

MANDARYNKA 30 złotych

EMU 40 złotych

PELIKAN BABA 150 złotych



Choć opisywane sposoby na wydawanie pieniędzy należą raczej do kategorii rozrywkowych, możemy też przeznaczyć fundusze na szczytny cel – pomoc ubogim. To Adopcja Serca – akcja zainicjowana przez misjonarzy pracujących w Czarnej Afryce. Pomysł polega na tym, by sponsor co miesiąc wpłacał 15 dolarów na pomoc sierotom. Ponieważ konta przeznaczone na anonimowe wpłaty świecą często pustkami, pojawił się genialny w swej prostocie pomysł: konkretna osoba obejmuje opieką konkretną sierotę. Wszystko jest jasne – dostaje się imię i nazwisko podopiecznego, co jakiś czas przychodzą listy i zdjęcia. To zobowiązuje – wiadomo, że pieniądze idą na wyżywienie i naukę konkretnej osoby, a nie bliżej nieokreślone, abstrakcyjne cele.



Co łączy Księżyc i samochódzik istniejący tylko w pamięci komputera? Oba mogą posłużyć do wyciągania jak najbardziej rzeczywistych pieniędzy. Działka na Księżycu kosztuje 40 dolarów. Samochódzik – tylko 10

komu nie chce się jeździć i babrać w ziemi – znacznie prościej jest wydać od 10 do 50 dolarów i zlecić tę robotę innym. Zamiast świątecznej choinki otrzymamy wówczas certyfikat mówiący, że oszczędziliśmy drzewko. Będziemy też mogli odwiedzić naszą choinkę na specjalnej farmie – niestety, to kawałek drogi. Lasek leży w Leicestershire w Wielkiej Brytanii.

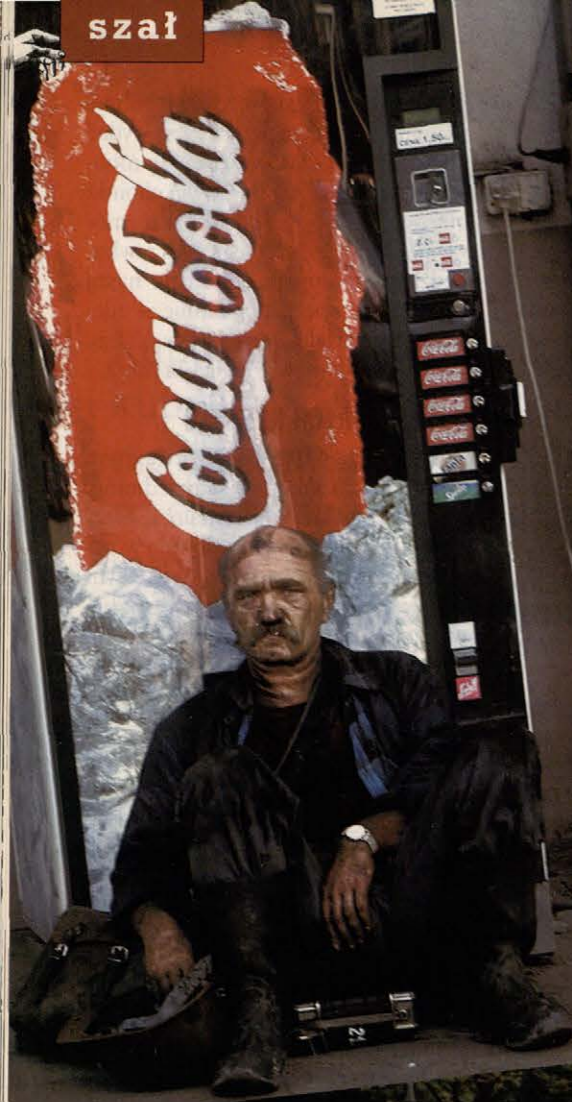
BUTY, KTÓRYCH NIE BYŁO

Najbardziej jednak wirtualnym z wirtualnych zakupów są przedmioty istniejące tylko w wirtualnej przestrzeni. Firma There zbudowała w pamięci komputerów świat, w którym ludzie spędzają długie godziny, bawiąc się i spotykając ze znajomymi. Za przyjemność wejścia do There trzeba zapłacić 50 dolarów rocznie. To jednak nie koniec wydatków – gdy nasz wirtualny odpowiednik, czyli awatar, wejdzie do wirtualnego świata, wygląda jak zwykły burak: niemodne spodnie, banalna koszulka, fatalna fryzura. Oczywiście nikt nie chce być brzydki, więc rozpoczynają się wielkie zakupy. Świat There ma własną walutę – therebucksy. Chcesz nową fryzurę – proszę bardzo. Irokez – jedyne osiem tysięcy therebucksów. A może koszulka z twoim imieniem? 10 tysięcy. Skąd wziąć walutę? Sposób jest prosty. Płacisz firmie There prawdziwe, żywe dolary, a twój awatar dostaje odpowiednią kwotę therebucksów. Na szczęście przelicznik jest niezły – za jednego zwykłego dolara dostaje się ponad dwa tysiące wirtualnych.

Niedawno interes w nieistniejącym świecie zwęszyły realne firmy – swoje buty sprzedaje tam Nike, a spodnie – Levi's. Za parę modnych, sportowych nike'ów trzeba zapłacić równowartość około sześciu prawdziwych dolarów. Niewiele? Faktycznie, ale przecież firma nie płaci za produkcję ani dystrybucję ani centa. Oczywiście ty odnosisz pewne korzyści – poza samą satysfakcją z posiadania butów oraz podziwem znajomych zapewniają one twojemu awatarowi szybsze poruszanie się w wirtualnej rzeczywistości.

Masz trochę pieniędzy na zbyciu? Jak widać, możliwości jest wiele. Co się stało, że zaczęliśmy z upodobaniem wydawać pieniądze, nic materialnego w zamian nie dostając? No, prawie nic. Przyjemność też sporo kosztuje...

PIOTR STANISŁAWSKI



NASZ DROGI SPOKÓJ

JAN BAZYL LIPSZYC

Ekonomiści uważają, że trudno oszacować kwotę wydaną na zakup spokoju społecznego. Nie przeczą, że jest to towar, który można dostać za pieniądze. Ale nie zgadzają się, że każde pieniądze, jakie kolejne rządy pod presją strajków, protestów, zamieszek czy blokad dróg postanawiały przeznaczyć na wsparcie którejs z branż gospodarki, szły wyłącznie na złagodzenie nastrojów.

Michał Boni, minister pracy w latach 1992–1993, ekspert Centrum Analiz Społeczno-Gospodarczych, przypomina sobie jedną sytuację, gdy w oczywisty sposób władza kupiła spokój. Rok temu w grudniu, przed ważnym dla nas spotkaniem przywódców państw Unii w Kopenhadze, rozgorzał w kraju spór z górnictwem, co mogło zaszkodzić negocjacji. Rząd podpisał porozumienie, z którego zaraz po Nowym Roku zaczął się wycofywać. Było to więc kupowanie spokoju na kredyt, który zresztą nie został spłacony.

– Kupowanie spokoju społecznego brzmi pejoratywnie – mówi Michał Boni. – Tak jakby władza przepłaciła, kupiła coś niepotrzebnego. A przecież poczucie bezpieczeństwa, spokój są potrzebne. To są pozytywne wartości.

Wiceminister gospodarki Jacek Piechota nie ocenia spokoju społecznego w kategoriach handlowych. – Władza, każda władza, musi rozważyć, jakim zagrożeniem jest strajk, protest, demonstracja – mówi. – Niepokoje społeczne przekładają się na efekt ekonomiczny. To znaczy, że lepiej jest zawierać porozumienia.

Zdaniem Jacka Piechoty kolejne rządy w wielu sektorach gospodarki kupowały spokój, płacąc zbyt wiele – dawały branzom za dużo przywilejów, nadmierną ochronę. Za dużo dostawali przede wszystkim nie pracownicy, lecz liderzy związkowi. Utrzymanie 26 związków zawodowych działających w górnictwie kosztuje rocznie sto milionów złotych z kasy kopalń.

– Mamy za dużo związków zawodowych, one się licytują bojowością – mówi Piechota.

NIE MA PRZEGRANYCH

Od początku polskich przemian na restrukturyzację górnictwa wydano już ponad 30 miliardów złotych. Z tego ponad osiem i pół kosztowała poprzednia reforma przeprowadzona przez rząd Jerzego Buzka.

Uchwaloną w Sejmie na początku grudnia ustawę o kopalniach media uznały za oczywisty sukces związkowych liderów. W ciągu najbliższych trzech lat reforma pochłonie kolejne sześć miliardów złotych. Dodatkowo umorzy się 18 miliardów kopalnianych długów. Czy to jest wyłącznie koszt spokoju społecznego na Śląsku, czy też pieniądze te trzeba byłoby wydać na restrukturyzację branży także wtedy, gdyby ani jeden górnik nie groził strajkiem?

Porozumienie z górnictwem w imieniu rządu Leszka Millera negocjował Jacek Piechota. Twierdzenie, że górnicy wygrali z państwem, uważa za nieporozumienie.

– Koszt likwidacji jednego miejsca pracy jest taki sam jak poprzednio. Nie płacimy drożej niż rząd Jerzego Buzka – mówi. – Interpretacja tego porozumienia jako wyłącznego sukcesu jednej strony wynika z tego, że sytuacja „wygrany – wygrany” gorzej się sprzedaje medialnie. To znaczy, że związkowcy musieli wygrać, a druga strona, czyli rząd, musiała przegrać. Choć w rzeczywistości nikt nie przegrał.

Jacek Piechota jako przedstawiciel rządu zapewne musi mówić, że rząd nie przepłacił, obiecując górnikom kolejne miliardy złotych. Ale tak samo uważa John Strongman z Banku Światowego, który nie ma obowiązku chwalić poczynań gabinetu Leszka Millera.

Oceniając polskie reformy górnictwa – a zwłaszcza ich koszty – często przywołuje się przykłady państw europejskich, które także likwidowały kopalnie, ograniczały wydobycie i zwalniały górników z pracy. Nigdzie nie obyło się bez protestów. Holandia wydała na reformę górnictwa 24 miliardy złotych, Niemcy wpompowały w kopalnie kilkadziesiąt miliardów marek, w Wielkiej Brytanii niepokoje trwały kilka lat i miały większą skalę.

Strongman uważa, że nasza reforma jest o wiele trudniejsza niż niemiecka i brytyjska i że w nie najlepszej sytuacji gospodarczej Polski jej koszty nie mogą być małe: – Jeśli się chce, żeby rezygnacja z pracy była rzeczywiście dobrowolna, trzeba odchodzących mocno do niej zachęcić. A to znaczy, że reforma musi sporo kosztować.

Zgódźmy się więc z panami Piechotą i Strongmanem, że w tym konkretnym przypadku prawdopodobnie wysoki koszt spokoju społecznego był nie do uniknięcia.

Na reformy w górnictwie każdy polski obywatel wpłacił już kilka tysięcy złotych. Płaciliśmy też na hutników, kolejarzy, lekarzy i pielęgniarzy, stoczniowców, nauczycieli, rolników. Co kupowaliśmy za nasze pieniądze? Spokój

Pielęgniarki świętowały Międzynarodowy Dzień Pielęgniarek, protestując przeciwko polityce rządu wobec służby zdrowia. Na poprzedniej stronie: Protesty górników i mieszkańców Pomorza



Fot. S. KAWIŃSKI/AG

wodu, żeby strajkować. Niuans polega na tym, że kontrolowany bankrut nie musi spłacać długów. W ten sposób państwo kupuje spokój społeczny za pieniądze wierzycieli.

NIE TYLKO PIENIĄDZE

Drogo kupić, tanio sprzedać i źle się ożenić potrafi każdy idiota – mawiał pewien przedwojenny profesor Szkoły Głównej Handlowej. Czy władza kupuje spokój społeczny za rozsądną cenę?

Michał Boni: – Niesprawna władza nie umie zawrzeć dobrej transakcji. Z tego punktu widzenia w początku lat 90. władza była lepsza.

Jacek Piechota: – Porozumienie jest wartością pozytywną, ale są oczywiście granice ustępstw. Przez wiele lat władza za spokój społeczny przepłacała i dziś borykamy się ze skutkami tego przepłacania.

Każdy z ministrów ma, rzecz jasna, swój punkt widzenia. Być może cena spokoju jest taka jak każdego innego towaru – tyle jest warty, ile kupujący jest gotów zapłacić. W tym jednak przypadku pomiędzy „dużo” a „za dużo” może być kilka miliardów złotych różnicy. Trzeba też pamiętać, że koszty społeczne nie zawsze dają się łatwo wyrazić w liczbach. Jak przeliczyć na gotówkę opóźnienie czy zaniechanie reform lub likwidacji nierentownych zakładów pracy z powodu protestu? Nie zawsze też kupuje się spokój, wydając pieniądze. Można się ich nie domagać – na przykład nie żądać płacenia ZUS i podatków. Można też przez całe lata utrzymywać instytucje w rodzaju Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. KRUS jest w istocie narzędziem uśmierzenia w zarodku buntu wsi. Być może jej likwidacja byłaby kosztowniejsza niż coroczne dopłaty z budżetu na rolnicze renty i emerytury.

Michał Boni: – Spokój społeczny jest elementem dialogu, jest potrzebny i musi kosztować. Ale czasem te koszty są za wysokie. Zbyt często władza płaci bez pełnej analizy, bez oceny kosztów społecznych i ekonomicznych. Czasem za te same pieniądze można by więcej uzyskać.

REWOLWER W KIESZENI

Ludzie, którzy w imieniu rządu (a tak naprawdę w naszym imieniu – bo niby czyje są pieniądze, które władza dzieli?) negocjują ze związkami zawodowymi koszty utrzymania spokoju, podkreślają, że związkowi liderzy to trudni rozmówcy. Między innymi dlatego, że zbyt często widzą oni w rządzie nie partnera do zawarcia kompromisu, czyli swego rodzaju transakcji, ale przeciwnika. Władza nie umie kupić, bo nie potrafi ustalić ceny, a czasem także tego, co naprawdę chciałaby dostać. Druga strona, zamiast pokazać towar, wyciąga z kieszeni rewolwer. Kompromis można zawrzeć, gdy jest do niego gotowość z obu stron. A transakcja kupna-sprzedaży nie zno-

si postawy „wszystko albo nie” często prezentowanej przez związkowych przywódców. Wreszcie – żeby zawierać transakcje, trzeba uznawać reguły rynku.

– Liderzy związków górniczych nie widzą sytuacji przedsiębiorstwa w kategoriach ekonomicznych – mówi Jacek Piechota. – Może gdyby zbankrutowała jakaś kopalnia, to w innych związkowcy więcej by zrozumieli. Nie wykształciła się kultura rozmów, w wyniku których obie strony uważają, że odniosły sukces.

Listopad był wyjątkowo bogaty w protesty. Nie ma jednak miesiąca, żeby jakaś grupa zawodowa, branża, przedsiębiorstwo nie żądały pieniędzy, grożąc strajkiem lub organizując uliczne kryteria.

KRÓTKOWZROCZNE RZĄDY

Obecny rząd kupuje spokój tak samo, jak robiły to wszystkie poprzednie, od roku 1989 poczynając. Dawniej władza też płaciła, ale na innych zasadach, na przykład tak jak w 1976 roku, rezygnując z podwyżek cen.

A czy władza przepłaca? Prawdopodobnie rząd mógłby nieraz kupić taniej lub za tę samą cenę otrzymać więcej. Ale nie wiemy, kiedy przepłacił i ile, bo żaden z tych dziewięciu rządów od 1989 roku nie robił rzetelnych rachunków i nie przedstawił nam ich do weryfikacji.

Władza często stoi na z góry straconej pozycji. Nie potrafi przewidzieć i w porę zagasić tłęcego się niezadowolenia, więc niemal zawsze działa pod presją. Niby targuje się w naszym imieniu, ale dopiero wtedy, gdy już naprawdę musi i spokój jest jej pilnie potrzebny, bo tu strajk pielęgniarek, a za chwilę wizyta Ojca Świętego, to znów niedługo wybory i trzeba atmosferę uspokoić.

– Trudno ocenić, czy i kiedy władza mogła mniej wydać, bo większość takich porozumień zawiera się, gdy nie ma czasu na spokojne policzenie, ile to będzie kosztować i co za to dostaniemy. Władza grzeszy krótkowzrocznością, kolejny rząd nie pamięta o zobowiązaniach poprzedniego, nie ma tradycji dialogu ze społeczeństwem – uważa Michał Boni.

Ile władza naprawdę wydała na kupowanie spokoju? Jeśli ktoś liczy na to, że znajdzie tutaj dokładną, imponującą kwotę, rozczaruje się. Pojęcie „kupowania spokoju” jest niezdefiniowane. Często też nie wiemy, jaki jest koszt koniecznych odpraw, restrukturyzacji itp. bez uwzględnienia związkowego straszaka. Nie da się więc precyzyjnie określić, kiedy i ile kolejne rządy wydały na spokój. Ani ile wydadzą w przyszłości.

I jeszcze jedno – wyborców nikt nie pyta, jakie koszty kupowania spokoju akceptują. Partie polityczne tego akurat wątku w swych programach nie eksponują.

JAN BAZYL LIPSZYC

W poniedziałek 22 grudnia w Gazecie Wyborczej

gazeta **DUŻY FORMAT**

Jan nie ma pojęcia o starożytnej filozofii, nie wie, że są kontynenty i był Napoleon. Nie wie, kim jest, nie pamięta twarzy rodziców. Ale wie, jak żyć

Człowiek, który powstał z torów

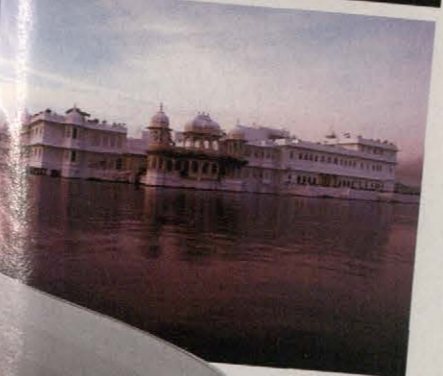
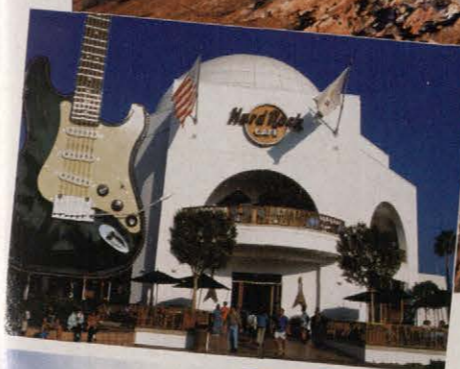
poniedziałek **gazeta** DUŻY FORMAT

W wydaniu świątecznym przeczytaj również:

- „Płaszcz” – opowiadanie Jeremiego Przybory specjalnie dla „Dużego Formatu”
- Inwazja na Marsa już się zaczyna!
- Czy Wajrak będzie miał jajko z Kurą, która jest krukiem?
- W Polsce zabito Chopina – mówi Piotr Anderszewski, genialny polski pianista
- Twarze żywych świętych
- Ogromna świąteczna Jolka
- Manniak Wigilijny

Turystyka filmowa

[popmoda]



Nevada – sceneria znana ze „Star Treka”, obok: Los Angeles, nowozelandzki plan „Władcy Pierścieni” i hotel w Udajpurze

W latach 80. film „Krokodyl Dundee” sprowadził – jak się ocenia – około dwóch milionów turystów do Australii. Leżąc po sąsiedzku Nowa Zelandia nie była tak rozpieszczana przez biznes filmowy. Znana ją z plaży sfilmowanej w „Fortepianie” Jane Campion. Miejsce znane z filmu już wtedy stało się celem wycieczek.

Sytuację zmienił „Władca Pierścieni”. Od listopada 2001 roku tylko z powodu filmu Petera Jacksona odwiedziły Nową Zelandię setki tysięcy osób. Dzięki sukcesowi tego obrazu co roku liczba turystów w tym kraju rośnie o sześć procent.

Firmy takie jak Hobbiton Tours czy Nomad Safaris proponują wycieczki do miejsc znanych z filmu (szczegóły: filmnz.com). Obejrzać można między innymi lokalizacje Hobbitonu, Rivendell i Helmowego Jaru. Między Los Angeles a Auckland kursuje specjalny boeing 747 z wizerunkiem Frodo Bagginsa na kadłubie (znany jako „frodo plane”), a ministra Pete'a Hodgsona – odpowiedzialnego za sukces filmowej turystyki – okrzyknięto „ministrem Władcy Pierścieni”. Nowa Zelandia stała się numerem jeden wśród filmowców. Powstał tam „Ostatni samuraj” z Tomem Cruise'em i filmowa biografia Sylvii Plath z Gwyneth Paltrow, kręcony jest „Zaginiony świat” według Conan Doyle'a. Wydawca przewodników Lonely Planet uznał Nową Zelandię za najciekawsze miejsce do obejrzenia w tym roku.

Nie tylko Nowa Zelandia

W ciągu najbliższych 10 lat z samej tylko sławy ekranizacji Tolkiena nowozelandzka turystyka chce wycisnąć ponad 250 milionów dolarów. Fanom filmowej trylogii służyć może „The Lord Of The Rings Location Guide Books” – przewodnik po planach

„Władcy...” i najlepiej sprzedająca się nowozelandzka książka ostatnich lat (90 tysięcy egzemplarzy, przy niecałych czterech milionach ludności w tym kraju – to tak, jakby Masłowskiej w Polsce sprzedano się nie 80, ale 800 tysięcy!).

Co się zwiedza na świecie? Choćby charakterystyczny pałac na wodzie znany z filmu „Ośmiorniczka” z serii o Jamesie Bondzie (Udajpur, Indie), który jest w rzeczywistości hotelem. W Berlinie turyści szukają plenerów z „Good bye, Lenin!”, a w Paryżu idą na Montmartre, śladami Amelii. Fani „Gangów Nowego Jorku” odwiedzają Green-Wood Cemetery na Brooklynie, szukając grobu Billa Rzeźnika (zadanie trudne – podobno leży w zbiorowej mogile), tak jak fani „Titanica” parę lat temu odwiedzali cmentarz w Halifax, gdzie rzekomo leżą ciała ofiar katastrofy. Turyści często wybierają plenery znane z „Gwiezdnych wojen”. Wydmy w okolicy Chott el Gharsa w Tunezji to jedna z największych atrakcji turystycznych w tym kraju. Tylko w rzeczywistości wyglądają trochę mniej baśniowo niż w George'a Lucasa.

Filmowe miasto

Najwięcej zabytków filmowych klasy zero jest w Los Angeles i okolicach. Poza studiami Universalu, które zwiedzać można jak normalne muzeum, są zwykłe ulice i budynki – choćby motel Vagabond Inn znany z filmu „Thelma i Louise”. Zwiedzać można dom szalonego doktora Emmeta Browna z filmu „Powrót do przyszłości”. W Downtown znajdziemy budynki z filmu „Łowca androidów”, a na Westward Beach zobaczymy krajobraz znany z ostatniej sceny oryginalnej „Planety małp”. Tyle że bez niszczącej Statui Wolności, co chyba dość zrozumiale. Bo w Nowej Zelandii też ani śladu hobbitów.

BARTEK CHACIŃSKI

[Migdał z makiem]

Mak jest fetyszem KENZO od trzech lat. Najnowsza linia FLOWER BY KENZO LE PERFUM to mieszanka kwiatowo-orientalna. Nuty polnego maku łączą się w czerwonym flakonie z głógiem, migdałem i ambłą. 50 ml kosztuje 340 złotych www.kenzo.com

[Dotknij mnie]

SONYERICSSON P900 to połączenie komórki z palmtopem. Odchylana klawiatura służy do wybierania numeru, a ukryty pod nią duży, kolorowy ekran reaguje na dotknięcia dołączonym w komplecie rysikiem. Komunikacja z terminarzem albo książką telefoniczną jest przez to prosta jak drut, to znaczy jak rysik. Cenę sprawdź u operatora www.sonyericsson.pl

[Kwadratura płyty]

Płyty CD są okrągłe, ale kto powiedział, że odtwarzacze też muszą? Zmień kształt! PANASONIC SL-J900 jest doskonale kwadratowy niczym srebrzysty kafelek z łazienki w stylu techno. Odczytuje pliki MP3, a system przeciwwstrząsowy zadba o ciągłość grania. 1199 złotych (w komplecie z tytanowymi głośnikami i pilotem). www.panasonic.pl

[Wszystko pod kontrolą]

Kamera internetowa CREATIVE WEBCAM NX ULTRA daje niezwykle szerokie pole widzenia – dzięki temu możesz jej użyć do obserwowania pozostawionego dziecka lub psa w domu. Masz gwarancję, że twój podopieczny nie ukryje się w jakimś ciemnym kącie pokoju, oddając się niecnym sprawkom. 337 złotych www.creativelabs.com

[Dla pilota]

Oto następca terenowego LEXUSA RX 300. Konceptyjny LF-X to połączenie samochodu terenowego z luksusową limuzyną. Przewiezie sześciu pasażerów, a kierowca poczuje się w nim jak pilot, bo w samochodzie zamiast kierownicy znajdzie wolant. www.lexus.com



MAREK GRECHUTA – artysta kochany przez emerytów i nastolatki – wydał właśnie pierwszą od dziewięciu lat nową płytę

KRZYSZTOF STRZELECKI

POGRECHUTANY *ale wielki*

Wiosną 2002 roku nastąpiła koronacja króla. Na uroczystej gali Marek Grechuta dostał Fryderyka za całokształt twórczości i 13-płytową reedycję swoich dzieł. Po statuetkę wyszedł schorowany człowiek, widziała to w telewizorach cała Polska. Dostał owację na stojąco, jakiej nie było.

Później grupa Myslowitz zaprosiła go, by z Arturem Rojkiem wykonał piosenkę „Kraków”. Grechuta nic nie wiedział o Myslowitz. Nie interesuje się współczesną sceną muzyczną, z młodych artystów ceni Annę Marię Jopek. Posłuchał jednak nagrań, przeczytał tekst, zmienił parę akordów, zaaranżował po swojemu. Efekt: pierwsze miejsce na Liście Przebojów Trójki.

Teraz wraca z własną nową płytą – „Niezwykłe miejsca”. Opisuje w piosenkach piekarnię w podkrakowskiej Lanckoronie i operę w Sydney, bliski sercu Kazimierz i daleki Nowy Jork. Nic dziwnego – z wykształcenia jest architektem. – Gdy skończyłem studia, zorientowałem się, że moje wypieszczone modele to uluda. To nie był czas dla architektów. Budowano wtedy z wielkiej szarej płyty wieżowce brzydkie, koślawe. Dlatego zwróciłem się do muzyki i poezji. Tu znalazłem ujście dla mojej kreatywności – opowiada mi Grechuta.

Mówi powoli, starannie. Dobiera słowa, jakby pisał wiersz. Patrzy nieobecnym wzrokiem. Trudno zobaczyć w nim teraz bożka poetów i śpiewaków.

KTO PIERWSZY SZEDŁ PRZED SIEBIĘ? KTO PIERWSZY CEL WYZNACZYŁ?

Marek Grechuta. Drogę na muzyczny szczyt zaczął w Zamościu.

Jest na płycie piosenka „Gdzieś na skraj mapy – Zamość”: „Kwadrat dużego rynku zdobią kamienice / Fasady kamieniczek zdobią zaś podcienia / W cztery strony rynek przecinają ulice / I tak od czterech wieków nic się tu nie zmienia”. Tam Marek od siódmego roku życia grał na fortepianie. W liceum recytował poezję (raz ponad pół godziny deklamował Kasprowicza na akademii). Założył zespół bigbitowy, na szkolnych zabawach śpiewał piosenki Elvisa Presleya i Paula Anki. Dokazywał.

Grechuta: – Bardzo lubiłem jako młody chłopak grać w piłkę nożną. Każda ulica miała swoją drużynę, my z Grodzkiej najczęściej graliśmy z Ormiańską. Raz wygrywaliśmy, raz przegrywaliśmy, czasem doszło do awantury.

Dzieciństwo to też pobliski Kazimierz Dolny, dokąd jeździł z matką i siostrą. Na płycie: „Jak perła między wzgórzami – Kazimierz”. W refrenie: „Kazimierzu nasz, ci zostawia serca, którym szczęście dasz”.

Grechuta: – Miałem szczęśliwe dzieciństwo. Chociaż moi rodzice się rozwiedli, gdy miałem 12 lat. Ale nie odebrałem tego jak wielkiego ciosu. Stało się.

Ojciec wyprowadził się do Warszawy. A Marek po maturze pojechał na studia do Krakowa, dostał się na architekturę.

KTO PIERWSZY ZOSTAŁ PANEM? KTO PIERWSZY ZOSTAŁ KRÓLEM?

Grechuta królem piosenki i panem estrady został w królewskim Krakowie. Zajęło mu to cztery lata.

Grechuta: – Na pierwszym, drugim roku myślałem, że zostanę architektem. Ciężko pracowałem. Do piątej rano nad książkami, a o siódmej trzeba się było zrywać na zajęcia. Na trzecim roku zrobiło się trochę spokojniej, miałem trochę czasu. Kupiłem raz bilet na recital Ewy Demarczyk do Teatru Kameralnego i się zachłysnąłem. Zachwyliło mnie, zdumiało: „Karuzela z madonnami”, „Grand Valse Brillante”...

W tym samym czasie do akademika, w którym mieszkał Grechuta, wstawiono pianino. Elvis z Zamościa zasiadł do instrumentu, otworzył tomik Juliana Tuwima i zaczął dobierać dźwięki do wiersza „Sen złotowłosej dziewczynki”. Dosiadł się do niego Janek Pawлуśkiewicz, zaczęli wspólnie aranżować utwór. Ta chwila była dla polskiej piosenki jak bomba z opóźnionym zapłonem. Powstał wtedy utwór „Pomarańcze i mandarynki”, który otworzy Grechucie drzwi do sławy. Powstała spółka kompozytorsko-autorska o niepowtarzalnym stylu (te smyczki!) i załóżek zespołu Anawa, który w różnych mutacjach towarzyszy Grechucie do dziś. Zrodziło się nowe podejście do śpiewania poezji: skupiony śpiewak (bo, jak mawia Grechuta, publiczność też przyszła słuchać w skupieniu), a muzyka trochę jazzowa, a trochę klasyczna, kameralna.

W roku 1967 bomba eksplodowała. Na występ nieznanego studenckiego kabaretu Anawa w małym studenckim klubie jego twórca Marek Grechuta zaprosił wielkich: Piotra Skrzyneckiego i Ewę Demarczyk z Piwnicy pod Baranami.

Grechuta: – To był szalony pomysł. Piotr nie dotarł, pewnie wpadł do jakiejś kawiarenki. Ale Ewa, ku mojemu zdumieniu, przyszła. Widzę w trzecim rzędzie te czarne oczy. Jest ta Czarna Madonna! Myślałem, że spadnę ze sceny. Po koncercie podeszła do mnie: „Panie Marku, bardzo mi się podobają pana piosenki, proszę tego stylu nie zmieniać”.

Tajemniczy Grechuta dla muzyków był jak bóg

Niedługo potem w klubie Pod Jaszczurami odbywały się krakowskie eliminacje Festiwalu Piosenki Studenckiej. Jury nie chciało przepuścić Grechuty do finału. Na to Demarczyk, która przyszła tam z ciekawości, urządziła jurorom awanturę. Grechuta pojechał na warszawski finał. Wygrała Maryla Rodowicz, ale „Pomarańcze i mandarynki”, „Serce” oraz „Tango Anawa” dały mu drugie miejsce. Narodziny gwiazdy o urodzie cherubinka i delikatnym wejrzeniu w telewizji zobaczyła cała Polska.

W grudniu Demarczyk zaprosiła Grechutę z Anawą do Piwnicy pod Baranami. Te deski nobilitowały. Piotr Skrzynecki zażartował przy zapowiedzi: „Proszę państwa, ten występ nie wchodzi w cenę biletu”. Ale po występie publiczność śmiała się, klaskała – i tak już miało zostać. W 1976 roku Grechuta na stałe związał się z Piwnicą i z Krakowem. – Startując w 1967 roku na Festiwalu Piosenki Studenckiej, z niepokojem myślałem, czy coś osiągnę – mówi. – Bo wiedziałem, że jeśli tak, to zostanę obywatelem tego artystowskiego Krakowa.

KTO PIERWSZY ZOSTAŁ KRÓLEM? A KTO CHCIAŁ ZOSTAĆ BOGIEM?

– Niezwykła osobowość. Mało mówił, był tajemniczy, zamknięty w sobie. Dla nas był bogiem, dużo się przy nim nauczyłem – opowiada jeden z muzyków akompaniujących kiedyś Grechucie. A gdy w latach 80. dwa dni przed występem wypadł ze składu pianista i trzeba było ratować się poleconym przez kogoś nowym muzykiem – ten niemal z głowy potrafił zagrać wszystkie piosenki Grechuty.

W 1970 roku wyszła debiutancka płyta „Marek Grechuta i Anawa”. Połowa piosenek to do dziś znane hity. Muzykę napisali głównie Grechuta i Jan Kanty Pawluśkiewicz. Słowa to na ogół wiersze znanych poetów. Na przykład „Niepewność” z potocznym już „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie” Mickiewicza. Część tekstów Grechuta napisał sam – na przykład „Będziesz moją panią” – do świeżo poślubionej żony Danuty, z którą szczęśliwie żyją do dziś.

W 1977 roku Grechuta wygrał prestiżowy festiwal w Opolu. Zaczęły się wojaże zagraniczne. „Wokół zaczarowany świat – Wenecja” to piosenka z nowej płyty. – Pierwszy raz byłem w Wenecji z Piwnicą pod Baranami – mówi artysta. – Ale niewiele zobaczyliśmy, bo przyszła olbrzymia mgła, wiatr od morza był siwy. Tak to zapamiętaliśmy i tak jest w piosence.

Najpiękniejsza budowla na świecie? Opera w Sydney. Marek Grechuta widział ją w 1989 roku. Teraz ułożył piosenkę: „Jakby wypłynął nagle – opera w Sydney”. Grechuta: – Oszałamiająca budowla. Stanowi o oryginalności tego miasta, bo wieżowce są wszędzie takie



FOT. ZENON WRÓBEL/ARCHIWUM RODZINNE



FOT. MAREK A. KĄREWICZ/FORUM

Grechuta w okresie największych sukcesów, powyżej – z żoną Danutą

same. A te zagle czy też muszle tworzące ten budynek niemal przylegają do morza. Architektura i przyroda są scalone w jedno.

W 1981 roku Grechuta wyjechał do Ameryki, pierwszy raz zobaczył Nowy Jork. Na „Niezwykłych miejscach”: „Jak wielkie jabłko – Nowy Jork”. Jabłko to symbol miasta, mówi się, że wykarmi każdego (jabłko i miasto).

Grechuta: – Myślałem, że śnię. Miasto żyło jednakowo w dzień i w nocy. O 4.30 rano chodziliśmy z Jonaszem Koftą po ulicach, puby i restauracje były pełne. Szedłem Piątą Aleją jak kanionem między wieżowcami. Manhattan to bajka. Kiedy byłem w Nowym Jorku ostatni raz w 2001 roku, organizator koncertu zrobił mi przyjemność, pojechaliśmy oglądać rozświetlony Manhattan z dwiema wieżami World Trade Center.

Na atak terrorystów Grechuta patrzy okiem architekta: „Straszna tragedia, która zniszczyła World Trade Center / Sprowadziła smutek do domów i na ulice / Gdy architekci projektują tysiąc pięter / Ja wolałbym w tym miejscu zobaczyć Sukiennice”. I wyjaśnia: – Gdyby te budynki były niższe, toby mniej ludzi zginęło. Budowanie coraz wyższych budowli nie ma sensu. Architektura powinna być kameralna.

KTO PIERWSZY BYŁ CZŁOWIEKIEM? KTO BĘDZIE NIM OSTATNI?

Do Grechuty człowieka trudno dotrzeć. Jego żona Danuta wyjaśnia, że jest zmęczony śpiewaniem, że jeżdżąc po świecie, pięć razy „dachaował” samochodem, że głos ma dziwny, bo nim pracował przez 35 lat. Artystyczny Kraków mówi jednak o chorobie artysty.

– Zaczęło się ze 20 lat temu – mówi człowiek z Piwnicy pod Baranami. – Marek ma na przemian okresy euforii i depresji. Kiedy daje koncert, nie wiadomo, czy będzie otwarty, czy zamknięty w sobie, bez kontaktu. Czy zaśpiewa, czy poprzestanie na melodeklamacji.

Muzyk, który grał w Anawie przez kilkanaście lat, mówi, że Grechuta cierpi na stany lękowe: – Zaczęło się po wprowadzeniu stanu wojennego. 13 grudnia wracaliśmy taksówką z koncertu w Poznaniu, po drodze zatrzymywali nas milicjanci. Grechutę, który zaangażował się wcześniej po stronie Solidarności, pytali: „No, ale kto ty jesteś teraz? Już się skończyło”. To przekroczyło próg jego wrażliwości.

W latach 80. zaczęły się dramatyczne koncerty. Raz udawało się wspaniale. Innym razem Grechuta zasiadł do fortepianu i nic nie zagrał. Muzycy przeprosili publiczność i koncert odwołano. W Warszawie, bodajże w 1989 roku, kiedy artysta znów miał zły dzień, fani Grechuty wykłaskali go ze sceny. W latach 90. zaprzestął regularnych występów. Wydał tylko jedną płytę – „Dziesięć ważnych słów” (z utworami: „Ojczyzna”, „Wolność”, „Władza”, „Prawo”, „Praca”, „Wiedza”, „Solidarność”, „Natura”, „Sztuka” i „Miłość”). Zaszły się w prywatności, w wypieszczonym białym domku. Najbardziej lubi usiąść na kanapie i oglądać transmisje sportowe.

Jest na nowej płycie piosenka „Góry me wysokie – Zakopane”.

– Jeździ pan na nartach?

Marek Grechuta: – Teraz już nie.

Danuta Grechuta: – Opowiedz, jak w latach 70. uczyłeś się jeździć. Nasz mały Łukasz śmigał już całkiem niezle, a ty chodziłeś tak koślawo w poprzek stoku.

Ale o tym Marek Grechuta mówić nie chce.

W 1999 roku o rodzinie Grechutów zrobiło się głośno. Ukochany syn Marka i Danuty Łukasz po studiach oświadczył rodzicom, że musi sobie przemyśleć życie – i zniknął na dwa lata z domu. Zrozpaczeni rodzice zgłosili się do programu „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”, zamieścili w prasie odręcznie napisany apel: „Łukasz, wróć do domu! Przysięgamy Ci na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, że jak wrócisz, nic nie będzie wbrew Twojej woli”. Po dwóch latach Łukasz wrócił z podróży (dotarł do Włoch), pracuje, mieszka w Krakowie.

Marek Grechuta nie uważa, żeby przez to miał na nowej płycie zmęczony głos. W ogóle nie uważa, żeby miał zmęczony głos. Choć jego śpiew przypomina dziś melodeklamację, nuty nie płyną, urywają się raptownie. Głos jest niższy, chropawy. Tylko to ciepło, które uczyniło Grechutę bogiem zakochanych, pozostało.

W fanach nowa płyta Grechuty budzić będzie pewnie podobne wzruszenie jak słuchanie z trudem mówiącego Papieża.

KRZYSZTOF STRZELECKI

ŚRÓDTYTUŁY POCHODZĄ Z PIOSENKI GRECHUTY „KOROWÓD” Z TEKSTEM LESZKA A. MOCZULSKIEGO

PANI

CENA 7,20 ZŁ
(w tym 7% VAT)
NR 01 (159) ROK XV
STYCZEŃ 2004
Numer indeksu 368652
ISSN 1230-8293
www.pani.pl

NAJDŁUŻSZY
ROMANS
JACKA
CYGANA

REQUIEM
DLA CÓRKI
wspomnienie
o Marie Trintignant

DOMAGALIK I WIŚNIEWSKI
czyli jak rozebrać feministkę

NIEBIESKIE PTAKI
WARSZAWSKIEJ BOHEMY

CATHERINE
ZETA-JONES
MÓWICIE ŻE ROBIĘ TO
DLA PIENIĘDZY?

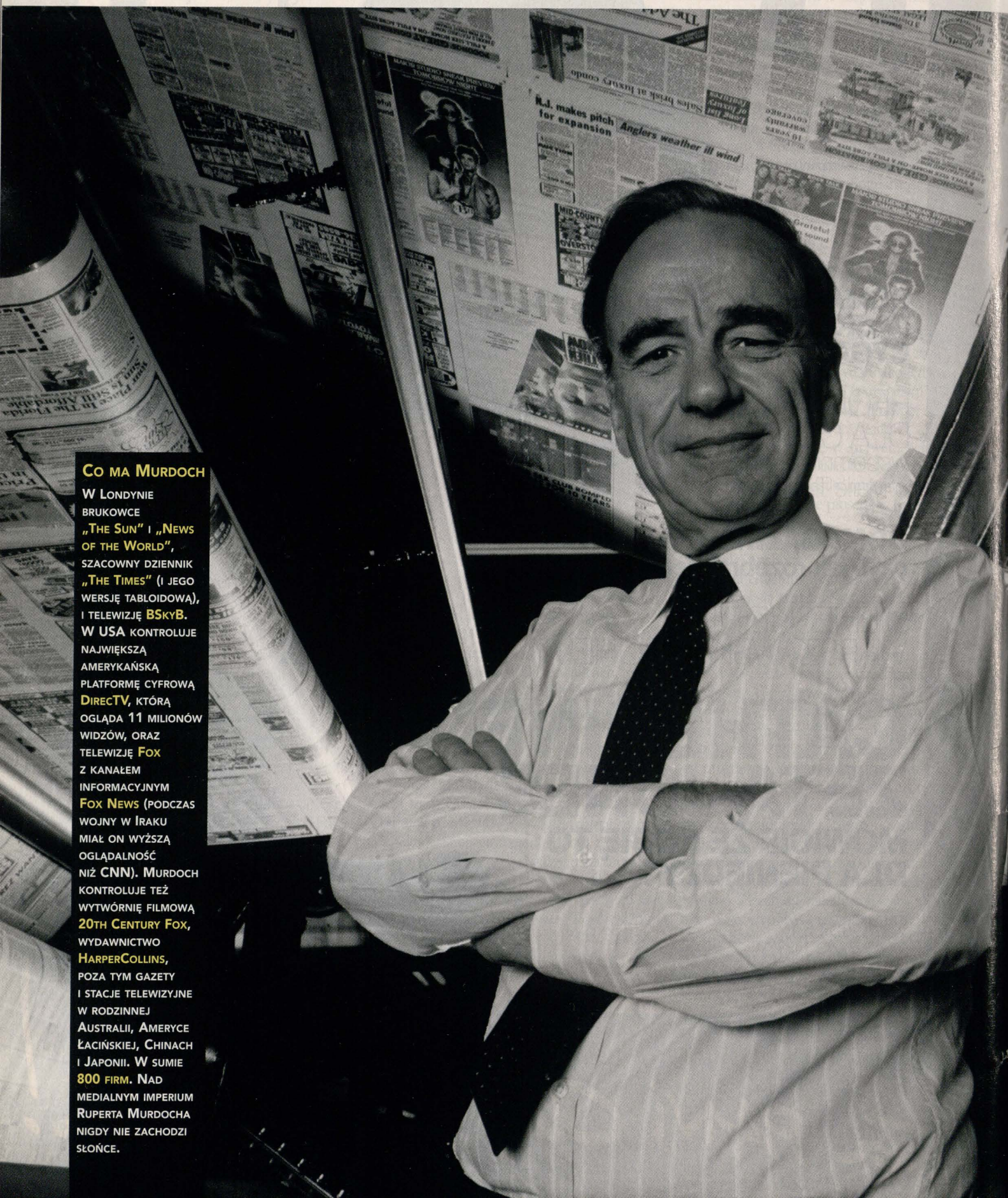
ZDOBYŁY
WSZYSTKO
NIE MAJĄ NIC

MODA
wieczór
w kabarecie

URODA
piękna
prowokatorka



Ja PANI Cię zaskoczę!

**CO MA MURDOCH**

W LONDYNIE BRUKOWCE „THE SUN” I „NEWS OF THE WORLD”, SZACOWNY DZIENNIK „THE TIMES” (I JEGO WERSJĘ TABLOIDOWĄ), I TELEWIZJĘ **BSKYB**. W USA KONTROLUJE NAJWIĘKSZĄ AMERYKAŃSKĄ PLATFORMĘ CYFROWĄ **DIRECTV**, KTÓRĄ OGLĄDA 11 MILIONÓW WIDZÓW, ORAZ TELEWIZJĘ **FOX** Z KANAŁEM INFORMACYJNYM **FOX NEWS** (PODZAS WOJNY W IRAKU MIAŁ ON WYŻSZĄ OGLĄDALNOŚĆ NIŻ CNN). MURDOCH KONTROLUJE TEŻ WYTWÓRNIĘ FILMOWĄ **20TH CENTURY FOX**, WYDAWNICTWO **HARPERCOLLINS**, POZA TYM GAZETY I STACJE TELEWIZYJNE W RODZINNEJ AUSTRALII, AMERYCE ŁACIŃSKIEJ, CHINACH I JAPONII. W SUMIE **800 FIRM**. NAD MEDIALNYM IMPERIUM RUPERTA MURDOCHA NIGDY NIE ZACHODZI SŁOŃCE.

WEJŚCIE MURDOCHA

MAREK RYBARCZYK

Umie jak nikt unikać płacenia podatków, podlizywać się politykom i genialnie sprzedawać wojnę, biusty, burdy i morderstwa. **RUPERT MURDOCH** szykuje się do wejścia na polski rynek. Ostrzy sobie zęby na Polsat i „Życie Warszawy”

72-letni rekin mediów ma zawsze podobną taktykę. Wpływa do nowego basenu i udaje karpia. Milczy albo dementuje pogłoski o planach przejęcia kolejnych gazet i stacji telewizyjnych. Potem zmienia się w drapieżnika – dużo i szybko polyka. – Murdoch to rekin. A rekiny mają ostre zęby – mówił o Murdochu Leo Kirch, niemiecki magnat medialny.

Gigantyczna firma rodziny Murdocha, News Corp., obraca 21 miliardami dolarów w 52 krajach. Za pomocą 200 gazet, dziesiątek stacji telewizyjnych i setek filmów dociera do trzech czwartych mieszkańców świata. Kontroluje też oplatający planetę system satelitów.

Murdoch i jego rodzina mają w News Corp. 40 procent akcji. To wystarczy, by dla 30 tysięcy pracowników słowo Murdocha było rozkazem. Decyzje lubi podejmować sam w najgłębszej tajemnicy. Rozmawia tajnym kodem nawet z własnymi synami, dyrektorami w jego imperium. Kiedy uśmiecha się do kamer, w jego oczach widać stalowy błysk. To jeden z najbardziej efektywnych i najbrutalniejszych biznesmenów XX wieku.

DRUGA MŁODOŚĆ

Robienia gazet nauczył się od ojca. Keith Murdoch, znany wydawca australijski, zmarł, gdy Murdoch miał 22 lata. Pozostawił synowi w spadku lokalną gazetę w Adelajdzie. Ten szybko postawił tytuł na nogi. Był konsekwentny: podwyższał nakład, obniżając poziom. – Mam dość snobów czytających gazety, których nie bierze do ręki nikt inny – powtarzał Murdoch.

W 1964 roku założył pierwszy dziennik krajowy w Australii. Harował nocami w drukarni, a nad ranem – jak głosi legenda – ubrany w szlafrok sprawdzał, czy wydrukowana gazeta odlatuje do czytelników. Wkrótce Murdoch zdobył wpływy w elicie politycznej

Australii. Przypomniał sobie o prawidłowości, o której mówił mu ojciec – dzięki przyjaznej polityce wobec ludzi w rządzie właściciele gazet mogą zawsze liczyć na rewanz.

W 1969 roku wypuścił się na łowy do Wielkiej Brytanii. Kupił brukowiec „News of the World”. Podniósł szybko nakład, drukując wspomnienia prostytutki Christine Keeler, której romans doprowadził do upadku rządu Harolda Macmillana. Wkrótce potem polknął największy brytyjski brukowiec – „The Sun”. Wymyślił wówczas popularną do dziś trzecią stronę tabloidu ze śmiałymi zdjęciami modelek topless.

Murdoch przeżywa dziś drugą młodość. W wieku 72 lat mówi, że złapał oddech dzięki szóstemu potomkowi. Najmłodszego z klanu Murdochów urodziła Wendy Deng, trzecia żona Murdocha. Dla pięknej 34-letniej skośnookiej Wendy przeszedł końską kurację odchudzającą. Zwalczył raka prostaty. Ograniczył dietę do warzyw i owoców. Codziennie biega i trenuje boks. Murdoch z dumą chwali się, że jego poziom cholesterolu osiągnął zero. Krytycy magnata wytykają mu, że bliski zera jest także poziom dobrego smaku w News Corp. Murdoch uchodzi za potwora świata mediów także dlatego, że spełnił marzenie wszystkich: stworzył pierwsze światowe imperium informacyjne. Szedł nienasycony od bitwy do bitwy, pozyskując kolejne tytuły, stacje i wydawnictwa (patrz ramka).

TRZECIA ZASADA MURDOCHA

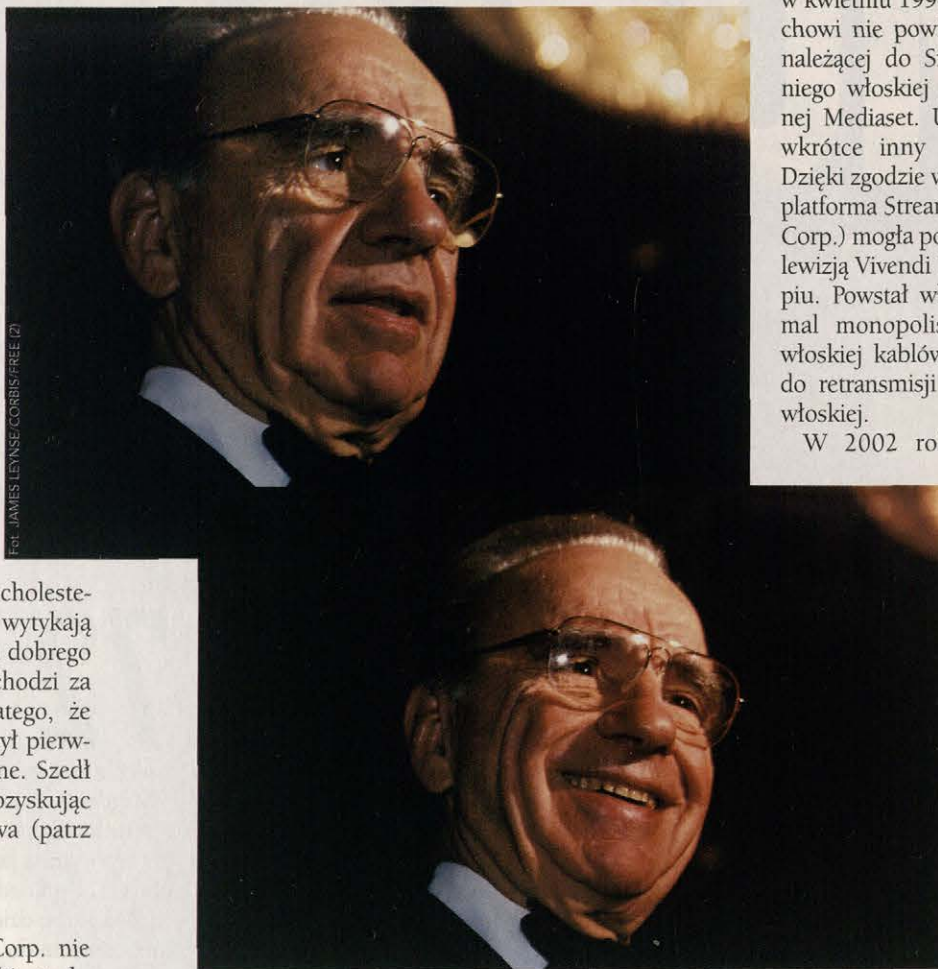
Genialne pomysły szefa News Corp. nie kończą się oczywiście na gołych biustach, konkursach typu „Amerykański idol” i operach mydlanych. Interesy to gra dla twardych typów. Pierwsza maksyma szefa News Corp. brzmi: płacić jak najmniej podatków. Dlatego rejestruje siedzibę większości firm w rajach podatkowych, między innymi na Bermudach i Wyspach Dziewiczych. Do walki z fiskusem wysyła najlepszych adwokatów. Dzięki nim zarabia co roku ponad półtora miliarda dolarów. Spece od finansów organizują Murdochowi awaryjny kapitał. Może zawsze liczyć na oferty pożyczek z kilkudziesięciu banków.

Zasada druga: bezwzględność i bezgraniczna cierpliwość. W połowie lat 80. gazety Murdocha przeszły na skład komputerowy. Przygotował potajemnie wyprowadzkę z londyńskiej Fleet Street do nowej drukarni w Wapping. Zwolnił kilka tysięcy drukarzy mimo protestacyjnych pikiet brytyjskich związków.

Zasada trzecia: prawo medialne bywa z reguły rozciągliwe jak guma. Najlepiej, gdy na-

ciągają je politycy. Murdoch jak piskorz wciska się w najmniejsze luki prawne zakazujące koncentracji mediów, a potem ostro rozpycha, mrugając do polityków.

Taktyka odniosła sukces w przypadku Margaret Thatcher i Tony’ego Blaira. W 1990 roku tracąca popularność żelazna dama przymknęła oko, pozwalając Murdochowi na



PH. JAMES LEVINE/CORBIS/FREE (7)

Starszy pan o twarzy Kaczora Donalda trzęsie światowymi mediami. Nie chce słyszeć o emeryturze. – Musieliby mnie wynieść z firmy – powiedział dziennikarzom oczekującym rychłej rodzinnej sukcesji w News Corp.

Rupert Murdoch kontroluje, co piszą jego gazety. Szef News Corp. uwielbia twardą prawicę, „patriotyczną” wojny i wolnoamerykanek na rynku mediów

stworzenie cyfrowej platformy telewizyjnej BSkyB. W ciągu kilku lat stała się perłą w koronie imperium Murdocha. Także dzięki wyłączności na transmisje na żywo meczów angielskiej Premier League.

„SUN” WYGRYWA WYBORY

W 1997 roku imperium Murdocha po raz pierwszy poparło Partię Pracy. Laburzyści pokonali konserwatystów. „To »The Sun« załatwiło te wybory” – chwaliła się na pierwszej stronie gazeta Murdocha. Rzeczywiście od 1979 roku wygrywała ta partia, po stronie której stanął „Sun”.

Życie z gazetami Murdocha nie jest najłatwiejsze. Blair jest wiecznie szachowany przez „Suna” i „Timesa”, oba dzienniki konsekwentnie odrzucają pożegnanie z funtem na rzecz euro. Ale też Blair liczy się z Murdochem – kiedy było trzeba, szepnął o nim serdeczne słowo włoskiemu premierowi Romano Prodiemu. Mimo tej interwencji w kwietniu 1998 roku Murdochowi nie powiódł się zakup należącej do Silvio Berlusconi’ego włoskiej grupy medialnej Mediaset. Udał się za to wkrótce inny złoty interes. Dzięki zgodzie władz włoskich platforma Stream (część News Corp.) mogła połączyć się z telewizją Vivendi Universal Telepiu. Powstał włoski Sky, niemal monopolista na rynku włoskiej kablówki z prawami do retransmisji pierwszej ligi włoskiej.

W 2002 roku brytyjskie

rykańskim. Wymienił paszport ze względów czysto koniunkturalnych. Obywatelstwo Australii ograniczało jego plany ekspansji w USA. „Amerykanin” Murdoch kupił w końcu kilka stacji. Stworzył telewizję Fox, konkurentkę ABC, NBC i CBS. Pierwszym jej hitem była głupawa kreskówka „Simpsonowie”.

Aby uruchomić kablówkę DirecTV, Murdoch wykorzystał kruczek prawny. Federalna Komisja Komunikacji (FCC) nie pozwalała na to, by właściciel lokalnych gazet (wśród nich Murdoch ma między innymi „Boston Herald” i „Chicago”) położył także łapę na telewizji. „Wyszedł z kłopotu po swojemu. Zarejestrował stację jako tak zwaną minisieć. Zobowiązał się tym samym do nadawania jedynie 15 godzin programu tygodniowo. Potem przekraczał ten limit, ale FCC straciła już kontrolę nad sprawą” – pisał brytyjski dziennikarz Bruce Page.

WYPRAWA DO PEKINU

„Rekin” Murdoch nie przepada za krytyką ani rozgłosem. Do swoich wrogów zalicza Unię Europejską, związkowców, agentów „liberalnego totalitaryzmu” oraz rządowe agendy walczące z monopolami na rynku mediów. No i oczywiście rywali – „New York Timesa”, „Washington Post”, telewizje CNN, CBS i BBC. Gdy w grę wchodzi biznes, nie liczy się z nikim i niczym.

Kiedyś nazwał Dalajlamę „rozpolitykowanym mnichem snującym się w butach od Gucciego”. Napaść wiązała się z interesami w Chinach. Do ekspansji kuśił go rynek reklamowy (Chiny mają 1,3 miliarda mieszkańców). W końcu w 1993 roku, cztery lata po masakrze na placu Tiananmen, Murdoch kupił za pół miliarda dolarów Star TV. Za zgodą Pekinu stacja zaczęła nadawać z Hongkongu programy do prowincji Guangdong (od zeszłego roku jest obecna w całych Chinach).

Nowy kanał Star TV serwuje wyłącznie rozrywkę – komedie i konkursy (między innymi „Kobiety rządzą” – panie wrzucają niechcianych zalotników do zimnej wody). Serwisy informacyjne drażniłyby ideologów z Pekinu.

W kwietniu 1994 roku na rozkaz Pekinu Star TV zdjął z anteny retransmisję telewizji BBC. Furię komunistów wywołał film o Mao Tse-tungu „Ostatni cesarz”.

W samej Star TV wszystkie programy przechodzą przez filtr chińskiej wrażliwości. – Jeśli nazywacie to cenzurą, to oczywiście, że uprawiamy rodzaj cenzury – przyznał rzeczownik Star TV Wang Yukui. Murdoch – który lubi siebie reklamować jako bojownika o wolność informacji – retransmituje w USA chiński państwowy kanał CCTV-9. Kupił także chiński dziennik „People’s Daily”. Zgodził się działać w warunkach oficjalnej cenzury. Walczy o wolność, kiedy to nic nie kosztuje.

W USA nie ma cenzury, choć to, co czyta, ogląda i czego słucha 90 procent Amerykanów, kontroluje pięć wielkich medialnych konglomeratów. Murdoch nie jest z pewnością najambitniejszy z nich. Przed zalewem rozrywkowej siećki i jedną linią polityczną chce obronić Amerykanów związana z Sorosem grupa MoveOn.org.

– Ten człowiek chce kontrolować wiadomości w Ameryce – brzmi napis na ekranach telewizorów. To wynik kampanii opłaconej przez przeciwników News Corp. Obok pojawiają się cztery monitory telewizyjne z podobizną Ruperta Murdocha. – Koncentracja mediów niszczy naszą demokrację – ostrzega MoveOn.org.



Murdoch twierdzi, że złapał drugi oddech. W wieku 71 lat po raz szósty został ojcem. Jego żona Wendy Deng jest młodsza o 38 lat

Na pewno o demokracji nie ma mowy w koncernie Murdocha. Dobiera sobie dobrać, ale pokornych i karnych dziennikarzy. W 1998 roku publicysta londyńskiego „Timesa” Doug Gay odszedł z gazety. Jego komentarz trafił do kosza. Protestował w nim przeciwko „monopolistycznym praktykom potentatów medialnych”.

Jeszcze gorzej mają naczelnicy pism Murdocha. „Od szefa, czyli Murdocha, fruwały przez Atlantyk niekończące się przekleństwa i obelgi. Odbiorcą był przez 12 lat naczelnik »The Sun«, jednego z najlepszych brukowców świata” – pisał w biografii Murdocha były redaktor „Sunday Timesa” Andrew Neil.

Ale nawet wrogowie przyznają, że Murdoch jest genialnym medialnym menedżerem. Zna się nie tylko na forsie, lecz także na interesującym podawaniu informacji. Nawet jeśli są

polane prawnym sosem. Dzienniki Sky News Murdocha są na przykład o wiele atrakcyjniejsze od serwisów napuszonej stacji BBC World. Sky cenią także dziennikarze profesjonaliści, których razi powolność i przesadny obiektywizm BBC. Podczas wojny w Iraku Fox News Ruperta Murdocha – mimo patriotycznej propagandy – było stacją sprawniejszą i bardziej dynamiczną niż CNN.

Trzeba też przyznać, że „Rekin” Murdoch nie zawsze działa dla zysku (choć jego pensja prezesa wynosi ponad siedem milionów dolarów rocznie). Wiele z jego gazet, wydawnictw i stacji TV (także „Times” i Sky Television) długo przynosiło spore straty. Murdocha najwyraźniej bawi ciągle hiperaktywność i przestawianie klocków na medialnym rynku. Ta pasja może być mniej zabawna dla innych, także w Polsce.

CHRAPKA NA POLSKĘ?

– Ewentualne wejście Murdocha byłoby wielkim wyzwaniem dla polskich nadawców. Jego concern posiada ogromne zasoby programowe w skali globalnej – mówi „Przekroju” Andrzej Zarębski, niezależny ekspert medialny. – Poza tym Murdoch to bardzo agresywny przedsiębiorca, dla którego konkurencja jest żywiołem, jakiego polski rynek jeszcze nie poznał – dodaje. Zdaniem Zarębskiego Murdoch mógłby szybko wprowadzić w Polsce kanały tematyczne. – A wtedy jako pierwsza powinna czuć się zagrożona Cyfra+ – mówi ekspert.

Półknięcie Polsatu postawiłoby pod ścianą ITI, właściciela TVN i TVN24. W rozmowie z „Przekrojem” wiceprezes ITI Mariusz Walter przyznaje, że obawia się Murdocha, ale nie dowierza pogłoskom. Uważa, że teraz będzie ich coraz więcej, w miarę zbliżania się terminu wejścia Polski do UE, gdy znikną ograniczenia zagranicznych inwestycji w mediach. – Otworzy się większe pole do popisu dla plotkarzy – mówi z przekąsem Walter, przypominając, że w Polsce nie ma jeszcze tak potężnych inwestorów jak Ted Turner czy Silvio Berlusconi.

News Corp. robi na razie wrażenie, że na Polsacie jej wcale nie zależy. Czy „Rekin” Murdoch udaje znowu karpia? W rozmowie z „Rzeczpospolitą” wiceprezes News Corp. Europe Ewan Mirylees zarzekał się niedawno, że sprawa jest nieaktualna. – Nic nie wskazuje na to, żebyśmy mieli wrócić do niej w przyszłości – wyjaśniał. Zapewnił także, że Murdoch nie interesuje się „Życiem Warszawy”. – News Corp. kupuje wyłącznie gazety anglojęzyczne. Pan Murdoch w miarę możliwości czyta każdą od deski do deski. Na naukę nowego języka nie starczyłoby mu zapewne czasu.

MAREK RYBARCZYK
WSPÓLPRACA RAFAŁ MADAJCZAK

Był sławniejszy od gwiazd, bo nie przemijał.
ANTHONY PELLICANO, najbardziej wzięty
 detektyw Hollywood, wylądował w więzieniu.
 Jeśli nie zacznie sypać znanych klientów,
 czeka go długi wyrok

Od miesiąca w Hollywood mówi się tylko o jednym. Najsławniejsi aktorzy, ich agenci i prawnicy, a nawet producenci i miejscowi biznesmeni z zapartym tchem obserwowali finał procesu 59-letniego detektywa z Los Angeles.

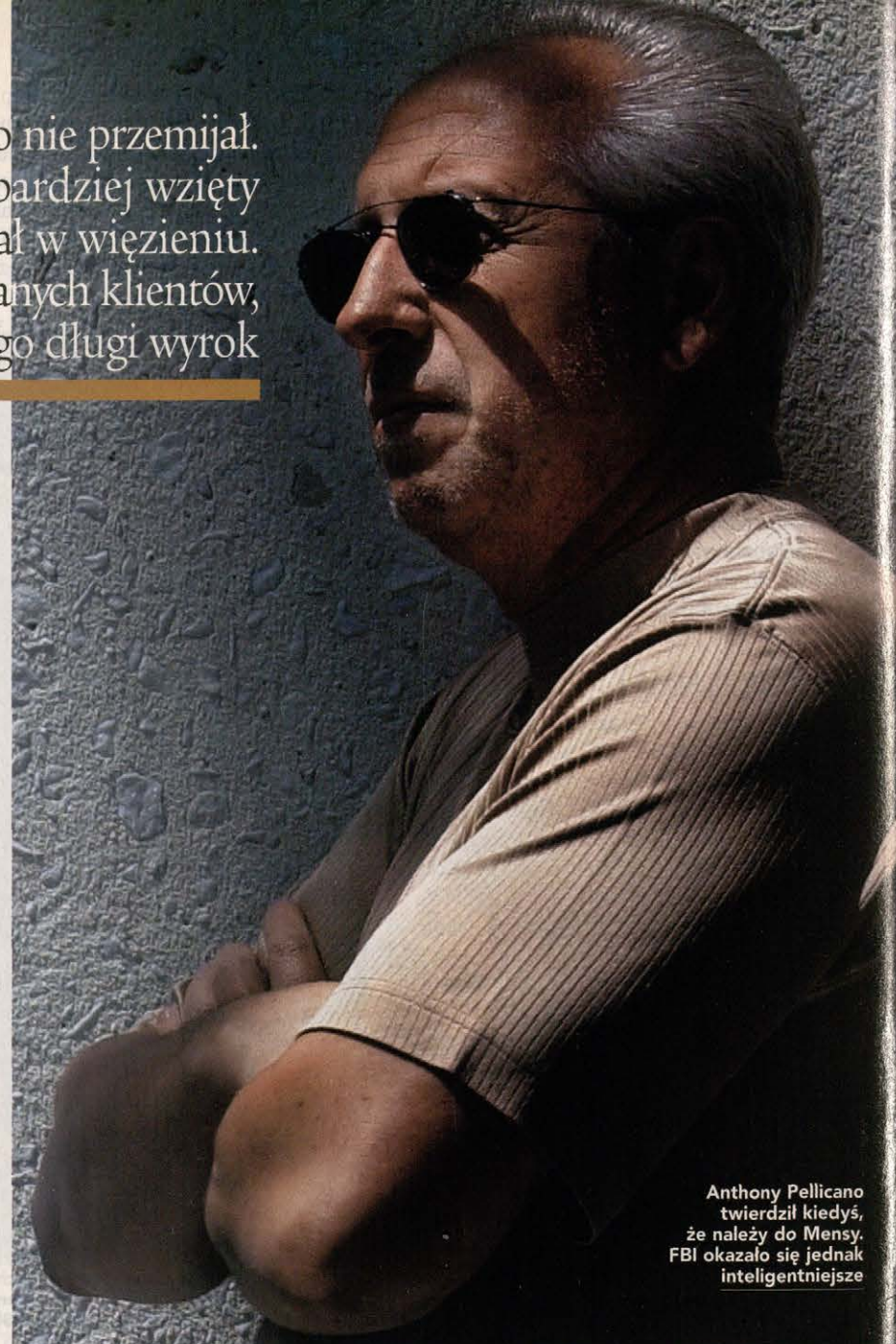
Anthony Pellicano jest studnią ich największych sekretów. Przez ostatnie 20 lat na zlecenie gwiazd załatwiał, podglądał, perswadował, wymuszał i uciszał. Sporo zobaczył i wiele się dowiedział. Na razie milczy. Ale co zrobi na kolejnym czekającym go procesie?

Półtora roku temu w Beverly Hills pojawiło się 15 agentów FBI. W biurze detektywistycznym przy Sunset Boulevard 9200 znaleźli dwa nabite rewolwery, dwa granaty ręczne, dwieście tysięcy dolarów w gotówce i dość plastiku, by wysadzić w powietrze Boeinga 747. Broń wystarczyła, by aresztować detektywa, ale w komputerze agencji znaleźli jeszcze coś o wiele ciekawszego. Stenogramy z nielegalnych podsłuchów.

Anthony Pellicano nie opowie śledczym, co zamierzał wysadzić. Miesiąc temu przyznał się do posiadania materiałów wybuchowych i dobrowolnie rozpoczął odsiadanie 30-miesięcznego wyroku. To godne zwieńczenie kariery jak na człowieka, który przez 20 lat zajmował się niemal wyłącznie kompromitowaniem i zastraszaniem ludzi.

ZNALAZŁ MĘŻA

Kariere w Hollywood Pellicano zawdzięcza Liz Taylor, a ściślej – zwłokom jej trzeciego męża. W 1977 roku wyszło na jaw, że w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęły one z grobu na cmentarzu w Chicago. Aktorka wynajęła Anthony'ego Pellicano. Detektyw wiele się nie naszukał. Nieopodal pustego grobu rozgarnął liście i wyciągnął z krzaków plastikowy worek ze szczątkami męża aktorki. Dziwnym trafem towarzyszyli mu reporterzy lokalnej stacji telewizyjnej, wszystko stało się więc na oczach widzów popołudniowego wydania wiadomości. Policji Pellicano powiedział, że złodzieje szukali 10-karatowego pierścienia, który Taylor miała włożyć do trumny. Złośliwi twierdzą, że obrotny detektyw sam ukradł ciało, by kupić się w łaski aktorki i zdobyć rozgłos. To mu się rzeczywiście udało.



Anthony Pellicano twierdził kiedyś, że należy do Mensy. FBI okazało się jednak inteligentniejsze

UCHO HOLLYWOODU

Taylor przedstawiła Pellicano swoim przyjaciółom z Hollywood. Kiedy sekretarka znanego producenta Dona Simpsona (między innymi „Top Gun” i „Gliniarz z Beverly Hills”) oskarżyła szefa o nieobyczajne zachowanie i zażądała pięciu milionów dolarów odszkodowania, Pellicano udowodnił jej w sądzie, że sama zażywała w pracy kokainę, wypożyczała filmy pornograficzne i wynajmowała męskich striptizerów na firmowe imprezy. Pozew został oddalony.

Pellicano nigdy nie zajmował się rozwiązywaniem zagadek. Był specem od wynajdywania haków. Trudnił się wywlekaniem wstydlivych sekretów z życia ludzi, którzy stawali na drodze jego bogatym zleceniodawcom. W ten sposób bronił gwiazdy przed następnymi fanami, łowcami odszkodowań, kobietami żądającymi uznania ojcostwa, a nawet wścibskimi dziennikarzami. Poza tym zajmował się też utrudnianiem śledztw i torpedowaniem procesów sławnych ludzi.

W Los Angeles krążyły swego czasu plotki, że za ochronę przed brukowcami Pellicano zbierał od gwiazd po dwa miliony dolarów. W środowisku detektywistycznym zawsze miał opinię pozera. Na ścianie biura wieszal sobie miecze samurajskie, a koperty pieczętował podobno gorącym woskiem. Klientom przyrzekał, że po jego interwencji ich przeszłowcy „przypomną sobie, dla czego boją się ciemności”.

POGRZEBIĘ W PRZESZŁOŚCI

Pellicano kilka razy otarł się już o więzienie. Osiem lat temu był zamieszany w sprawę śmierci jednego z uczestników narkotycznej imprezy u Simpsona. Gość zmarł z przedawkowania – Simpson słyszał w Hollywood z tego, że miał w domu całą aptekę narkotyków. Policja twierdziła, że Pellicano „posprzątał” w domu producenta przed jej przyjazdem. Sprawę w końcu umorzono, a sam Simpson zmarł pięć miesięcy później, również z przedawkowania.

– Każdemu, kto zechce nękać moich klientów, pogrzebię w przeszłości, by oberwał tak samo, jak straszyl swoją ofiarę – mówił detektyw w jednym z wywiadów. Pellicano miał nawet



Michael Jackson



Steven Seagal



John Travolta



Tom Cruise



Farah Fawcett

wspólnika w policji, który przepuszczał nazwiska przyszłych ofiar przez policyjne bazy danych, by znaleźć wstydlive przewinienia, których ujawnieniem można by postraszyć.

SPRZĄTĄŁ PO ROMANSIE

Łagodna perswazja nigdy nie była jego mocną stroną. W wywiadach mówi, że jego jedyną bronią jest aluminiowy kij bejsbolowy, który zawsze wozi w bagażniku. – Nie przebiera w słowach, jest arogancki, ciągle żuje gumę, w razie konieczności bije. Nie życzyłabym nikomu jakichkolwiek kontaktów z Pellicano – opowiada „Przekrojowi” Janet Shprintz, dziennikarka magazynu rozrywkowego „Variety”, która kilkakrotnie rozmawiała z detektywem. Ostatnio brał 80 tysięcy dolarów od zlecenia.

W latach 80. i 90. nie było procesu z udziałem gwiazdy, przy którym by nie asystował. Dla O.J. Simpsona „uciszył” sekretarkę, która oskarżała go o wykorzystywanie seksualne. Pracował między innymi dla prawników Kevina Costnera, Sylvestra Stallone'a. Michaelowi Jacksonowi pomógł na początku lat 90. przy pierwszych oskarżeniach o pedofilię. Współpraca z piosenkarzem układała się tak dobrze, że u szczytu skandalu detektyw był nawet jego rzecznikiem, trafił na łamy „Vanity Fair” i w imieniu gwiazdora wystąpił nawet w programie Larry'ego Kinga. Był też doradcą przy kręceniu „Firmy” z Tomem Cruise'em.

Na zlecenie Kevina Costnera zajął się kobietą, która ujawniła brytyjskiemu brukowcowi szczegóły swojego domniemanego romansu z zonatym wówczas aktorem.

Ale Pellicano pracował nie tylko dla gwiazd. Podsłuchy zawsze były jego specjalnością, a sztukę oczyszczania i oceniania nagrań opanował do takiej perfekcji, że z jego usług korzystały zarówno osoby prywatne, jak i amerykańskie władze. W 1992 roku zajął się nagraniami rozmów pomiędzy Geniffer Flowers a ubiegającym się wówczas o prezydenturę Billem Clintonem. Ekspert Anthony Pellicano stwierdził, że kasety są zmontowane. Clinton uniknął dzięki temu oskarżeń o romans z panną Flowers. De-

tektyw maczał też palce w sprawie Moniki Lewinsky – miał podobno zdyskredytować zeznania stażystki.

Największy detektyw Hollywood przejechał się na zdechłej rybie. Latem 2002 roku gazeta „Los Angeles Times” prowadziła intensywne śledztwo w sprawie powiązań aktora Stevena Seagala z nowojorską mafią. Rankiem 20 czerwca ktoś zdemolował samochód dziennikarki Anity Busch. W środku właścicielka znalazła ciekawy zestaw symboli: różę, kawałek tektury z napisem „Stop” i zdechłą rybę – mafijny znak dla adresata, że jeśli sobie nie odpuści, to „pójdzie spać z rybami”.

Zamiast sobie odpuścić, Busch poszła do FBI, które szybko znalazło sprawcę. Ten zeznał, że dostał zlecenie od „Anthony'ego, wielkiego detektywa z Los Angeles”. Mimo dementi samego Seagala FBI nie ma wątpliwości, że za próbą zastraszenia dziennikarki stał Pellicano. Rewizja w jego biurze była częścią śledztwa. Na materiały wybuchowe agencji natrafili przez przypadek. Na procesie nie pomogły wyjaśnienia detektywa, że zapomniał, co trzyma w sejfie.

TAŚMY PELIKANA

„Twoje problemy stają się moimi problemami” – tak brzmiała dotąd firmowa dewiza Pellicano. Teraz problemy detektywa mogą stać się problemami jego byłych klientów. Podczas gdy Pellicano odsiaduje wyrok za materiały wybuchowe, FBI poszło tropem podsłuchów i usiłuje ustalić, na czyje zlecenie detektyw je zakładał. Jednym z podejrzanych jest znany hollywoodzki prawnik Bert Fields, który reprezentował między innymi Jacksona, Cruise'a i Travoltę. Pan Fields od lat współpracował z Pellicano, więc wziął już sobie dobrego adwokata. Za nielegalne podsłuchy grozi w USA pięć lat więzienia.

Mnożą się spekulacje na temat tego, co znajduje się w zarekwirowanych stenogramach. Przypuszczalnie są to rozmowy znanych postaci show-biznesu z ich prawnikami. – Nagrania mogłyby zaszkodzić wielu osobom, ale jestem przekonana, że nie zostaną nigdy wykorzystane – mówi Janete Shprintz.

– Jako prywatny detektyw Pellicano jest skończony. Stracił licencję, a okres hołubienia go przez Hollywood definitywnie minął. Nikt nie chce mieć z nim nic wspólnego – dodaje.

Jednak były prywatny detektyw i ojciec dziesięcioro dzieci nie wydaje się tym jakoś specjalnie zmartwiony. Dwa dni przed rozpoczęciem odbywania kary Pellicano po raz piąty się ożenił. Podpisał też kontrakt na autobiografię. Ma dwa lata na robienie notatek. Albo na zbieranie ofert od gwiazdorów, którzy woliliby, żeby milczał. Bo kto uciszy Pellicano, gdy ten zacznie gadać?

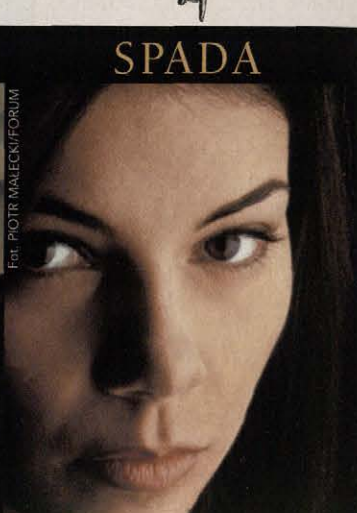
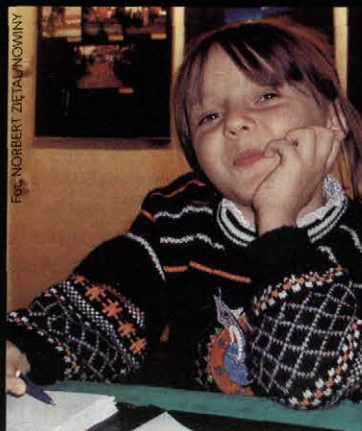
PIOTR BONISŁAWSKI

PRZY PISANIU ARTYKUŁU KORZYSTAŁEM MIĘDZY INNYMI Z MATERIAŁÓW „LOS ANGELES TIMES”

świecą lub spadają

ŚWIECI

ŚWIECI



Patrycja Nagraba
10, 9, 8...

Nieuchronnie obniża się dolna granica wieku piszących debiutantów. W pierwszą sobotę grudnia w Przemyślu odbyła się premiera tomu wierszy ośmioletniej Patrycji Nagraby. Książka, wydana przez Regionalny Ośrodek Kultury w nakładzie 600 egzemplarzy, nosi tytuł „Wierszowane podróże małe i duże” i jest ilustrowana rysunkami własnymi młodej poetki.

Patrycja chodzi do trzeciej klasy Szkoły Podstawowej numer 10 w Przemyślu. Pisze wiersze, odkąd rozpoczęła naukę w szkole. Tworzenie przychodzi jej z łatwością, wiersze pisze zawsze od razu „na czysto”. Nie robi błędów ortograficznych, świetnie radzi sobie z interpunkcją.

Jak czytamy w wychodzących na Podkarpaciu „Nowinach”, Patrycja ma już gotowy zbiór opowiadań o Gubiku, swojej ulubionej gumowej zabawce. Czekają na chętnego wydawcę.

Ciekawe, czy mamy do czynienia z wysypem młodych (co raz młodszych) talentów, czy wysoki poziom poligrafii pozwala coraz łatwiej i taniej wydawać książki. Tak czy inaczej, jeśli tak dalej pójdzie, to Dorota Masłowska, która debiutowała w wieku lat 19, niedługo będzie uznawana za literacką emerytkę.

Jarosław Kalinowski
LEPIJ NIE LEPPER

Prezes PSL poinformował, że jego partia nie poprze kandydatury Andrzeja Leppera na członka komisji śledczej w sprawie afery Rywina. Lepper chciałby zastąpić w komisji usuniętą z niej niedawno Renatę Beger. Nie zraża go brak immunitetu. Nie przeszkadza to również Sojuszowi Lewicy Demokratycznej, który zapowiedział poparcie dla Leppera.

Postawa PSL mile zaskakuje. Znużeni kontrowersyjnymi wystąpieniami ludowców w Sejmie – żeby przypomnieć choćby nieszczęsną ustawę o biopaliwach – z zadowoleniem zauważamy, że partia Jarosława Kalinowskiego zdolna jest do podążania ścieżką zdrowego rozsądku. Odmawiając poparcia liderowi Samoobrony, ludowcy tym samym stanęli w jednym rządzie z politykami Platformy Obywatelskiej, Prawa i Sprawiedliwości oraz Unii Pracy, a naprzeciw SLD i Ligi Polskich Rodzin (co samo w sobie jest niesłychanym połączeniem). Jak powiedział prezes PSL: „Nie można robić z komisji śledczej miejsca kompromitowania i ośmieszania parlamentu i prawa”. Panie prezesie, oby tak dalej!

SPADA SPADA

Jerzy Owsiak
GRZYWNA ZA PRZYSTANEK

Szef i organizator młodzieżowego festiwalu Przystanek Woodstock musi zapłacić 1600 złotych grzywny – tak zdecydował Sąd Rejonowy w Żarach. Poszło o to, że 30 lipca 2003 r. Jerzy Owsiak zniszczył stoisko z okularami stojące w pobliżu miejsca koncertu. Według świadków tamtego zdarzenia poirytowany obecnością handlarzy Owsiak wpadł w furję i rzucając „k.wami”, groził sprzedawcom, „że ich załatwi”. Po zdarzeniu odmówił komentarzy i nie chciał rozmawiać z mediami. Wściekły rozpedził na cztery wiatry ekipę TVN. Ludzi, którzy dotąd go podziwiali, solidnie wystraszył.

Niezależnie od tego, kto ma więcej racji w tym sporze, niedobrze jest, kiedy symbol takiej imprezy, jaką jest Przystanek, wdaje się w żenujące spory ze sprzedawcami okularów słonecznych. Niepotrzebnie znika aura radości i spontaniczności, a młodzież zapamięta, że na tym Przystanku nie jest tak za jasno, jak powinno być, bo ktoś chyba załatwia swoje małe interesy.

Niedawno Owsiak zapowiedział w telewizji, że Przystanek więcej nie będzie.

Edyta Górniak
OBRAŻONA NA HIENY

Nasza eksportowa gwiazda wystosowała do dziennikarzy list otwarty, w którym wyraża żal wobec autorów tekstów drukowanych w kolorowych piśmie. Chodzi między innymi o informacje o ciąży pani Edyty. List można przeczytać na oficjalnej stronie www.edyta.net. Zdaniem piosenkarki niektórzy dziennikarze zachowują się jak hieny i nie mają dla niej szacunku.

Pani Edyto! Sama Pani zdecydowała się na ten rodzaj popularności. Gwiazda Pani pokroju powinna być (niestety) przyzwyczajona do niewygodnych pytań o życie rodzinne i seksualne. Śpiewa Pani, że jest kobietą, na dodatek przepasana dwiema małymi szmatkami, które się odklejają na scenie. Skoro zdecydowała się Pani kuścis, to niech się Pani nie obraża. Wszak to właśnie od zainteresowania kolorowych brukowców w dużej mierze zależy poziom sprzedaży Pani płyt, proszę się więc nie dziwić ich niezdrawemu wścibstwu. To nieodłączny element rzeczywistości, w której się Pani porusza, a oni mają taką pracę. Dopóki Pani stronę internetową otwiera Pani „zmysłowe” zdjęcie z niemal gołą prawą piersią, nic się nie zmieni.

TRIPOLIS PAULUS MIX
No.7

SA GORSI
KEVIN ARNOLD
PETER AUS ZEROMIN
RZYMIANIE Z JOWISZA
ROBOT BOY

ROGG ul. Wajdeloty 13
27.12.03 godz. 22.00

UNDERGROUND INVENTION

Bardziej skuteczne niż myślisz

300 godzin nauki w cenie 2 godz. korepetycji!

Interaktywne kursy dla początkujących i zaawansowanych

- 8 godzin nagrań
- testy i ćwiczenia
- native speakers

FCE 89,-

EDGARD multimedia

www.jezykiobce.pl, (022) 644-55-57

traffic CLUB

ul. Bracka róg Chmielej

mania słuchania

największa księgarnia i salon muzyczny

ZENON LASKOWIK, WŁADYSŁAW SIKORA
Piotr Kałużny, Grzegorz Tomczak i inni
zapraszają na program

NIESPODZIEWANE POWROTY, CZYLI TWÓRZMY KLIMACIK

Platforma Artystyczna
ul. Fredry 12
Poznań
tel. (061) 665 88 00

informacje, rezerwacje: www.obora.pl

organizacja: **MC** Music Collection

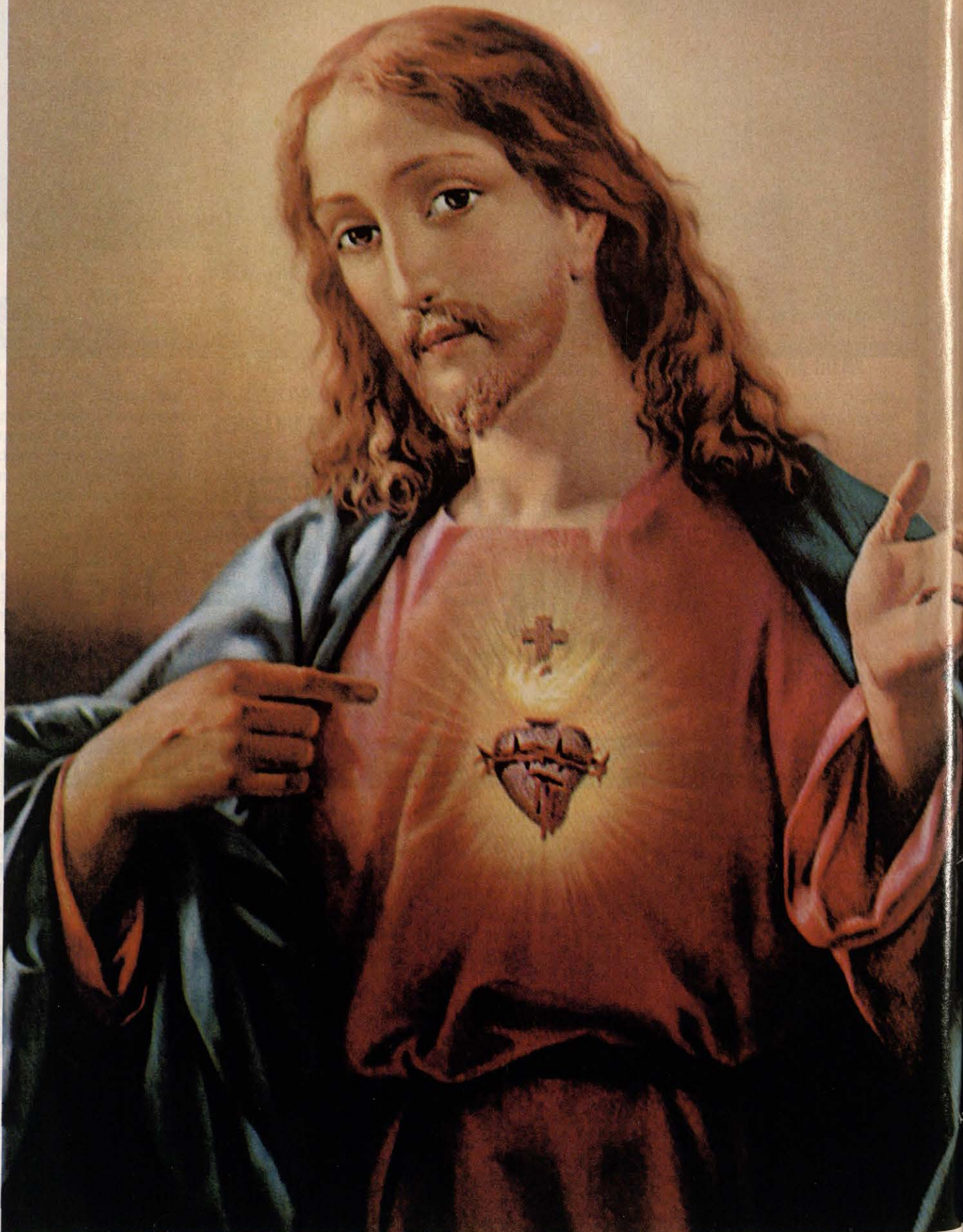
patroni medialni:

- gazeta
- tvn
- Mercury
- WARTA
- AXEL
- POLSKIE RADIO 1
- PRZE KROJ
- IKS
- POLSKA TV
- POLSKA RADIOWA

partnerzy:

- WARTA
- AXEL
- POLSKA RADIOWA

nauka po bożemu



GDZIE / JEST BOG



OLGA WOŹNIAK
PIOTR STANISŁAWSKI

Na głowie pacjenta tkwił hełm. Na pierwszy rzut oka nie różnił się niczym od motocyklowego kasku. A jednak to właśnie za jego pomocą kanadyjski neurofizjolog Michael Persinger z Uniwersytetu Laurentjusza postanowił przywołać Boga. Nie, nie, hełm nie stanowił żadnej anteny mającej zapewnić kontakt z zaświatami. Wszystko, co działo się w laboratorium Persingera, to była poważna, rzetelna nauka. Wtajemniczeni w eksperyment wiedzieli dobrze, że kask został wyposażony w urządzenia elektroniczne wytwarzające słabe pole magnetyczne.

Ale dość wyjaśnień. Uwaga... urządzenie zostało włączone. Fale elektromagnetyczne naśladujące naturalną aktywność mózgu popłynęły z osobliwego nakrycia głowy w skronie pacjenta. Co się stało?

„Miałem poczucie czyjejs obecności” – relacjonowali chwilę potem badani. „Czułam obecność Boga, który

Jesteśmy coraz bliżsi odkrycia Boga przez naukę. Gdy to się uda, drzę o Jego los – wyznał kiedyś Stanisław Jerzy Lec. Jak dotąd dość zrećnie Bóg kryje się przed nami. Trzeba jednak przyznać, że naukowcy robią, co mogą, by go odnaleźć

się do mnie przybliżył”. „Widziałem Chrystusa w promieniach światła”.

Na wydruku EEG, które monitorowało aktywność mózgu, jedynym śladem tych mistycznych doświadczeń był zapis świadczący o nagłych wyładowaniach elektrycznych w płatach skroniowych badanych ludzi. Taki mininapad epilepsji. To on wywoływał religijne wizje. Wierzący czy nie – wszyscy, którym elektrycznie stymulowano płaty skroniowe, doświadczali religijnych uniesień. Bóg się objawił?

Siedlisko religii

Już w latach 70. ubiegłego wieku zauważono, że epileptycy, u których ataki były zlokalizowane w płatach skroniowych, byli szczególnie podatni na doznania religijne. W ten sposób zaczęto tłumaczyć objawienia wielkich mistyków Kościoła – w tym także to, którego doświadczył Mojżesz na górze Synaj.

O tym, że w mózgu znajduje się „ośrodek Boga”, pierwszy napisał Vilayanur Ramachandran, dyrektor Centrum Badań Mózgu na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego.

Obserwował chorych z uszkodzeniami w płatach skroniowych mózgu. Stwierdził, że zawsze, gdy nastąpiło zaburzenie funkcji tego obszaru – jak przy padaczce – dochodziło u badanych do przeżyć mistycznych. Podobny skutek miało przerwanie połączeń

nerwowych między obszarami, które rozpoznają informacje docierające z organów zmysłów, a miejscami, które nadają im emocjonalny kontekst.

W ten sposób naukowiec wpadł na trop mózgowego „siedliska religii”. Narodziła się nowa dziedzina wiedzy – neuroteologia.

Uwolnienie ducha

Do grona jej wyznawców dołączają coraz to nowi naukowcy. Krótko po jej narodzinach znalazł się wśród nich także Andrew Newberg z Uniwersytetu Pensylwania. Do pomocy w tropieniu Boga po zakrętach i bruzdach naszej kory mózgowej naklonił grupę buddystów i siostry franciszkanki.

Obydwu grupom sprawdzał aktywność mózgu podczas religijnego skupienia. U obydwu wyniki były takie same: zmniejszenie aktywności płata ciemieniowego, pobudzenie skroniowego.

Płat ciemieniowy zarządza głównie funkcjami związanymi z ruchami ciała, orientacją, kalkulacjami i uwagą. Do niego docierają sygnały płynące z oczu, uszu, mięśni, ośrodków ruchowych, które zestawia sobie w obraz ciała. Stłumienie aktywności tego obszaru oznacza utratę kontaktu mózgu z ciałem, uwolnienie ducha.

Czy opisanie neurologicznego mechanizmu przeżycia religijnego pozwala nam lepiej pojąć Boga? Teolodzy niechętnie kibicują tym badaniom.

– Oczywiście to, że dysponujemy w mózgu religijnym oprzyrządowaniem, nie musi wcale oznaczać, że przeżycia religijne są jedynie formą aktywności mózgu – tłumaczą się mętnie naukowcy pod srogim spojrzeniem ojców Kościoła. – Być może, jeśli Bóg istnieje, wyposażył nas w jakiś mechanizm biologiczny umożliwiający kontakt ze sobą.

W dwóch osobach

No cóż, biolodzy nigdy nie należeli do najbardziej religijnych naukowców. Z ankiety, którą w 1997 roku przeprowadziło wśród amerykańskich badaczy dwóch psychologów (Edward Larson i Larry Whiteman), wyszło jasno: spośród 40 procent naukowców, którzy określili się jako wierzący, największa grupa to przedstawiciele nauk ścisłych. Dziwne? Już dawno Galileusz powiedział, że matematyka jest alfabetem, za pomocą którego Bóg opisał Wszechświat.

nauka po bożemu

Anegdota głosi, że najczęściej religijnych nauwróceń notuje się wśród fizyków kwantowych. W zasadzie trudno się dziwić, gdy spróbuje się zgłębić dziedzinę ich badań. Choćby tak prosty eksperyment:

Wysyłamy tłum elektronów w stronę ściany, w której są dwie wąskie szczeliny. Cząstki przelatują przez nie i trafiają w umieszczony dalej ekran. Gdy przez obie szczeliny przeleci kilka elektronów, zaczynają one w szczególny sposób na siebie działać. Efektem tego zjawiska jest powstanie na ekranie charakterystycznego prążkowanego wzoru.

Wystarczy jednak drobna zmiana, by sprawa przybrała gorszy obrót. Gdy w stronę ściany wysyła się elektrony pojedynczo, nie mogą oddziaływać z innymi, a więc na ekranie nie powinny pojawiać się żadne paski. Tymczasem się pojawiają. O co chodzi? Wygląda na to, że pojedynczy elektron oddziałuje z samym sobą. Aby tak się stało, musiałby przechodzić przez obie szczeliny równocześnie. Tak właśnie się dzieje. Jeden obiekt znajduje się w tym samym momencie w dwóch różnych miejscach.

Jakby tego było mało, elektrony wydają się „wstydzic” swojego nielogicznego zachowania. Gdy spróbujemy je złapać za rękę w momencie tajemniczego podwojenia, szybko wrócą do normalnej, pojedynczej formy. Jeżeli za szczelinami umieścimy czujniki sygnalizujące obecność cząstki, nie dostaniemy informacji o podwójnym przejściu – elektron zreflektuje się i pojawi tylko w jednej szczelinie. Wystarczy jednak wyłączyć czujnik, by tajemnicze rozdwojenie powróciło. Fizykom udało się wykluczyć oddziaływanie samego czujnika – wygląda na to, że sam fakt obserwowania elektronu sprawia, że cząstka porzuca swoje tajemnicze zachowanie.

Co z wolną wolą?

Co z wolną wolą? W jednej z wersji naszego doświadczenia naukowcy zbudowali cały układ tak, by elektron musiał podjąć decyzję, czy przejść przez jedną, czy obie szczeliny, jeszcze zanim okaże się, czy czujnik będzie włączony. Mimo to elektrony zachowywały się tak, jak gdyby z góry wiedziały, co zdarzy się w przyszłości. O ile w skali mikro takie zachowanie wydaje się po prostu dziwne, o tyle w skali kosmicznej jest naprawdę niepokojące.

Wyobraźmy sobie, że źródło cząstek i odpowiednik ściany ze szczelinami leżą w odległości kilku miliardów lat świetlnych od nas, a na Ziemi ustawiamy czujniki, które zależnie od humoru włączamy i wyłączamy. Cząstki muszą więc podjąć decyzję o swoim zachowaniu na miliardy lat przed tym, zanim my sami wybierzemy, czy chcemy je obserwować, czy też nie. Choć nie udało się jeszcze zrealizować takiego eksperymentu, jest to tyl-

ko kwestia czasu: jako źródło cząstek posłuży niezwykle odległy od nas kwazar, a zamiast dwóch szczelin skorzystamy z bardzo masywnego obiektu. Jego pole grawitacyjne, stając na drodze strumienia cząstek, rozdziela go na dwa. Teoria fizyki kwantowej mówi, że zmiana skali, w jakiej jest prowadzone doświadczenie, nie powinna tu nic zmienić.

I tu pojawia się problem – jak to możliwe, że cząstka jest w stanie przewidzieć nasze zachowanie na miliardy lat przed narodzeniem naszym, naszych rodziców czy choćby powstaniem gatunku ludzkiego? A co z wolną wolą? Co się stanie, jeżeli zamiast zajmować się obserwowaniem kosmicznych cząstek, pójdziemy sobie na piwo? Czy to też udało się przewidzieć całe miliardy lat wcześniej? A może jest jednak jakaś wszechwiedząca siła, która czuwa nad losami całego Wszechświata i informuje elektrony o tym, co mają robić?



Repr. MAREK SZCZEPAŃSKI

Big Bang w Biblii

To tylko jedna z płaszczyzn, na której w nauce ocieramy się o religię, pierwiastek mistycyzmu. Inną, szerzej dyskutowaną, jest kwestia powstania naszego Wszechświata. Teoria mówi, że wszystko zaczęło się od jednego nieskończenie małego punktu, z którego oto rozrósł się nam kosmos, w jakim żyjemy. No dobrze, a co było wcześniej? W tych rozważaniach zawsze znajduje się miejsce dla Boga na początku wszech rzeczy. W Jego obecności wszystko wydaje się do siebie pasować – przecież biblijne stworzenie świata to Wielki Wybuch!

Nie bez kozery teoria Wielkiego Wybuchu została stworzona w 1927 roku przez belgijskiego astrofizyka, który był jednocześnie katolickim księdzem – Georges’a Lemaître. Zbieżność pomiędzy Big Bangiem a biblijną wersją o stworzeniu świata dość długo dysantowała naukowców wobec tej teorii.

Wywołała za to niezwykle entuzjazm samej głowy Kościoła. Gdy papież Pius XII, który amatorsko zajmował się astronomią, poznał teorię Wielkiego Wybuchu, stwierdził z radością: „A więc stworzenie miało miejsce. Istnieje więc Stwórca”. Gdy przed Papieską Akademią Nauk przedstawił tę, że klasycz-

ne dowody na istnienie Boga stworzone przez świętego Tomasza można uzupełnić teorią Wielkiego Wybuchu, ksiądz Georges Lemaître (będący zresztą także prezesem Akademii) aż się skręcił. Użył swoich wszelkich wpływów, by odwieść Piusa XII od podobnych wystąpień, co zresztą mu się udało.

Skąd ta reakcja? Teolodzy z wielką niechęcią odnoszą się do bezpośredniego wiązania Boga ze zjawiskami czy konkretnymi zdarzeniami w fizyce. Ich zdaniem taka tendencja to „zapychanie dziur Bogiem”, wyjaśnianie ingerencją siły nadprzyrodzonej tych elementów, których nie rozumiemy.

Argumentują, że takie pomysły niepokojąco przypominają pierwotne wierzenia młodej ludzkości: kiedy ludzie nie wiedzieli, czym jest zaćmienie Słońca, tłumaczyli je sobie boskim gniewem. Twierdzenie, że Bóg kieruje elektronami lub stwarza świat w Wielkim Wybuchu, niebezpiecznie zbliża się do tych zabobonów.

Nawróceni fizycy

Jednak to fizycy najczęściej wystawiani są na próbę. Wśród nawróconych znajdują się między innymi Charles Townes, który w 1964 roku dostał Nagrodę Nobla za wynalezienie lasera. Niezwykle pobożny sir John Houghton, fizyk zajmujący się zmianami klimatu, z równym zacięciem badał efekt cieplarniany i efektywność modlitw.

Nauka do religii doprowadziła także Rusella Stannarda z brytyjskiego Open University. – Jeśli elektron może być jednocześnie cząstką i falą – rzekł on kiedyś podobno – to Chrystus może być jednocześnie istotą ludzką i boską.

O tym, jak odkrywanie tajemnic życia stawia naukowca blisko Absolutu, może też świadczyć zdanie wypowiedziane przez Francisca Collinsa, szefa Narodowego Instytutu Badawczego Ludzkiego Genomu: – Gdy dowiaduję się czegoś nowego na temat ludzkich genów, doznaję uczucia religijnego podziwu, uświadamiając sobie, że oto ludzkość dowiedziała się czegoś, co do tej pory wiedział tylko Bóg.

Czy posiadziemy kiedyś całą boską wiedzę? A może uda nam się przydybać samego Stwórcę na gorącym uczynku?

Jeśli kiedykolwiek komuś się to uda, wierzę, że będzie to raczej naukowiec, nie teolog. Wszak to naukowcy – jak mawiał Einstein – są prawdziwie religijnymi ludźmi w naszych zeświecczonych czasach.

Skąd przychodzimy? Co się z nami stanie? Jakie prawa rządzą śmiercią, starzeniem się, narodzinami? To naukowe czy teologiczne pytania?

OLGA WOŹNIAK
PIOTR STANISŁAWSKI
NA PODST. M.IN. „PSYCHOLOGII
RELIGII” DAVIDA WULFFA



**Niech te Święta będą dla wszystkich takie same
– radosne i szczęśliwe.**



Czy naprawdę jesteśmy inni?

Kampania Roku Osób Niepełnosprawnych 2003 prowadzona jest z inicjatywy Stowarzyszenia Przyjaciół Integracji.



www.integracja.org

Lubię trzy rzeczy, których absolutnie nie rozumiem: współczesne malarstwo, współczesną muzykę i współczesną naukę

WILHELM WINDELBAND (1848–1915), FILOZOF NIEMIECKI

Im bardziej pada śnieg...

Śnieg powstaje z kurzu. To właśnie wokół jego drobinek najczęściej zaczyna krystalizować się woda. Na początku małe kryształki pojawiają się w zagłębieniach cząsteczki kurzu, potem rozrastają się i zamykają ją wewnątrz. Na samym początku płatek śniegu przypomina raczej sześciokątną płytkę o średnicy kilkadziesiąt razy mniejszej od ludzkiego włosa. Dopiero później, gdy na kryształku osadza się coraz więcej pary wodnej, zaczyna się on rozrastać i rozgałęziać. Gdy stanie się zbyt duży i ciężki, opada na ziemię. Zazwyczaj pojedynczy płatek ma nie więcej niż kilka milimetrów, jednak w szczególnych warunkach atmosferycznych powstawały ogromne, nawet pięciocentymetrowe płyty. Gdy śnieg doleci już do ziemi, tworzy ślisczną, białą pokrywę. No właśnie – dlaczego białą? Przecież śnieg to nic innego jak zamrożona woda, a wiadomo, że lód jest przezroczysty. Gdy promienie światła wpadają do pojedynczego kryształu lodu, ulegają załamaniu i odbiciu od jego wewnętrznych powierzchni. Dzieje się tak bardzo wiele razy – jedna zaspaseta setki tysięcy kryształków. W efekcie większość wpadających w nią promieni zostaje odbita z powrotem na zewnątrz. A ponieważ wszystkie długości fal światła widzialnego odbijane są tak samo, po wymieszaniu tworzą wrażenie idealnej bieli.

Nasz ziemski śnieg powstaje z wody, jednak to niejedyna substancja, z której można lepić bałwanki. Inne planety Układu Słonecznego mają własne rodzaje śniegu. Może on powstawać na przykład z zamrożonego dwutlenku węgla lub amoniaku. Nie wiadomo tylko, czy lepiłby się wystarczająco dobrze, by dało się z niego zrobić wielką, śnieżną kulę.

Wojsko przy porodzie

Technika stosowana do śledzenia wrogich samolotów ma ratować życie dzieci podczas porodu. Brytyjska firma Quinetiq, zazwyczaj zajmująca się systemami obronnymi, opracowała nieinwazyjne urządzenie pozwalające śledzić tętno dziecka, które dopiero zaczyna się rodzić. Dotychczasowe metody były albo mało dokładne, albo inwazyjne – wymagały wprowadzenia elektrody pod skórę głowy noworodka. System Quinetiq składa się z 12 elektrod umieszczonych na ciele matki. Wychwyłują one sygnały z serca noworodka i oddzielają je od tętna matki. W ten sposób możliwe jest nawet śledzenie na-

kładających się na siebie rytmów serc trojaczek. Zakłócenia w EKG mogą być sygnałem niedotlenienia i innych niebezpiecznych zja-



Fot. QUINETIQ

wisk. Dzięki ich wczesnemu wykryciu lekarze mogą podjąć decyzję o przeprowadzeniu cesarskiego cięcia.

Opal się

Wkrótce zima nie będzie już kojarzyła z bladą skórą. Naukowcy z firmy Epitan opracowali implant, który ma

uwalniać do krwi związek pobudzający produkcję barwnika w skórze. Dzięki temu w ciągu kilku tygodni można będzie uzyskać opaleniznę, którą będziemy się cieszyli przez blisko trzy miesiące. Produkt nazywa się Melanotan i wydziela syntetyczny odpowiednik hormonu alfa-MSH normalnie powstającego pod wpływem słońca. Sztuczna opalenizna będzie nie tylko ładna – zabezpieczy też przed powstawaniem oparzeń słonecznych.

Ziemia jak balon

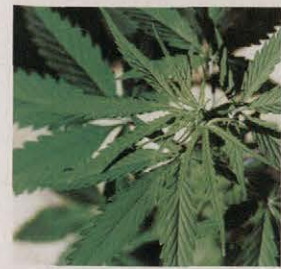
Norweski potentat gazowo-naftowy, firma Statoil, zamierza napompować Ziemię dwutlenkiem węgla! To pomysł na ograniczenie emisji CO₂ do atmosfery. Metoda przypomina „zamiatanie pod dywan”. Za-

nim gaz ziemny trafi z platformy wiertniczej na Morzu Północnym do gazociągów, będzie na bieżąco oczyszczany z CO₂. Niechciany dwutlenek ma być „wstrzykiwany” na miejscu pod morskie dno. Za odpowiednią opłatą Norwegowie są zdecydowani magazynować u siebie CO₂ emitowany także przez największych trucieli łożowiska – huty, elektrownie itp. Na te zapędy krzywo patrzą ekolodzy. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy wpompowany pod ziemię gaz nie zacznie się po jakimś czasie ulatniać.

Trawka przeciw płucom

Informacje o szkodliwości palenia marihuany pojawiają się na przemian z donie-

sieniami o jej zabiennym wpływie na liczne choroby. Tym razem naukowcy z University of Birmingham doszli do wniosku, że regularne palenie trzech-czterech jointów tygodniowo przez kilka lat poważnie uszkadza płuca. Dzieje się tak dlate-



Fot. SHUTTERSTOCK

go, że organizm zostaje pozbawiony przeciwutleniaczy chroniących komórki przed uszkodzeniami. Może to prowadzić nawet do powstawania nowotworów.

[z bliska]



Fot. ACADEMY OF NATURAL SCIENCES OF PHILADELPHIA/CORBIS/GETTY

Karp to nie byle kto

Myślisz, że karp ma jakąś tajemnicę? Drogie, nieznane nikomu oblicze? – głos Redaktora Naczelnego wyrwał mnie z zamyślenia nad tematami świątecznymi. Po chwili namysłu ze wstydem zdałam sobie sprawę, że jedyne miejsca, z których znane mi jest oblicze karpia, to wanna (najpierw) i półmisek wigilijny (potem). W żadnym z nich nie wyglądał na osobnika o głębokiej naturze.

Postanowiłam jednak nie stawiać na nim od razu krzyżyka. Przewertowałam zasoby Internetu, odbyłam rozmowy z ichtiologami, przejrzałam historię Chin i podręcznik ewolucjonizmu.

I co? Okazało się, że karp ma Historię.

Przez wiele wieków ryby te utożsamiano z różnymi bogami i bożkami. Oznaczały początek życia, miały wielką moc. Sumerowie oddawali cześć rybom i składali je jako dary bóstwu wód, w Egipcie zaś niektóre ryby uważano za święte, wymagające mumifikowania. Od dalekich Chin aż po Europę ryby były też symbolem płodności i odnowy życia.

Pierwsze, dzikie postaci karpia (dziki karp nazywa się sazan) pochodzą być może już sprzed 20 milionów lat! Jego ojczyste wody znajdują się na terenie zlewisk Morza Czarnego, Egejskiego, Kaspijskiego i Aralskiego. W stosunku do swego protoplasty – sazana – karp udomowiony zmienił nieco swój wygląd, stał się wyższy, grubszy, ale i bardziej odporny na choroby.

Karp najbardziej był poważany w Chinach i Japonii. Hodowano go masowo już pięć tysięcy lat przed naszą erą. Japończycy do dziś

cenia karpia jako wcielenie odwagi i wytrwałości (znany jest z tego, że pokonuje pod prądem potoki). Dlatego podczas święta chłopców obchodzonego w tym kraju w maju przed domami na wysokich masztach zawieszają się karpie-proporce. Mają zapewnić, że chłopcy będą dzielni. Karp bywa też czasem symbolem długowieczności. W naturalnych warunkach dożywa nawet 20 lat.

Pierwsze wzmianki o karpie w Polsce pochodzą dopiero z XII–XIII wieku. Podobno przywieźli go tu cystersi. Powód: zapotrzebowanie na ryby wzrastało, a w średniowiecznej Polsce niemal pół roku zajmowały dni postne.

W XV–XVI wieku przy niemal każdym szlacheckim dworze znajdował się rybny stawik. Wtedy zaczęto też karpie hodować na skalę niemal przemysłową. Śląsk i zachodnia Małopolska stały się prawdziwym karpowym zagłębiem. Eksportowano je stamtąd do Gdańska, a także za granicę: do Wiednia i na Węgry (w koszach przez Beskidy!).

Dziś – choć karp nam spowszedniał – nadal ma spore grono zagorzałych wyznawców. W Internecie zadziwia wielość fanów karpia. Wędkarze specjalizujący się tylko w połowie tego gatunku ryby zrzeszają się w koła, wymieniają się doświadczeniami, razem planują pułapki i zasadzki.

Większość z nas, widząc szarą rybę w galarecie, nie ma bowiem pojęcia, że wśród połujących na nią ludzi ma ona opinię przebiegłej, sprytniej i zwodniczej.

Pomyślimy o tym chwilę, wydtubując ości. Karp to ryba z charakterem. (OWO)

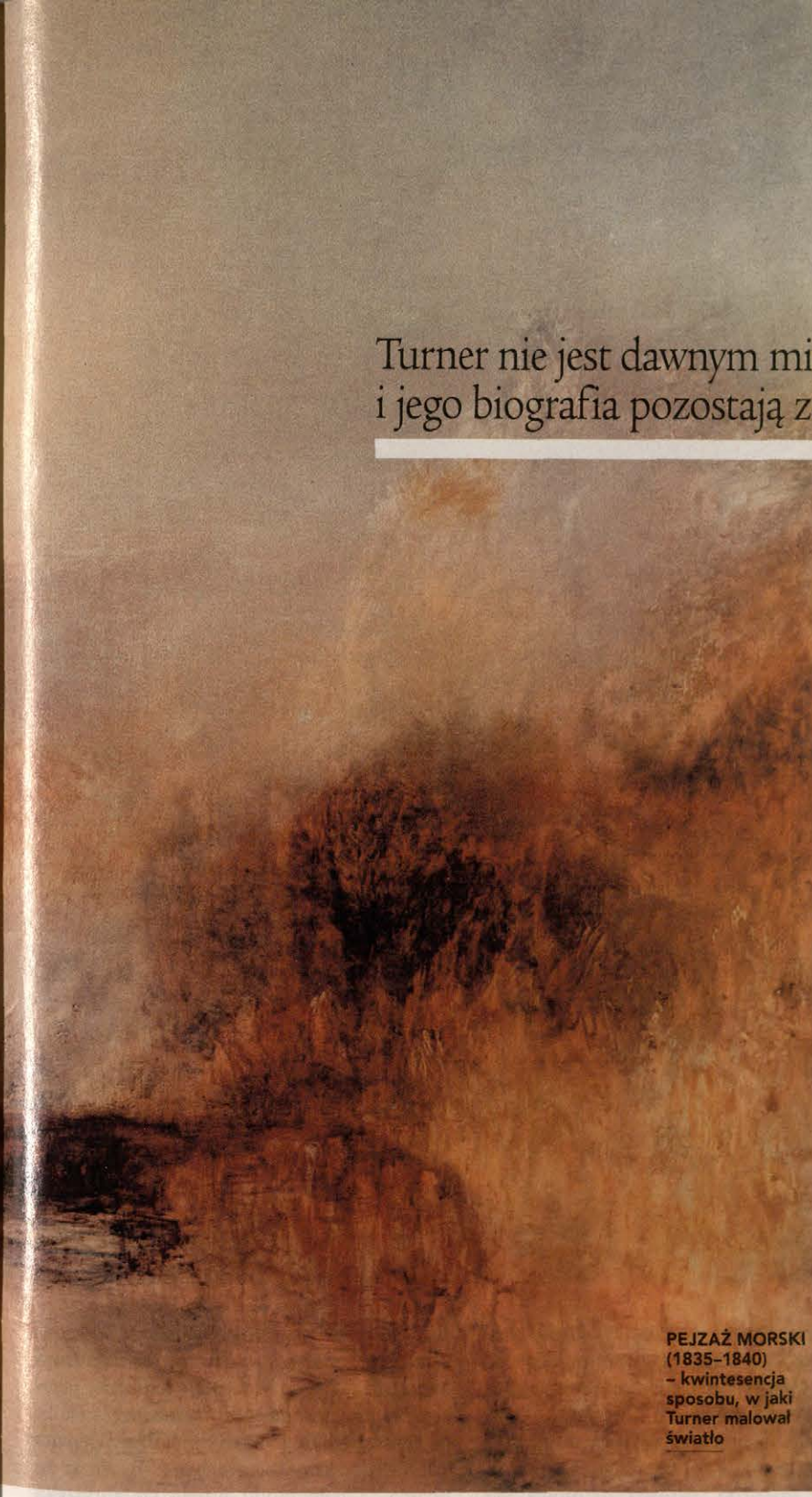
Nikt tak nie malował światła jak on. Podziwiany i nierozumiany, człowiek o dwóch życiach, nowoczesny artysta i zwykły mieszczuch – **J.M. WILLIAM TURNER**. W Londynie trwa wystawa weneckich obrazów malarza, który zrewolucjonizował sztukę

SYN SŁOŃCA

MARCEL ANDINO VELEZ

PLONĄCY PARLAMENT
(1834) – tę orgię światła
Turner obserwował
przez wiele godzin
– najpierw z nabrzeża,
potem z wynajętej łodzi

PHILADELPHIA MUSEUM OF ART, COLETTA



Turner nie jest dawnym mistrzem. I jego malarstwo, i jego biografia pozostają zadziwiająco świeże, współczesne

Pisanie biografii jest jak czekanie na słońce. Życie najbardziej nawet ekscentrycznych bohaterów zawiera całe lata szarych, zupełnie zwykłych dni, które trzeba rzetelnie opowiedzieć czytelnikom. Ale by ich nie zanudzić, potrzeba właśnie tych kilku słonecznych godzin. Tych chwil, dla których warto w ogóle brać się do pisania biografii. A zanim się ją napisze – trzeba przeszperać tysiące gazet, dokumentów, książek. Zmudna robota,

która bez kilku promieni słońca pójdzie na marne. James Hamilton, autor biografii Turnera, wielkiego malarza światła, musiał chyba spaść z krzesła, gdy otworzył egzemplarz „Gentleman’s Magazine” z maja 1775 roku. Hamilton jako rasowy biograf sięgnął do prasy, by poznać wydarzenia z okresu, kiedy jego bohater przyszedł na świat. John Mallord William Turner urodził się 25 lub 27 kwietnia właśnie 1775 ro-

ku. Majowy numer czasopisma był więc pierwszym, w którym można było znaleźć opis kwietniowych wydarzeń. Całą stronę w wertowanym przez Hamiltona magazynie zajmowała ilustracja przedstawiająca potrójne słoneczne halo – rzadki efekt rozszczepienia światła w kryształach lodu górnych warstw chmur. 27 kwietnia, w dniu, w którym prawdopodobnie urodził się Turner, nad południową Anglią na dwie godziny zabłyśło wla-

śnie takie potrójne słońce. Musiało zrobić olbrzymie wrażenie na ówczesnych, skoro poświęcono mu całą stronę w popularnym czasopiśmie. I musiało spowodować przyspieszone bicie serca u autora biografii malarza, który światło słoneczne malował jak nikt inny. **PIERWSZY NOWOCZESNY** John Mallord William Turner uważany jest za największego brytyjskiego malarza

i jednego z najważniejszych w ogóle. Jest tym, który otworzył drogę impresjonistom i wszystkim innym, dla których malarstwo nie było prostym naśladowaniem świata widzialnego. Patrząc na jego życiorys, łatwo uwierzyć, że nowoczesność faktycznie zaczęła się pod koniec XVIII wieku wraz z amerykańską i francuską rewolucją. Ta epoka być może kończy się na naszych oczach. Ale Turner wciąż wy-

daje się bliski, a jego życie – zrozumiałe. Turner nie jest „dawnym mistrzem”. I jego malarstwo, i jego biografia pozostają zupełnie świeże. Sposób, w jaki angielski malarz dbał o swoją karierę, do złudzenia przypomina współczesność. Turner nie miał już szans na względnie spokojne życie dworskiego malarza – te czasy, przynajmniej w zindustrializowanej Anglii, odeszły do historii. Walkę



PEJZAŻ MORSKI (1835–1840) – kwintesencja sposobu, w jaki Turner malował światło

Karykatura z XIX-wiecznego pisma satyrycznego trafila w najczulszy punkt artysty – niski wzrost i prostacką urodę

o utrzymanie się na powierzchni przez najtrudniejsze młodzieńcze lata Turner toczył bardzo umiejętnie.

Wtedy, tak jak dzisiaj, jeśli artysta chciał przeżyć, musiał przekonać do siebie grono wpływowych kolekcjonerów i promotorów. W czasach Turnera zaczęły się liczyć gazetowe recenzje i doroczne wystawy organizowane przez Królewską Akademię Sztuk Pięknych. Od najmłodszych lat Turner, syn londyńskiego fryzjera, wiedział, że nie wystarczy talent, by zaistnieć. Trzeba umieć go odpowiednio sprzedać. Odpowiednio się przyjaźnić, pokazywać, ubierać, odpowiednio naginać. Inaczej twoje miejsce młodego zdolnego zajmą młodszy, zdolniejsi.

Od dziecka ćwiczył swoją – jakbyśmy to dziś nazwali – inteligencję emocjonalną. Póki budował sobie pozycję – przyjaciół i zwolenników pozyskiwał po mistrzowsku. Gdy walczył, by zostać najmłodszym profesorem Królewskiej Akademii – umiejętnie rozdawał swe podziwiane obrazy. Gdy pojawiali się młodszy konkurenci – wchodził w ich manierę malarską i udawał, że potrafi malować tak jak oni, tylko lepiej. Gdy trzeba było, malował obrazy o pożądanej, patriotycznej wymowie. W 1798 roku zwierzył się: „Zamówień mam więcej, niż jestem w stanie namalować, a pieniędzy więcej, niż mogę wydać”.

Ale kiedy już został profesorem, zmienił się nie do poznania. Przestał komukolwiek schlebiać. Zdjął maskę grzecznego młodzieńca. Uwolnił się od rygorów akademickiego malarstwa. Otworzył własną galerię – czym obraził Akademię – i tam targował się, podbijał sztucznie ceny własnych obrazów, antagonizował kolekcjonerów.

Turner doskonale znał tę machinę kariery, radził sobie z nią znakomicie, ale i szczerze jej nienawidził. Od bycia graczem wolał rolę obserwatora. Ale nie obserwatora komedii ludzkiej. Turner kochał patrzeć na świat. W dziedzinie patrzenia na świat nadal jest prawdziwym mistrzem świata.

PATRZĄC I SZKICUJĄC

Rodzice malarza mieszkali tuż przy Covent Garden, gdzie kipiało życie XVIII-wiecznego Londynu. Ojciec cesał i robił peruki dla aktorów królewskiego teatru i dla londyńskich modnisiów. Matka pochodziła z zanego rodu rzeźników. William, będąc dzieckiem, spędzał większość czasu nad Tamizą, gapiąc się na ciągły ruch statków i łodzi. I na ciągły ruch wody, chmur i słońca. Gapił się też na gwiazdy.

To, co dla innych jest zabijaniem czasu, dla Williama było gapieniem twórczym. Nie wiadomo, kiedy zaczął zauważać grę światła, nasycenie kolorem, grę brył i planów. Ale talent do szkicowania i malowania

akwarelami ujawnił szybko. Miał kilka lat, gdy tato fryzjer zaczął z dumą pokazywać klientom rysunki syna. I z dumą brać za nie drobne szylingi, by zasilić domowy budżet. Salon fryzjerski w centrum Londynu to była prawdziwa giełda informacji. Wieść o zdolnościach młodego Turnera rozniósła się szybko. Turner był jeszcze dzieckiem, a już zarabiał na obrazkach. Miał 14 lat, gdy swą akwarelę pokazał na dorocznej wystawie na Akademii. Pięć lat później pojawiły się w gazetach pierwsze wzmianki o nader zdolnym akwareliście.

Chłopięce włóczgi wzdłuż Tamizy i przynoszone z nich rysunki były zapowiedzią tego, co stanie się w przyszłości sensem życia artysty. Turner cierpiał na nieuleczalny, niemożliwy do zaspokojenia głód krajobrazu.

Ten głód jest wspólny wszystkim ludziom – według statystyk ulubionym zajęciem trzech czwartych Niemców jest dziś przejażdżka samochodem po malowniczej okolicy. Polacy, gdyby ich kto zapytał, też pewnie odpowiedzieliby, że uwielbiają wycieczki za miasto. Z tego głodu wzięła się turystyka i oszalamająca kariera fotografii.

Ale u Turnera żądza patrzenia na świat graniczyła z obsesją. Naniesione na mapę trasy jego podróży tworzą zdumiewającą płataninę. Wielką Brytanię przedreptał praktycznie całą. I to wielokrotnie. Przedreptał – bo uwielbiał chodzić i pokonywał w ten sposób ogromne odległości. Ślady swoich butów odcisnął też w Europie. Od chwili, kiedy pokój między Anglią a Francją umożliwił swobodne podróżowanie, Turner niemal bez przerwy

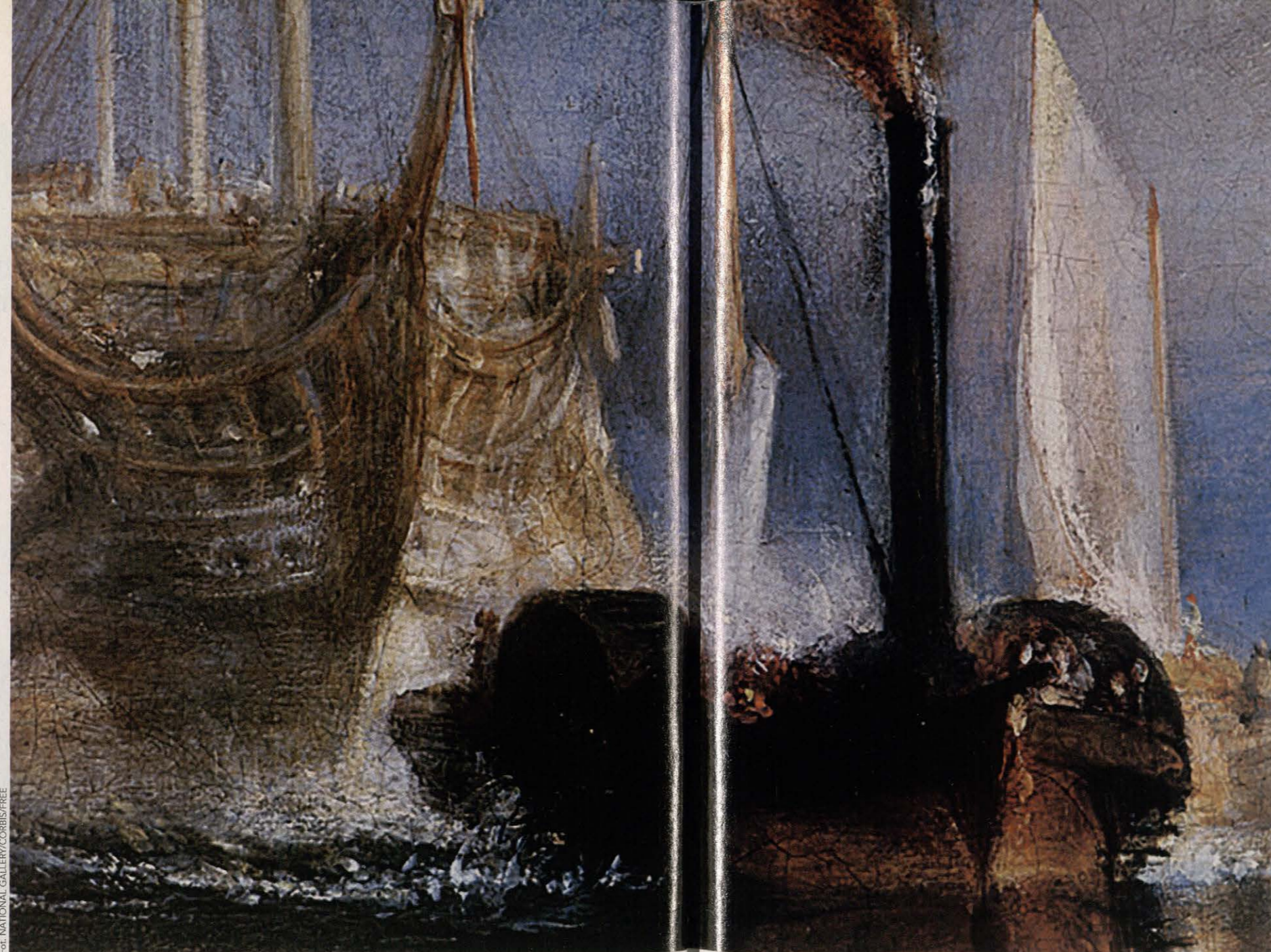
kręcił się na trasie do Włoch i z powrotem. Zwiedził też Niderlandy, Niemcy (był nawet w Szczecinie) i Austrię.

I bezustannie szkicował. Nie rozstawał się nigdy ze szkicownikiem – do dziś zachowała się znaczna część jego zeszytów. Żaden wielki artysta nie pozostawił potomności czegoś ta-

kiego. Tysiące stron uporządkowanych chronologicznie obrazów świata.

Tysiące maźnięć, zygzaków. Turner rysował to, co widział z pędzących powozów. Z kołyszających się pokładów statków, z końskiego siodła. Obok precyzyjnych, wyczelowanych studiów są rozczochrane kontury. Turner nie

Turner doskonale znał machinę kariery, radził sobie z nią znakomicie, ale i szczerze jej nienawidził. Wolał być obserwatorem niż graczem



Obok:
Fragment
słynnego
obrazu Turnera
OSTATNI REJS
TAMERAIRE
(1838).
Ten okręt
to symbol
potęgi
brytyjskiej
floty – Turner
wielokrotnie
malował płótna
o tematyce
patriotycznej

Poniżej:
DESZCZ, PARA
I PĘD. THE
GREAT
WESTERN
RAILWAY
(1839–1844)
– nowoczesność
wdarła się
do malarstwa
Turnera
jak pędząca
lokomotywa

prowadził dziennika w tradycyjnym sensie. Nie pisał o tym, co go spotkało. Rysował to. Sytuacja wymuszała maksymalny skrót. Każała szukać syntezy.

CZEKOLADA, ŻÓŁTKIEM I GALARETKA

To z tego nieustannego odręcznego zapisywania widzialnych obrazów świata powstało pytanie, na które Turner odważył się odpowiedzieć.

Jaki jest związek między kreską a tym, co widzi oko? Jak się ma plama żółtej farby do tego, co dla nas jest słonecznym blaskiem?

Kiedy pozorne „nic” staje się „czymś”, co potrafimy rozpoznać i nazwać?

Dopóki widzowie mogli na obrazach Turnera rozpoznać kontury i kształty, dopóty malarz cieszył się wielką sławą i zbierał wielkie nagrody za swój talent. Gdy zabrakło konkretnej, fotograficznie odwzorowanej rzeczywistości, uznano, że Turner się skończył.

Oto uliczny teatryk londyński w 1841 roku pokazuje widowisko: do galerii malarstwa wchodzi chłopiec z przesyłką z cukierni. Potyka się, wpada na wystawione płótna, obraża się drą. Ale właściciel galerii nie traci głowy. Chwyta umazaną dżemem i lukrem tacę z cukierni, rozmazuje na niej resztkę ciastek i oprawia w ramy. Po czym sprzedaje jako obraz Turnera za tysiąc funtów – wówczas fortunę.

Tyle prosty teatr dla gawiedzi. Ale krytyk elitarnego pisma o obrazie Turnera „Burza śnieżna” pisze to samo: „Ten dżentelmen w przeszłości malował śmietaną, czekoladą, żółtkiem i galaretką porzeczkową – teraz używa całej spiżarni”.

W dzisiejszej Polsce niemal co tydzień dochodzi do szykan wobec artystów – bo ktoś czegoś nie rozumiał. Początkiem nieporozumień pomiędzy artystą a publicznością było właśnie malarstwo Turnera.

ŻONY I INNE BZDURY

Mit artysty przekłętego, ukuty w drugiej połowie XIX wieku, znamy wszyscy. Turner go nie znał, bo zmarł, zanim się ten mit na dobre zakorzenił. Jednak przez długie dziesięciolecie próbowano zrobić z niego romantycznego cierpiętnika. Chociaż nim nie był. Był sobą – zreszcie poruszającym się w ludzkiej dżungli małym, brzydkiem męczącym się o kiepskim pochodzeniu. Turner miał kompleksy, szukał u ludzi akceptacji i uznania dla talentu, którego był w pełni



Nikt z nowych sąsiadów nie rozpoznał w starszym panu słynnego malarza. Udało mu się uwolnić od etykiety wielkiego artysty, który zszedł na psy

świadom. Chciał, by go szanowano, ale nie lubił znajdować się w centrum zainteresowania. Bardzo lubił kobiety, ale nie znosił małżeństwa. Półki miał siłę rysować, w jego zeszytach kłębiła się pomografia. W szkicownikach zapisywał nie tylko receptury farb, miary krawieckie i procentowanie obligacji rządowych, lecz także adresy zamorskich burdeli.

Gdy w 1804 roku w domu dla obłąkanych zmarła jego matka, owdowiałemu ojcu prawie natychmiast przekazał pieczę nad swoją kochanką Sarą Danby i dwiema córkami, które z nią splotził. W późniejszych latach łączyły ich tylko pieniądze. „Nienawidzę żonatych mężczyzn. Oni nigdy nie poświęcają się dla sztuki. Zawsze myślą o swoich obowiązkach wobec żon i rodzin czy tego typu bzdurach” – powiedział kiedyś publicznie Turner.

NOWI WIELBICIELE

Dla porządku – podróże, zwłaszcza do Włoch, nie były wówczas czymś wyjątkowym. Przeciwnie. Dla szanującej się angielskiej elity były obowiązkiem. Nie było czymś wyjątkowym także szkicowanie pejzaży. Uczono tego dzieci, dorośli robili to nagminnie. Fascynacja przestrzenią, szczególnie monumentalnym krajobrazem alpejskim, była powszechna. Turner nie był więc w żadnym sensie nietypowy. Był kwintesencją swoich czasów. Absolutnym uosobieniem tęsknot epoki, w której wynaleziono kolej. Ta miała służyć przede wszystkim zaspokajaniu ludzkiej potrzeby podróżowania, poznawania i przeżywania nowych krajobrazów.

Kolej miała romantyczne początki. Nauka też. Trudno uwierzyć, ale kiedy opinia publiczna uznała, że starzejący się Turner coraz gorzej, bo niewyraźnie, maluje, zwrócili na niego uwagę naukowcy. Jego wspaniałe widoki Wenecji, wielkie morskie pejzaże skąpane we włoskim świetle, a nawet pędząca lokomotywa pomagały w zrozumieniu, czym jest światło. Jak zachowuje się w powietrzu suchym, a jak w wilgotnym. Ciepłym, zimnym. Jak ma znaczenie kąt padania promieni słonecznych. Jak na światło reaguje wzrok. Czym jest ruch.

Starzejący się Turner znalazł nowe grono odbiorców. Wokół malarza skupiła się nowa elita kapitalizmu. Dawniej kupowali Turnera arystokraci, teraz jego nowoczesne, pasujące do epoki pary obrazy zaczęli kupować fabrykanci.

Spośród nich najważniejszy okazał się John Ruskin, syn wielkiego importera win. Dla Turnera stał się kimś w rodzaju syna bądź wnuka. Ruskin jako pierwszy zauważył „nowoczesny” wymiar malarstwa Turnera. Zrozumiał różnicę

między tradycyjnym malarstwem a tym, co ze światłem na płótnie robił Turner.

SEKRET PANA BOOHA

Całe życie wolny od ciągłych zażyciem rodzinnym na starość z radością przyjął synowską miłość Ruskina. Ale znalazł sobie kogoś jeszcze ważniejszego.

Miejscem, gdzie Turner szczególnie chętnie obserwował stykanie się lądu, rzeki, morza i nieba, była letniskowa miejscowość Margate. A w Margate dom państwa Booth, który był szczególnie dogodnie położony – z jego tarasu nic nie zasłaniało widoku misterium, jakim był wschód słońca nad morskim widnokresem. Latem 1838 roku na plaży przed domem owdowiałej właśnie pani Booth Turner namalował kilka swych najbardziej „abstrakcyjnych” obrazów. Niemal wolnych od kształtów, które można zidentyfikować. Można za to zidentyfikować uczucie, jakie obudziło się w nim do osamotnionej gospodyni. Była dobrą gospodynią dla swojego męża – Turner też zapragnął macierzyńskiego ciepła i domowej troski.

Zaprażył uwolnić się od ciężaru, jakim stała się dla niego etykieta „wielkiego malarza, który zszedł na psy”, przyczepiona mu przez Akademię. Jeszcze osiem lat upłynęło, nim z kochanką wiecznie wracającego z dalekich podróży Turner postanowił zmienić się w osiadłego, lubiącego kuchenne zapachy pana Bootha.

Schorowany, musiał być bliżej Londynu, bliżej swej popadającej w ruinę pracowni i bliżej Akademii, której pozostawał wierny. Dom przy Davis Place 6 w Chelsea, nad samą Tamizą, wynajęli jesienią 1846 roku. W papierach zapisano: „Pan i Pani Booth”.

Nikt z sąsiadów nie rozpoznał w starszym panu słynnego malarza. W mieście nikt nie pytał go, gdzie mieszka. Ukrywał się aż do śmierci.

Cieężko chory, w ostatnich miesiącach życia znajdował siłę tylko na jedno – by codziennie przed świtem wgramolić się na dach i tam czekać, aż na wschodzie eksplodują fioleto i oranże, które po krótkim czasie staną się żółcieniami i błękitem. Niczego już nie szkicował. Nie malował. Po prostu patrzył.

Szkoda, że biograf Turnera John Hamilton nie zastanowił się nad datą śmierci artysty. Jest równie wymowna jak słoneczne halo w dniu narodzin. 76-letni Turner, malarz słońca, zmarł 19 grudnia – kiedy słońca jest najmniej.

MARCEL ANDINO VELEZ

WYSTAWĘ „TURNER I WENECJA” MOŻNA OGLĄDAĆ DO 11 STYCZNIA W TATE BRITAIN W LONDYNIE

CISZA. POGRZEB NA MORZU (1841-1842)





Szczególne napiętnowanie

Serdecznie gratuluję tematu „Kochaj i płac” („P” 48/3049) Agnieszki Sowy. Wiem, jak trudno udowodnić fachowcom, że działają niekompetentnie. Dotyczy to wszystkich: nierzetelnych mechaników samochodowych, nielojalnych prawników, nieuczciwych doradców finansowych, oszustów budowlanych, a także weterynarzy i lekarzy. Ci jednak wymagają napiętnowania w sposób szczególny: o ile wszystkie najpierw wymienione grupy zerują tylko na naszej naiwności, co się odbija na zasobności naszej kieszeni, o tyle ci ostatni w sposób przemyślany działają wbrew swojemu powołaniu. Żeby zarobić, szkodzą w sposób nie do naprawienia – szkodzą zdrowiu, wyrządzają ból. To okrucieństwo! Wiem, że nie dotyczy to wszystkich, i wiem, że z nieuczciwością się nie wygra. Ale nawet gdyby błędy lekarskie wynikały tylko z niewiedzy, głupoty albo naiwności – trzeba z tym głośno walczyć. O złych lekarzach my, ofiary ich eksperymentów lub złych diagnoz, możemy jeszcze opowiedzieć. Nasi pupile – skazani na kalectwo lub śmierć – nie mogą wydać z siebie nawet krzyku! Biały kitel

nie może oznaczać bezkarności. Trzeba rozbić złe pojęty solidaryzm tej grupy zawodowej.

ADAM GARLICKI

Składanie skargi

Po przeczytaniu artykułu Agnieszki Sowy „Wysokopłatna miłość” chciałam podzielić się moimi doświadczeniami. W szczególności chodzi mi o składanie skargi do rzecznika odpowiedzialności zawodowej. Złożyłam taką skargę dnia 30.12.2002 r. do rzecznika odpowiedzialności zawodowej Dolnośląskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej na lekarza weterynarii, pracownika Akademii Rolniczej we Wrocławiu na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej, Panią K.K. 29.11.2002 r. zgłosiłam się z psem, który stracił apetyt (parę dni nie chciał jeść), do Ambulatorium przy Akademii Rolniczej we Wrocławiu na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej. Pies szedł na swoich nogach, był w dość dobrym stanie. W Ambulatorium Pani dr K.K. siedziała przy mikroskopie i patrząc w niego, wydawała swoje dyspozycje studentom. Psa nie zbadała, nawet do niego nie podeszła. Oderwała się od mikroskopu dopiero wtedy, gdy doszło do kasowania za usługę. Wszystkie zabiegi koło psa wykonywali studenci, bez jakiegokolwiek kontroli. Sugerowałam, żeby dać kroplówkę dożylnie, żeby psa wzmocnić, lecz Pani doktor tonem zdecydowanym zleciła kroplówkę podskórną. Psu, który ważył 7 kg, kazała wlać pod skórę 1 litr kroplówki. Podejrzewam, że podane leki nie były właściwe lub

studenci popełnili pomyłkę, gdyż po tym „leczeniu” pies poczuł się bardzo źle, całą noc wymiotował, a rano skonał. Dopiero 30.06.2003 r. dostałam pismo od rzecznika odpowiedzialności zawodowej wzywające mnie na przesłuchanie dnia 10.07.2003 r. Po przesłuchaniu zawiadomiono mnie, że będę poinformowana o dalszych losach mojej skargi w sierpniu 2003 roku. Do tej pory nic nie otrzymałam. W Dolnośląskiej Izbie Lekarsko-Weterynaryjnej nikt nie odbiera telefonu. Myślę, że nie tylko sądy nie traktują poważnie sprawy psa czy kota, również rzecznik odpowiedzialności zawodowej nie sobie ze skargi nie robi. Już rok nie mogę się pogodzić z tą bezsensowną śmiercią, a Pani K.K. dalej uczy studentów niewłaściwego stosunku do zwierząt i do zawodu lekarza weterynarii. Nie ma żadnych szans na poprawę tej sytuacji, jeśli przyszli lekarze weterynarii mają takich nauczycieli, a rzecznicy odpowiedzialności zawodowej nie reagują na skargi.

ANNA JECHNA

Dziękuję Dorocie

Przyznam się, że po „Przekrój” sięgnęłam niedawno, około miesiąca temu. Pewnie w ogóle nie zainteresowałbym się Wami, gdyby nie Dorota Masłowska! Po przeczytaniu „Wojny...” chyba stałam się jej fanem, czy raczej wiernym czytelnikiem. Imponuje mi swoim nieszablunowym sposobem opisywania rzeczywistości, podoba mi się rodzaj ironii, który prezentuje. Pisząc do Was, chcę podziękować, że nawiązałaście z nią współpracę, bo wiele jest

osób, które chcą czytać jej teksty. Dorocie też dzięki, że zgodziła się pisać do gazety.

PIETJA

Gratulacje

Z przyjemnością i satysfakcją przeczytałem artykuł „Ziemia mu nie podskoczy” w „Przekroju” z dnia 30 listopada bieżącego roku. Artykuł popularyzuje w interesujący sposób tematykę badań naukowych, których wyniki uhonorowano Nagrodą Kartezjusza 2003. To, co go wyróżnia wśród podobnych materiałów opublikowanych w krajowych dziennikach i w Internecie, to brak jakichkolwiek błędów rzeczowych i ścisłe trzymanie się informacji przedstawionych na konferencji prasowej w Pałacu Staszica. Tej rzetelności gratuluję Redakcji „Przekroju” i Panu Piotrowi Stanisławskiemu osobiście.

ALEKSANDER BRZEZIŃSKI

Nie puścimy płazem

Z wielkim zdumieniem przeczytałam na stronach „Żebyś wiedział” („P” 49/3050) zdanie: „Salamandry czerwonoogrzbietowe należą do nielicznych gadów, które zachowują monogamię”. Oczywiście, że nie należą! A to dlatego, że w ogóle nie należą do gadów!!! Jak świat światem, od czasu karbonu (będzie kilkadziesiąt milionów lat) jesteśmy płazami!!! Jeżeli to tylko ignorancja, to pół biedy. Jeśli jednak celowa dezinformacja, przy naszym potoczku będziemy zmuszeni uznać „Przekrój” za gadzinówkę, a skandalu nie puścimy płazem.

SALAMANDRA PLAMISTA,

Potok

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

ZŁAPALI CHWILĘ

Paktofonika

Jeden z największych sukcesów w polskiej muzyce ostatnich lat był zarazem jednym z najbardziej krótkotrwałych. Płyta „Kinematografia” śląskiej grupy Paktofonika ukazała się w grudniu 2000 roku. Pokochali ją nie tylko fani hip-hopu – za zabawę językiem, otwartość i teksty: „Łapię chwile ulotne jak ulotka / Ulotne chwile łapię jak fotka” albo: „Jestem Bogiem / Uświadom to sobie / Ty też jesteś Bogiem / Tylko wyobraź to sobie”. Tydzień po ukazaniu się „Kinematografii” popełnił samobójstwo Magik, lider zespołu (wcześniej raper Kalibra 44). Reszta grupy ogłosiła, że to koniec, chociaż album sprzedawał się z tygodnia na tydzień coraz lepiej. Dopiero w marcu 2003 roku pożegnali się z publicznością uroczystym koncertem. Ten właśnie występ można od 8 grudnia obejrzeć na kasetach VHS i płytach DVD. Od 19 grudnia – na kinowym ekranie, w sieci Multikina. Rzadko koncerty trafiają u nas do kin, a i grupy pokroju Paktofoniki to rzadkość, w dodatku piekielnie ulotna. (BACH)

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



Specjalny rocznicowy koncert w drugą rocznicę śmierci

Grzegorza Ciechowskiego

i wyjątkowy zestaw 13 płyt Republiki tylko potwierdzają, że Ciechowski był artystą niezastąpionym. Stworzył świat dla tysięcy fanów

OBYWATEL WŁASNEJ REPUBLIKI

Republika – to kraj-metafora. Kraj powołany do życia w piosenkach i publicznych występach Republiki i Obywatela G.C. nie był przyjazny, podobnie jak i zewnętrzny wizerunek Ciechowskiego demiurga. Ale był tak spójny i przekonujący jak świat Tolkienu, Orwella czy Vonneguta. Pisarzy, którzy są obiektami kultów i którymi Ciechowski się interesował. Do Orwella, któ-

rego nie wydawano w oficjalnym obiegu, nawiązywały „Znak równości” i „Kombinat” Republiki. „Biała flaga” też przedstawiała państwo totalitarne, a „Telefony” interpretowano jako protest przeciwko inwigilacji. – Znam takie przypadki – mówił Ciechowski „Gazecie Wyborczej” – że gdy powiedziałem, że Wolna Europa nadaje w odcinkach „1984” Orwella, nasze fanki nagrywały je i spisywały do zeszytów. Po-

tem wymieniali się takimi zeszytami, bo do Orwella nie było wtedy dostępu.

W listopadzie 1981 roku Republika wygrała konkurs zespołów nowofalowych w toruńskim klubie Od Nowa. Pierwsze ich przeboje radio nadawało w samym środku stanu wojennego. Czasy były czarno-białe, Republika idealnie wpasowywała się w ten krajobraz – i nie był to mimetyzm, ale komentarz. Aż dziw bierze, że

tylko czterej chłopcy z Torunia na to wpadli. Ówczesna scena punkowo-nowofalowa przyjęła styl powszechnie obowiązujący w tamtym środowisku: agrafka, czuby, skóry, T-shirty, dżinsy, czasem garnitury zgodnie z napływającym stylem new romantic. Republika była, jak mówili jej członkowie, z boku. Ale też poprzez swoją inność ten bok stał się najbardziej zauważalny. Zarówno dla zwolenników, jak i dla przeciwników. Ci ostatni zarzucali Ciechowskiemu, że ma kiepski głos, wadę wymowy i słabo gra na pianinie. Republika miała całe zastępy antyfanów, którzy układali o niej niewybredne dwuwiersze w poetyce kibolskich rymowanek („Biała flaga, czarne pasy, Republika to kutasy”).

Nieustanne tango

Kiedy na Zachodzie 20 lat temu ukazała się jedyna płyta Republiki, nosiła tytuł „1984”, żywcem wyjęty z Orwella. Koncert, który wtedy grali w duńskim Roskilde, znalazł się w wydanej właśnie monumentalnym 13-płytowym zestawie „Republika: Komplet” – jako jedna z dwóch płyt z nieznanym dotąd materiałem. Z całości łatwo się przekonać, że twórczość literacka Ciechowskiego to właściwie jedna opowieść. I nieważne, jak ją czytać – jako historię najbardziej niezwykłej miłości czy też jako zapis dziejów szczególnego państwa – za każdym razem wszystkie elementy do siebie pasują. Ciechowski potrafił pisać o polityce językiem erotyki i na odwrót. „Wydam nakaz pocałunków / Całowania moich ust” – śpiewał w „Błagam nie odmawiaj”. A w słynnym „Nie pytaj o Polskę”: „To nie kochanka / Ale sypiam z nią / Choć śmieją ze mnie się i drwią”.

Sam mówił o sobie, że jest wampirem energetycznym. Karmił się światem zewnętrznym, choć – jak na artystę przystało – szukał w nim swojego miejsca, swojego odbicia. Ostatnie miesiące przed śmiercią musiały być dla niego okresem wielkiej radości i wielkiej rozterki. Oto człowiek spełniony w życiu osobistym, oczekujący narodzin czwartego dziecka – i przez to wielkie szczęście pozbawiony inspiracji. Słowa piosenek zawsze wynikały u niego z osobistych przeżyć, i to raczej z tych granicznych, kiedy dochodzi do przewartościowań, do zrzucenia skóry, do wiwisekcji. Nie umiał pisać o szczęściu.

Tak... tak... to ja

W latach 90. wampir energetyczny Ciechowski wywarł wpływ na całą polską muzykę jako producent. Justyna Steczkowska, Krzysztof Antkowiak, Atrakcyjny Kazimierz, Mona Mur, Kasia Kowalska, Katarzyna Groniec... Młodzi, wschodzący, świeża krew. Może już zdawał sobie sprawę, że koniec Ciechowskiego rockowego poety wiśi w powietrzu i trzeba będzie znaleźć dla siebie nową niszę. A może chciał się przejrzeć w lustrze innych artystów. Choć – co sam podkreślał – Cie-

chowski producent starannie unikał tego, by było go „słychać” w muzyce podopiecznych.

„Moja rola polega nie tylko na tym, by pokazać im pewne skróty myślowe – tłumaczył niemal siedem lat temu – ale również, żeby dbać o ich wyrazistą autodefinicję. Żeby oni potrafili sprecyzować swój styl i konsekwentnie go tworzyć”. Jednak, jak przystało na dyktatora kraju-metafory, to on dowodził, on decydował, on sprawował kontrolę.

Czy zdał egzamin? W danym momencie tak. Okazał się jednak osobowością tak silną, że ci młodzi mieli coś do powiedzenia niezadko tylko w jego obecności. Może jego perswazja była niewłaściwa, może zabrakło u nich konsekwencji, w każdym razie jego podopieczni, bez wątplenia talenty, wciąż są na tropie swojego stylu. Być może im Ciechowskiego brakuje najbardziej.

Ciechowski, nad wyraz ambitny i uparty, musiał sprawdzić, co naprawdę jest wart jako autor. Ostatecznie zawsze podkreślał, że i zespół, i jego solowe przedsięwzięcia sceniczne to tylko środki do celu, a celem tym jest przekaz treści. Dlatego podczas prac nad albumem „Dziewczyna szamana” Steczkowskiej, pisząc teksty, ukrył się pod pseudonimem Ewa Omernik. I wygrał. Zdobył uznanie na przekór oszczercom i pochlebcom.

Był wyjątkowy

Mówi się czasem, że duch zmarłego artysty odżywa w twórczości następcy. Są jednak tacy, po których miejsce na zawsze świecić będzie pustką. Frank Zappa. Georges Brassens. Janis Joplin. Jacques Brel. Grzegorz Ciechowski. To nie patos, to prozaiczna prawda: Ciechowski był wyjątkowy. Chociaż nie wahał się wskazywać na swoich idoli. Niewykluczone, że właśnie dzięki jego opowieściom o wielkich pisarzach czy muzykach zawitało do polskich bibliotek i uczelni ileś tysięcy młodych osób, by zrozumieć, o czym mówi i śpiewa niespokojny blondyn z Tczewa. Dziewczęta i chłopcy, dotąd prowadzący błahe, zwyczajne życie od dyskoteki do balangi, nagle dowiedzieli się o konstruktywizmie, dadaizmie, ekspresjonizmie. O Orwellu, Kafce, Czechowiczu, Apollinaire. A później o pieśniach spod Biłgoraja czy Rawy Mazowieckiej, gdy Ciechowski nagrał wciąż kontrowersyjną płytę „OJDADAna”.

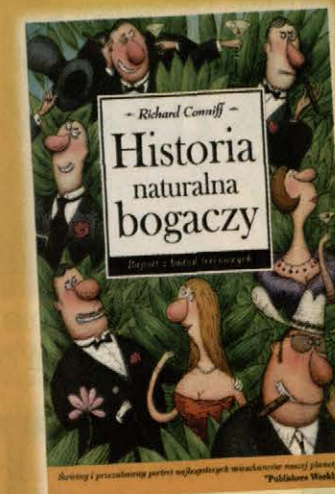
W drugą rocznicę śmierci Ciechowskiego w toruńskim klubie Od Nowa (z którym Republika związana była od początku) jego piosenki będą wykonywać: Marcin Rozynek, Mariusz Lubomski, Krzysztof Majchrzak z zespołem A2, a nawet niemiecka grupa Thomson & The Big Disaster. Ale im się nie uda zastąpić zmarłego lidera Republiki.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

KONCERT SPECJALNY PAMIĘCI GRZEGORZA CIECHOWSKIEGO, 20.12 Toruń, Od Nowa

RMF FM prezentuje

\$kąd się wzięli bogacze?



Od małpy do milionera... JUŻ W KIEGARNIACH

PATRONI MEDIALNI:

PRZE KROJ

INTERIA.PL

www.interia.pl

ERLIN.PL

www.wab.com.pl

W ab wnic two

www.cis.pl

CIS

CIS



trafiony

zatoniony

ZASTAW SIĘ, A ZESTAW SIĘ!

Catherine Zeta-Jones w roli Velmy Kelly wypadła śpiewając i w nagrodę dostała Oscara

Po raz pierwszy w Polsce w jednym zestawie kilka różnych DVD, których nie połączyła treść ani osoba głównego bohatera, tylko Oscary

DVD ZESTAW OSCAROWY:

- „CHICAGO”,
REŻ. ROB MARSHALL,
USA 2002;
- „PIANISTA”,
REŻ. ROMAN POLAŃSKI,
Francja/Polska/Wielka
Brytania 2002,
- „FRIDA”,
REŻ. JULIE TAYMOR,
USA 2002,
- „GODZINY”,
REŻ. STEPHEN DALDRY,
USA 2002;
dystr. SPLInka

To był bardzo dobry, choć i przebiegły (zbliza się Gwiazdka) pomysł: połączenie w jeden zestaw największych triumfatorów tegorocznej oscarowej rywalizacji – „Godziny”, „Chicago”, „Pianista” i „Frida” zgarnęły w sumie 12 statuetek we wszystkich najważniejszych kategoriach i właśnie one w mijającym roku dostarczały nam mnóstwa wzruszeń, emocji i rozrywki. Razem z filmami – każdy w ekskluzywnym, dwupłytkowym wydaniu – otrzymujemy grubo ponad osiem godzin dodatków. Nawet jeśli odśiejemy

od nich standardowe poklepywania się po plecach reżysera, aktorów, producentów, zapewniających się wzajemnie o dogzonnej miłości, i tak zostaje jeszcze mnóstwo atrakcji. Niewątpliwie należą do nich dwa ciekawe dokumenty o Wirginii Woolf i Fridzie Kahlo (kto wie, czy ten drugi nie jest bardziej interesujący niż film Julie Taymor), opowieść Philipa Glasza o tym, jak rodziła się wspaniała muzyka do „Godzin”, Alana Starskiego o tworeniu scenografii do „Pianisty” czy Michaela Cunninghama o powstawaniu książki „Godziny”. – Po przeczytaniu „Pa-

ni Dalloway” Woolf pomyślałem, że ta kobieta robi ze słowami to co Jimi Hendrix z gitarą! – wyznaje pisarz. Najuboższe w dodatki jest zdecydowanie „Chicago”, jedyna ciekawostka to wycięta z filmu piosenka wykonywana wspólnie przez Queen Latifah i Catherine Zetę-Jones.

Zapewniwszy sobie rozrywkę na długie zimowe wieczory, możemy zająć się typowaniem filmów, jakie znajdą się w kolejnym takim zestawie. Rozwiązanie zagadki już za trzy miesiące!

MAŁGORZATA SADOWSKA

[DVD]



Twórcy „Makrokosmosu” zwyczajnie odlecieli

DVD „MAKROKOSMOS”,
REŻ. JACQUES PERRIN,
Francja 2003, Kino Świat

SEN O LATANIU

Co może zrobić człowiek, by stać się ptakiem?

W jednym z moich dziecięcych snów wznosiłam się nad ziemię wyposażona w skrzydła bociana. Było to tak przejmujące doznanie, że postanowiłam wprowadzić je w życie. Byłam tak konsekwentna, że kolejny guz na mojej głowie i poobtlukiwane kolana zmusiły mojego ojca do zajęcia zdecydowanego stanowiska. – Zostałaś skierowana do służby naziemnej – oznajmił mi surowo któregoś dnia. Kontrola lotów nie przyjęła odwołania od tej decyzji. Alergia na pierze, która dostała mi się w pakiecie wątpliwych uroków dojrzwiania, przypieczętowała sprawę.

Sen o lataniu powrócił niedawno. Zmaterializował się w niezwykłym filmie opowiadającym o życiu podniebnego ludu. „Makrokosmos”

Jacques’a Perrina przywołał z zakamarków mojej pamięci doznanie niczym nieskrępowanej wolności, poczucia przestrzeni, lotu. Gdy pierwszy raz poszłam na ten film do kina, poczułam się jak człowiek, który w mrokach przyziemnego reżimu, kręcąc galką od radia, natrafia na dysydencką audycję o wolności. „Hallo, hallo, tu ptasie radio w brzoźowym gaju, nadajemy audycję z ptasiego kraju”. Teraz przyszła kolej na edycję DVD. Na dwóch płytach, wśród dodatków, dostałam razem z nią instrukcję: co mimo własnych ograniczeń może zrobić człowiek, by stać się ptakiem. Złożyłam odwołanie do kontroli lotu. Mam nadzieję, że wkrótce dostanę pozwolenie na start.

OLGA WOŹNIAK

najkrócej

Rozwód: Komedia o dwóch Amerykankach szukających miłości w Paryżu. Naprawdę, nie ma się nad czym rozwodzić. Reż. James Ivory, USA/Francja 2003, CinePix, premiera 12 grudnia

[DVD]



Te dziewczęta już za chwilę rozplyną się w cieniu Wiszącej Skąły

Fot. MONOLITH

PIKNIK POD WISZĄCĄ SKAŁĄ

Zerknijcie pod podszewkę świata

Co się stało z dziewczętami i ich nauczycielką w ów letni dzień 1900 roku? – to pytanie od niemal 30 lat spędza sen z powiek krytykom, widzom, filmoznawcom. I od lat wszyscy zastanawiają się, czy tytułowa skała, przy której rozplynęły się kobiety, symbolizuje sacrum, naturę, czy może niszczycielski erotyzm. Pewne jest tylko jedno – film Petera Weira to arcydzieło, a zdjęcia Russella Boyda i muzyka Zamfira tworzą w nim niesamowitą magiczną aurę. Bo „Piknik...” jest opowieścią nie tylko o tajemnicy przenikającej rzeczywistość, ale również o tajemnicy kina, które w takich jak ten, wyjątkowych przypadkach pozwala nam zerknąć pod podszewkę świata. Na płycie nie ma dodatków – ale akurat dzieło tej miary nie potrzebuje żadnego „wsparcia”.

(MASA)

REŻ. PETER WEIR,
Australia 1975,
Dystr. Monolith

REŻ. PEDRO ALMODÓVAR,
Hiszpania 2002,
Dystr. Gutek Film i Mayfly

POROZMAWIAJ Z NIĄ

Hiszpańskie „The Best of”: film Almodovara i byczek Fernando

Przypomnijmy – dwie kobiety (tancerka i torreadorka) leżą pogrążone w śpiączce. Przy łóżku pierwszej czuwa czuły pielęgniarz Benigno. Drugą odwiedza jej kochanek, autor bedekerów. Zawiązuje się nietypowy czworokąt, jak najbardziej miłosny. Obsypany nagrodami film wielu krytyków uznało za „naj” Almodovara, jego najdojrzalsze dzieło. Ale pojawiły się głosy, że to zaledwie „the best of Almodóvar” – zbiór typowych dla hiszpańskiego reżysera motywów ułożonych w melodramatyczny wzór. Bez charakterystycznej dla niego drapieżności i poczucia humoru. Płyta DVD w domowym użyciu daje możliwość zweryfikowania tych opinii. Dodatkowo umieszczono na niej ścinki z planu filmowego i 12 wywiadów z twórcami. Ale bonus wyjątkowy to książeczka zawierająca fragment nie tylko mojego dzieciństwa – wiersz Munro Leafa o byczku Fernando, co „unikal zwady, nie lubił wojny i (...) walczyć z nikim nie miał zamiaru”.

(BŻ)

Lydia (Rosario Flores) – torreadorka pogrążona w śpiączce

[DVD]

Fot. MAYFLY

Fundacja Progresiff

JADĄ PO ŚMIERĆ

CZY WIESZ, ŻE KAŻDEGO ROKU Z POLSKI, WŁOCH I FRANCJI EKSPORTUJE SIĘ NA RZEŻ OK. 100 000 ŻYWYCH, ZDROWYCH KONI?

FUNDACJA PROGRESIFF ZAJMUJE SIĘ ZBIÓRKĄ PIENIĘDZY NA WYKUP KONI PROSTO Z TRANSPORTÓW. W LISTOPADZIE 2003 ROKU OD ŚMIERCI URATOWALIŚMY CIĘŻARNĄ KLACZ WRAZ ZE ŻREBAKIEM. MAMY NADZIEJĘ, ŻE JUŻ WKRÓTCE DOŁĄCZĄ DO NICH NASTĘPNE KONIE, URATOWANE TAKŻE DZIĘKI WASZEJ POMOCY I WASZEMU WSPARCIU.

SZCZEGÓLNE PODZIĘKOWANIA DLA MAĆKA MALEŃCZUKA ZA WSPIERANIE NASZEJ FUNDACJI

PAMIĘTAJ!!! NAWET NAJDROBNIJSZA KWOTA MOŻE URATOWAĆ ŻYCIE:
NORDEA BANK POLSKA SA II ODDZIAŁ W-WA
92 1550 1062 0000 0000 3654 9812
W TEJ SPRAWIE NIKT NIE POWINIEN POZOSTAĆ OBOJĘTNY

AKTYWNY PO ŚMIERCI



Fot. AP

Dla wielu to sensacja, dla mnie – fonograficzna farsa, której słucha się z poczuciem niesmaku. Bo od zamordowania **TUPACA** – legendarnego amerykańskiego rapera – minęło siedem lat, a do sklepów po jego śmierci trafiło dwa razy więcej płyt firmowanych jego nazwiskiem niż za życia. Ten album towarzyszy premierze dokumentalnej biografii rapera, która właśnie trafiła na ekrany amerykańskich kin. Mamy tu mniej znane utwory ze starszych płyt Tupaca oraz studyjnie sfabrykowane duety z Eminemem i 50 Centem, nieznanymi za czasów panowania nieżyjącego króla Kalifornii, a dziś najpopularniejszymi hiphopowymi gwiazdami. Jedno jest pewne: jeśli po śmierci Tupac trafił do nieba, żyje tam jak wówczas, gdy był wśród żywych – jak król.

BARTEK WINCZEWSKI



TUPAC „RESURRECTION”, Interscope

CYNICY Z DISKOTEKI

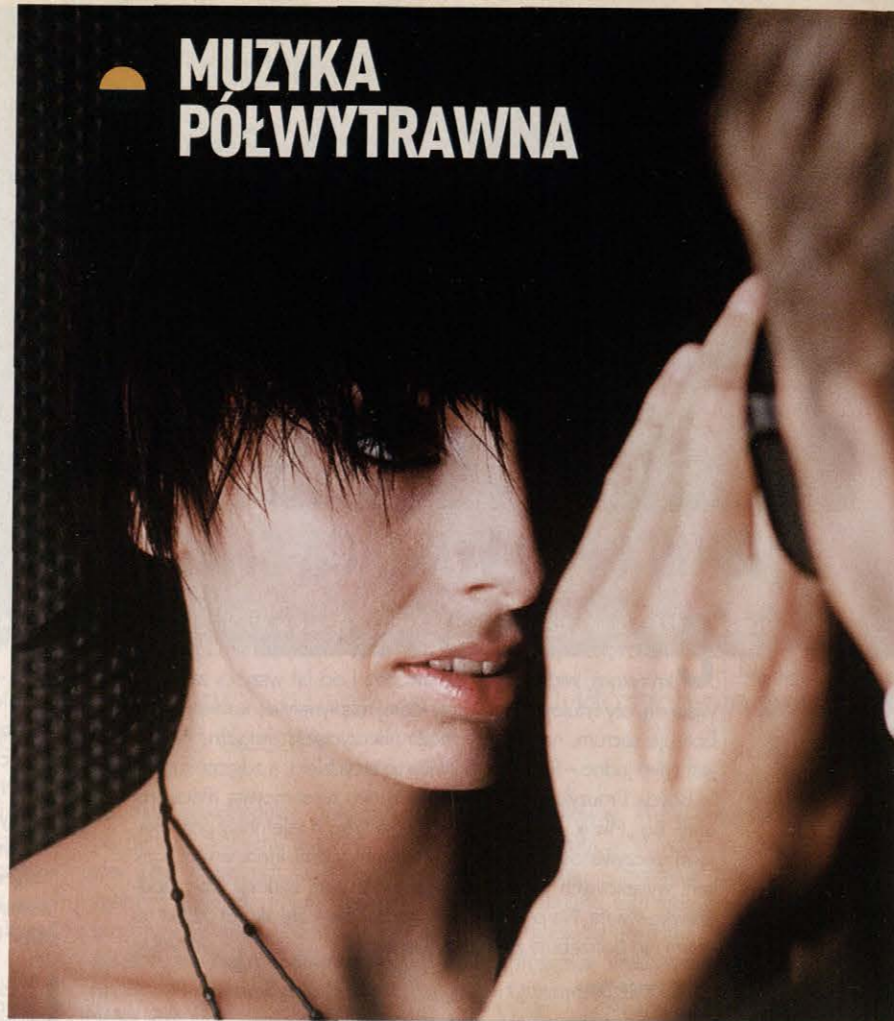
Królowie dyskoteek lat 80. dziś są w gorszej formie, ale wtedy nikt z takim cynicznym wdziękiem nie podbijał list przebojów i z takim dystansem nie pisał kolejnych hitów. Ładnie wydany „PopArt” to wszystko, co najlepsze z ich kariery – dwie płyty pełne hitów kalibru „Suburbia” i „It's a Sin” (plus dwie nowe piosenki), a na dodatek trzecia wypełniona ich zupełnie nowymi tanecznymi remiksami.

(BACH)

PopArt

PET SHOP BOYS „POPART – THE HITS”, Parlophone

MUZYKA PÓŁWYTRAWNA



Fot. 4MEDIA/PIOTR TARASEWICZ

Chylę czoła przed sukcesem **Blue Café**. Tym bardziej że wziął się on nie z talentu, lecz z katorżniczej pracy



BLUE CAFÉ „DEMI-SEC”, Pomonat EMI

Ich nowy, drugi już album „Demi-Sec” przypomina tytułowe wino półwytrawne, trunk dla niewyrafinowanych lub przynajmniej niezdecydowanych smakoszy. Blue Café śpiewają po angielsku, hiszpańsku i francusku. Chcą robić soul, funk, jazz, piosenkę, etno wymieszać z klasyką – wszystko naraz. Chcą mieć na płycie swojego Gorana Bregovicia i Milesa Davisa. Swoją Macy Gray i nawet swojego Tomasa Albiniego... Do nagrań zaprosili Kubańczyka Reia Ceballo i zespół ludowy z Łowicza. Poptenora Marka Torzewskiego i Marka Caudle'a grającego na klasycznej violi da gamba. Dla kogoś, kto chce za jednym łykiem połknąć wszystkie gatunki, rzecz będzie kusząca. Wierzę, że Blue Café mieszają to wszystko ze szczerą podziwu dla różnych wzorców, a nie

z wyrachowania. Chociaż chwilami próżność dominuje u nich nad zdrowym rozsądkiem. To zespół muzyków średniej klasy, za to pracowitych i z dużymi ambicjami. Już sama wokalistka Tatiana Okupnik wykonuje katorżniczą pracę, by nie stracić kontroli nad paramurzyńskim tembrem głosu. Tej barwy nie dała jej natura, musi na nią więc sama pracować. Robi to jednak z energią i bez słyszalnego zmęczenia.

Blue Café są mniej pretensjonalni niż Ich Troje, za to wcale nie mniej przebojowi. Nie posunąłbym się do tego, by uznać, że słuchanie ich muzyki szczególnie nobilituje. Ale to pozytywne zjawisko, bo może się okazać dla słuchaczy dobrym startem do dalszych poszukiwań. Słodszych lub bardziej wytrawnych.

BARTEK CHACIŃSKI

KLUCZEM FRANCUSKIM

Tytuł „French Power” (na który kocharający swój język Francuz wyjąłby szpadę) sugeruje składankę francuskiej piosenki. Barw Francji broni tu jednak para Kanadyjczyków, Garou i Celine Dion. Obok włoska grupa Gabin, grupa Gotan Project sławiąca argentyńskie tango i Włoszka In-Grid, która nawet kiepsko zna francuski. Trójkolorowa flaga na okładce kojarzy się raczej z barwami Pepsi-Coli. Jeśli ktoś ceni kulturę francuską, nie powinien nawet przebywać w tym samym pokoju, w którym leży ta płyta.

(BACH)



RÓŻNI WYKONAWCY „FRENCH POWER”, Sony



RAZ W CENTRUM, RAZ NA BOCZKU

Nie zawsze klasa przynosi kasę. Oto świetna płyta, która nie zrobi wielkiej kariery, ale też 58-letni irlandzki piosenkarz nie nagrywa dla pieniędzy. Jeden z najsłynniejszych synów Belfastu śpiewa tu: „Ja tylko

gram koncerty / Raz w centrum, raz na boczku / Nie mam przebojów ani programu w TV / Więc czemu miałbym żyć w akwarium dla złotej rybki?”. Ta osobista deklaracja rozpoczyna współpracę **VAN MORRISONA**, jednego z największych wykonawców białego soulu, z jazzową firmą Blue Note. Nie jest to jeszcze jazz, ale – powiedzmy – pobocza, bo na pewno nie pop.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



VAN MORRISON „WHAT'S WRONG WITH THIS PICTURE?”, Blue Note



Największe wydarzenie w historii hip-hopu w Polsce. 20 GRUDNIA w Centrum Targowym „Mokotów” w Warszawie po raz pierwszy w naszym kraju z jedynym koncertem wystąpi słynna amerykańska grupa Gang Starr. To już ostatnia z legend hip-hopu, których nie pochłonęła ciemna strona rapowej Ameryki. Może dlatego, że od debiutu (13 lat temu) trzymają się z dala od gangsterki. Siła Gang Starr tkwi w połączeniu talentów rapera Guru i producenta DJ Premiera. Pierwszy z nich zasłynął jako jeden z najlepszych

twórców rymów w dziejach rapu. Drugi, nazywany „architektem hiphopowej produkcji”, ceniony jest za pionierskie osiągnięcia w dziedzinie wykorzystywania w hip-hopie jazzowego dziedzictwa. DJ Premier jako rozchwytywany producent przyczynił się do sukcesów między innymi Jaya-Z, Notoriousa BIG czy Nasa. Choć i on, i Guru świetnie pokierowali swoimi solowymi karierami, tylko jako Gang Starr potrafią czynić cuda.

(BW)



BRYTANY I RATLERKI

Zespół **PEARL JAM** przeżył śmierć modnego w latach 90. grunge'u (i koniec konkurencyjnej Nirvany), a przy tym nie stał się zombi żerującym na swoich starych pomysłach. W dodatku mimo 13 lat istnienia nie wpadł, dzięki Bogu, na pomysł podsumowania działalności płytą z hitami doskonale znanymi przeciętnemu słuchaczowi radiowych list przebojów. Zamiast tego do sklepów trafia podwójny album z utworami bądź wcześniej niepublikowanymi (11 sztuk), bądź rozrzuconymi po stronach B singli i innych wydawnictwach okolicznościowych. Tytuł kompilacji „Lost Dogs” („Zaginione psy”) trafia w sedno. Wiadomo – na świecie giną i rachityczne ratlerki, i rasowe brytany. Na szczęście dla słuchaczy zespół skupił się na poszukiwaniu „brytanów” – czyli udanych utworów z całej swojej kariery. Dziwi tylko, dlaczego nie przegonił przy okazji paru nieciekawych chleraków (jak szantowy „Drifting”). Z liłości?

RAFAŁ MADAJCZAK



PEARL JAM „LOST DOGS”, Sony Music

nakarmić duszę



przepisów kuchni wegetariańskiej z myślami na każdy dzień roku



WINOGRONA W SERZE Z ORZECHAMI

GDY PRZYGOTOWUJESZ POSILEK, MIEJ TAK SKUPIONE I PEŁNE MIŁOŚCI MYŚLI, ZEBYŚ MÓGL NAKARMIC NIMI SERCE CAŁEGO ŚWIATA

winogrona	pone”
15 dag sera pleśniowego (rokpol, lazur)	20 dag orzechów włoskich
10 dag sera „Mascar-	

Winogrona myjemy, obieramy i osuszamy ściereczką. Mielimy orzechy lub bardzo drobno siekamy. Miksujemy sery razem, tak by powstała jednolita masa. Pojedyncze winogrona obtaczamy w serze, a potem w orzechach. Układamy na talerzu i wstawiamy do lodówki na kilka godzin, by smak był bardziej wyrazisty. Podajemy schłodzone. Jest to bardzo wyrafinowane danie, łączące słodycz i chłód winogron ze zdecydowanym posmakiem rokpoli i odżywczym charakterem orzechów. (...)

nakarmić duszę

jola słoma & mirosław trymbulak
365 przepisów kuchni wegetariańskiej z myślami na każdy dzień roku

Wydawnictwo „Czerwony Słoń”
Książka dostępna w księgarniach lub wysyłkowo:

www.czerwonyslon.com.pl
tel.: (058) 344-14-50

Więcej informacji:

www.slomatrymbulak.pl



MICHNIK UWODZICIEL

To nie jest zwykła książka. Oto **ADAM MICHNIK**, człowiek przecież zajęty, znalazł czas, by po ośmiu latach książkowego milczenia wydać zbiór szkiców o swych mistrzach i przyjaciółach

Fot. MARIUSZ SZACHO/FORUM

Kim byłby, gdyby nie postacie, o których pisze w nowym zbiorze esejów? Może rabinem w Jerozolimie, może działaczem SLD



ADAM MICHNIK „WYZNANIA NAWRÓCONEGO DYSYDENTA”, Zeszyty Literackie, Warszawa 2003

Miał w życiu szczęście. Ma je zresztą nadal. Od trzydziestu paru lat być niemal codziennym bohaterem życia publicznego – to niezły wyczyn. Było o nim głośno, kiedy zwalczali go komuniści, i jest o nim głośno, kiedy od kilkunastu lat sam ustawia klocki w wielkiej politycznej grze. A przecież jeszcze niedawno powiedziałby ktoś: wariat. Poświęcił życie dla przegranej sprawy, tyle lat tułać się po kryminalach?

„Wyznania nawróconego dysydenta” są w całości poświęcone jednej z możliwych definicji szczęścia – mieć dobrych nauczycieli, a potem dobrych przyjaciół.

Bo przecież mogło być różnie; jaki los czekał chłopca, którego ojciec nazywał się Ozjasz Szechter i był komunistą? Było mnóstwo możliwości, łącznie z tą, że Adam Szechter mógł być dzisiaj rabinem w Izraelu albo SLD-owskim baronem. Wystarczyłoby, żeby ojciec komunista był cynicznym graczem albo ślepym fanatykiem. Tymczasem Ozjasz Szechter był ideowcem i porządnym człowiekiem.

Pewnie też inaczej potoczyłyby się losy ucznia jednego z warszawskich liceów, gdyby w wieku 18 lat nie znalazł się w Paryżu w Maisons-Laffitte i nie spotkał tam Jerzego Giedroycia. Rozmowy z nim, jak sam twierdzi, ustawiły mu światopogląd na całe życie. Pisze w jednym ze szkiców, że „mieliśmy szczęście” być za młodzi na zostanie stalinistami i że mogliśmy zostać tylko opozycjonistami socjalizmu. My, czyli pokolenie '68. To nie do końca prawda. Wielu z nas zostało sługami socjalizmu, a nierzadko jego skurwysynami.

Miał Michnik dosyć szczęścia, że wcześniej spotkał jednego z ostatnich prawdziwych socjalistów, krytyka i publicystę Jana Józefa Lipskiego, tego, co to w stanie wojennym, ciężko chory, wrócił z Anglii na swój własny proces. Nikt normalny by się tak nie zachował. Ale gdyby Michnik miał normalnych nauczycieli, dzisiaj byłby może jednym z redaktorów tygodnika „Nie”.

Potem poznał Słonimskiego, Kisiela, Kazimierza i Mariana Brandysów, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego,

Andrzeja Wajdę, Jana Kotta, Tadeusza Konwickiego. I wielu innych nie mniejszej rangi, na których zawsze się powoływał jako na mistrzów. To jest książka o nich. O ich twórczości, oczywiście, ale przede wszystkim o ich postawach, wyborach i drodze do tych wyborów. Często pokrętej. To, że prędzej czy później znaleźli się we wspólnym kręgu opozycji wobec totalitaryzmu, świadczy o istnieniu czegoś takiego jak rozumny instynkt samozachowawczy, co najlepiej ujął Słonimski: na wszelki wypadek lepiej być porządnym niż łajdakiem.

Ta różnorodność dróg do wspólnych potem wyborów nauczyła Michnika, że nic nie jest dane raz na zawsze i że istnieją racje, które zawsze warto zrozumieć, nawet jeśli nie są naszymi racjami. Szkoda, że do „Wyznań nawróconego dysydenta” nie dopisał Michnik szkicu o Jaruzelskim albo Kiszczaku. Oczywiście nie jako nauczycielach, ale przeciwnikach, z którymi zdumiewająco się pobratał ku zgrozie niejednego z przyjaciół. W końcu określenie „nawrócony” w tytule powinno zobowiązywać.

Michnik ma wspaniały dar uwodzenia. Nawet kiedy się jąka, retoryka jego uwodzenia jest bezbłędna. W pisaniu nawet się nie jąka. To jest eseistyka najwyższej próby, swobodna, potoczna, pełna precyzyjnych argumentów. Nim się człowiek połapie, że tu i ówdzie myślałby o czymś inaczej, został uwiedzony tak daleko, że trudno zawrócić z logiki wyводу. Portret Jana Kotta w wykonaniu Michnika jest błyskotliwy. A przecież dałoby się namalować portret zgoła inny...

Przy całym patosie wielu wyznań wiary nie traci Michnik na szczęście poczucia humoru. „Tak, to prawda. Mam kompleks Tadeusza Konwickiego. Pisarza i człowieka. Być może z tego powodu nie jest on dla mnie ani pisarzem, ani człowiekiem. Jest zwierzęciem-koupiem, jest moją dziurą w niebie; moją małą apokalipsą; moim wniebowstąpieniem”.

TADEUSZ NYCZEK

KARTKA PODRÓŻNICZKA

Pocztówki wreszcie rozszyfrowane przez Małgorzatę Baranowską



MAŁGORZATA BARANOWSKA „POSŁANIEC UCZUĆ”, Twój Styl, Warszawa 2003

wyślij, Jasiu, koniecznie pocztówkę z Rzymu”. To zdanie mogło paść sto lat temu i równie dobrze dzisiaj. Choć możemy dzwonić, pisać e-maile i esemesy – wysyłanie pocztówek nie odeszło do lamusa. I dlatego wspaniale ilustrowany album o pocztówkach przyda się każdemu. Baranowska pisze o historii pocztówek z kolekcjonerską pasją i miłością. Emocje łowcy udzielają się czytelnikowi, kiedy uczestniczymy w polowaniu na kawałek nogi Napoleona – pocztówkę z serii, która układała się w całość postaci generała. Tak jak dziś w cenie są plotki o gwiazdach, tak na przełomie XIX i XX wieku wycho-

dziły całe serie pocztówek o życiu intymnym władcy. A czy wiecie, że na początku pocztówka składała się tylko z obrazka i adresu? Miejsce na kilka słów pojawiło się dopiero w 1904 roku. Prawdziwy szal pocztówkowy ogarnął Europę przed I wojną światową. W albumie Baranowskiej znajdziemy najbardziej wymyślne modele z tajnymi zakładkami i ruchomymi oczami. „Otwartka”, „liścik”, „pisanka”, „listówka” – tak mogła się nazywać pocztówka, gdyby nie Sienkiewicz. Jego propozycja nazwy zwyciężyła. Czy spodziewał się, że ta młodsza siostra listu zrobi taką karierę?

JUSTYNA SOBOLEWSKA

PIĄTEK CZARODZIEJ

Autor „Heroiny” debiutuje jako fantasta, niestety, w zbyt wyrachowany sposób



TOMASZ PIĄTEK „ŻMIJE I KRETY”, Runa, Warszawa 2003

Mozna było się zdziwić, widząc w październiku na krakowskich targach książki Tomasza Piątkę gaworzącego w najlepsze z Jackiem Duką. Oto brutalny realista, w powieściach „Heroina” i „Kilka nocy poza domem” opisujący narkotyczne i mafijne wielkie miasto, ucinął sobie pogawędkę z rówieśnikiem (obaj rocznik 1974), najciekawszym obecnie naszym pisarzem fantastą. O czym mogli rozmawiać? I oto po kilku tygodniach pojawia się nowa powieść Piątkę „Żmije i krety”. Zaczęłam czytać i oczarował mnie jej świat, tak jak czarują mnie światy wymyślone przez Dukę. Oto opisane z wielkim talentem Cesarstwo, poza którym nie ma świata, a jeśli nawet jest, to nie wolno o tym mówić. Oto nieznanne rośliny i zwierzęta. Oto władcy bez twarzy zatapiający ziemie podbitych ludów i wylupiający oczy jeńcom.

Czytało się wspaniale przez 119 stron. Niestety, na 120. stronie okazało się, że główni bohaterowie to elfy. Czar przysł. Tomasz Piątek, nie wierząc chyba we własne zdolności pisarsko-czarodziejskie, sięgnął po standardowy zestaw fantasy, zaraz po elfach dodając krasnoludy. Cóż, taki właśnie standard ma u nas najbardziej zaprzysięgłych fanów, więc pisarz dokonał wyrazistego komercyjnego wyboru. Piątek zapowiada następne tomy swej sagi. Ja ich nie kupię. Czuję się oszukany: mamili mnie świetnym artystycznym rze-

PAWEŁ DUNIN-WAŚOWICZ



Zapowiada nam się niecodzienne wydarzenie literacko-polityczne. „Absolute Friends”, nowa powieść 72-letniego **JOHNA LE CARRÉGO**, to nie tylko kolejna książka autora, który z powieści szpiegowskiej uczynił dzieło sztuki i przez wielu uznawany jest wręcz za najwybitniejszego ży-

jącego brytyjskiego pisarza. W „Absolute Friends” le Carré nie tylko daje gorzki portret postzimnowojennej Europy, występuje także gwałtownie przeciwko inwazji na Irak i odpowiedzialnej za nią – by użyć słów le Carrégo – amerykańskiej „neokonserwatywnej juncie”. W poprzedniej powieści pisarz tropił praktyki wielkich koncernów farmaceutycznych traktujących mieszkańców Afryki jak króliki doświadczalne. Tym razem wystąpił przeciw administracji pierwszego światowego mocarstwa i jej sojusznikom. Zdaje się więc, że tłumy idealistycznej zachodniej młodzieży protestujące przeciw wojnie i globalizacji zyskały nowego proroka. Książka ukaże się na początku stycznia, a jej polski przekład (nakładem wydawnictwa Amber) – wiosną. (MS)

FURIA MISTRZA

PRZE KROJ POLECA KULTURALNIE

TEREN WARSZAWA



DISCO PIGS | ZARYZYKUJ WSZYSTKO | ELECTRONIC CITY | UWIĘZIENI

TR WARSZAWA

MIASTO STOŁECZNE WARSZAWA
MECENAS FUNDACJA FELIKSA ŁASKIEGO Z LONDYNU

WARDA

Orbita

Plus GSM

MAKABRYCZNA ROZRYWKA

„Call of Duty” to więcej niż tylko wojenna gra akcji. **Lepiej oddaje koszmar wojny niż niejeden film**

To miała być zwykła rozrywka. Jednak od kilku dni, gdy tylko zmruję oczy, widzę bandytów z NKWD strzelających do przerażonych rosyjskich chłopców, ledwo co wbitych w wojskowe drelichy. Tak karano z rozkazu Stalina tych, którzy uciekali przed kulami Wehrmachtu. To miała być zwykła rozrywka – jakkolwiek makabrycznie by to brzmiało w wypadku zabawy mającej za tło koszmar II wojny światowej. Autorzy chcieli stworzyć po prostu dobrą grę akcji i nikt po „Call of Duty” nie spodziewał się więcej. A jednak gra zostawia po sobie – mimochodem? – jakiś głębszy ślad. Dlaczego, skoro gros przygodowych



filmów wojennych nie prowokuje do żadnych refleksji? To specyfika medium. Kino zapewnia komfortową pozycję biernego obserwatora, a gra rzuca w sam wir wydarzeń. Niweluje dystans. Wymusza dokonywanie ocen i podejmowanie decyzji. Nie zostawia z odpowiedzialności. W „Call of Duty” musimy osłaniać ogniem żołnierza, który poszedł po postrzelonego kolegę z oddziału. Jeśli zawalimy, zginą obaj. A potem sami zmuszeni będziemy podbiec do ciał pod gradem kul, by pobrać ładunki wybuchowe niezbędne do wysadzenia niemieckich dział.

„Call of Duty” ubiera nas na przemian w mundury amerykańskie, brytyjskie, radzieckie. Jak mało która wojenna gra akcji przypomina, że podczas bitwy trzeba myśleć nie tylko o sobie, lecz także o kolegach. Choćby po to, by samemu mieć szansę na przetrwanie. Misje są różnorodne i zwykle bardzo szybkie. Nie ma czasu na rozterki, gdy trzeba się ostrzeliwać z tylnego siedzenia jeepa, który nieopatrznie przejechał linię frontu.

Autorzy odrobili lekcję historii. Podziemne kanały Stalingradu wyglądają jak żywcem wyjęte z filmu „Stalingrad” Josepha Vilsmaiera, kręconego przecież w dużej mierze w oryginalnych sceneriach. Rosjanie boją się NKWD za plecami nie mniej niż hitlerowców. Odtworzono ówczesne umundurowanie i uzbrojenie.

Nie mam złudzeń – to wszystko to tylko tło stworzone, by strzelało się, par excellence, przyjemniej. A jednak coś w tym jest.

„CALL OF DUTY”
Dystrybucja: LEM
Platformy: PC, PS2,
XBOX, GCN



Autorom „XIII” udało się połączyć atmosferę i piękno komiksu z przynależnością do gry komputerowej

Prawdziwa nowość: gra według komiksu, która zachowuje energię ukrytą w statycznych komiksowych kadrach

„XIII”
Dystrybucja: Cenega
Platformy: PC, PS2, XBOX, GCN

Co otrzymamy z komiksu, gdy puścimy w ruch statyczne obrazy? Film animowany. Co zrobić, by ożywiony komiks pozostał komiksem? Gra „XIII” odpowiada na to pytanie. Komiks „XIII” rysowany przez Williama Vance’a do scenariusza Jeana Van Hamme’a („Thorgal”) został oparty na motywach pożyczonym z powieści Roberta Ludluma „Tożsamość Bourne’a”. Ranny mężczyzna nie pamięta przeszłości, ale dysponuje umiejętnościami elitarnego agenta służb specjalnych. W „XIII” jest ścigany przez FBI i oskarżany o zastrzelenie prezydenta USA. Musi nie dać się zabić i odkryć prawdę.

„XIII”, gra w konwencji komiksu, to odważny eksperyment. Naturalną tendencją w grafice komputerowej jest bowiem coraz wierniejsze przedstawianie rzeczywistości – choćby to miała być apokaliptyczna rzeczywistość ziemi A.D. 2053 po wojnie nuklearnej. Morze ma wyglądać jak na pocztówkach z Malty, trawa falować na wietrze, grzywka dziewczęcia opadać na oczy, gdy dziewczę owo pochyla głowę.

Komiks operuje głównie konturem, woli pełne kolory od gry odcieni, a rysunki w małej skali nie sprzyjają baroko-

wemu przepychowi detali. Ale nawet nie to jest największym problemem przy próbie mariażu komiksu z grą. Piękno komiksu bije z dynamicznej energii, jaką, paradoksalnie, pulsują nieruchome przecięte obrazy. To nawet coś więcej niż energia naprężonego łuku na chwilę przed wypuszczeniem strzały. To strzała uchwycona w locie. Chwila kulminacji, której możemy się spokojnie przyjrzeć. Gdy obrazy puścimy w ruch, napięcie zostanie rozładowane. Czar pryśnie.

Tej adaptacyjnej pułapki nie można obejść. Autorzy gry całkiem zgrabnie jednak dają sobie radę. Na ekranie co chwila eksplodują onomatopaje: „BANG!”, „BAM – BAM – BAM!” lub spokojne „TAP – TAP – TAP”, gdy słychać kroki strażnika. Kluczowe momenty ilustrują serie nieruchomych, rasowo komiksowych obrazków wyświetlanych w rogu ekranu. Tak, coś z atmosfery komiksu w tej grze się ostało. Dodatkowym argumentem dla komiksowych ortodoksów może być aktywny udział Van Hamme’a i Vance’a przy tworzeniu komputerowej „XIII”. Jakkolwiek patrzeć – mamy nową jakość. A i tak najważniejsze, że gra się całkiem przyjemnie.

XIII EKSPERYMENT



ENTER THE MATRIX

Appendix do filmu braci Wachowskich. Według ICH scenariusza. Z aktorami z ICH filmu, w wersjach zarówno „real life”, jak i „rendered life”. Z ICH pełnym błogosławieństwem. A więc właściwie bardziej apokryf niż zwykły appendix. To zupełnie wystarczy, by gra sprzedała się bosko. Bez względu na to, czy jest boska, czy nie.

Gra akcji „Enter the Matrix”, podobnie jak filmy animowane z serii „Animatrix”, dopowiada historię, którą „Matrix” kinowy zaledwie sygnalizuje. Bierzemy udział w misji statku „Logos” dowodzonego przez byłą flamię Morfeusza – Niobe. W grze możemy kontrolować zarówno Niobe (Jada Pinkett Smith), jak i jej prawą rękę na „Logosie” Ghosta (Anthony Wong). Dla fanów „Matriksa” atrakcją będą filmowe przerywniki z udziałem oryginalnych aktorów. I pewnie nawet nie zauważą, że gra jest co najwyżej taka sobie.



„ENTER THE MATRIX”
Dystrybucja: CD Projekt
Platformy: PC, PS2, XBOX, GCN

WŁADCA PIERŚCIENI: WOJNA O PIERŚCIEN

J.R.R. Tolkien złapałby się pewnie za głowę, widząc, co w imię marketingu wyrabia się dzisiaj ze światem, który opiewał. Jak grzyby po deszczu mnożą się gry nawiązujące do „Władcy Pierścieni”. Niektóre na licencji książki, inne na licencji filmu. Ta jest przyswojicie, choć pośpiesznie skleconą strategią militarną. Oprócz dowodzenia bohaterami Drużyny Pierścienia prowadzimy tu do boju także wspierających ich wojowników. Można też walczyć – a, fe! – po stronie Saurona. Gra bardzo przypomina „Warcraft III”, ale przecież jak zrzynać, to z dobrego wzorca... Z Tolkiena, swoją drogą, zerżnięto zaskakująco mało. Ostały się głównie nazwiska postaci.



„WŁADCA PIERŚCIENI: WOJNA O PIERŚCIEN”
Dystrybucja: Cenega
Platformy: PC, PS2, XBOX



NO ONE LIVES FOREVER: CONTRACT J.A.C.K.

Jako jeden z licznych wielbicieli panny Cate Archer („No One Lives Forever”), którą od Jamesa Bonda różnią głównie drugorzędne cechy płciowe, przyjąłem grę „Contract J.A.C.K.” z zakłopotaniem. Niby ten sam świat. Te same czarne charaktery. To samo przymrużenie oka. A jednak obsadzenie w roli głównej nie pełnej wdzięku, choć charakternej damy, tylko mięśniaka z zarostem sporo zmienia. Ginie urok lekkiej perwersji, która towarzyszyła eliminowaniu hord wrogów serią z kałasznikowa dzierzzonego wiotką dlonią w jedwabnej rękawiczce. Poza tym nasze alter ego przyjmuje zlecenie od drani, a tego nie lubię... Kotlet dość nawet kaloryczny, choć odgrzewany i w sosie, który nie każdemu musi smakować.

„NO ONE LIVES FOREVER: CONTRACT J.A.C.K.”
Dystrybucja: Cenega
Platforma: PC



CZWARTEK 18.12
ZA WCZEŚNIE UMIERAĆ
 Melodramat porównywany przez niektórych – co jest jednak przesadą – do „Love Story”. Julia Roberts, mistrzyni wcielania się w rolę dziewczyn z sąsiedztwa, tym razem gra pielęgniarzkę, która podejmuje się opieki nad chorym na białaczkę Victorem (Campbell Scott). Zamożny, wykształcony mężczyzna docenia jej poświęcenie i czułość i po paru wizytach jest już zakochany. Oczywiście nad romanssem unosi się widmo rychłej śmierci Victora. Brzmi to nieznośnie, ale twórcom filmu udało się ominąć mielizny sentymentalizmu.
REŻ. JOEL SCHUMACHER
TV4, 21.30



PIĄTEK 19.12
POKÓJ Z WIDOKIEM
 Stylowy dramat, ekranizacja powieści E.M. Forrester zasłużenie nagrodzona Oscarami za scenariusz, kostiumy i dekoracje. Rozgrywający się w początkach XX wieku film opowiada o konfrontacji zimnej Północy (Anglia) z gorącym Południem (Włochy) i konflikcie serca i rozumu. Zachęcony powodzeniem „Pokoju” Ivory zrobił kolejne świetne filmy o Brytyjczykach epoki postwiktoriańskiej – „Powrót do Howards End” i „Okrucy dnia”. Kostiumowe kino wychodzi mu zdecydowanie lepiej niż współczesne, o czym możecie się państwo przekonać, idąc na grany właśnie w naszych kinach najnowszy film Ivory’ego „Rozwód po francusku”.
REŻ. JAMES IVORY
TVP1, 12.40



SOBOTA 20.12
PODKRĘĆ JAK BECKHAM
 Komediodramat, jeden z największych kasowych hitów na Wyspach Brytyjskich. Jego nastoletnia bohaterka buntuje się przeciw tradycji, w której duchu chcą ją wychowywać rodzice, emigranci z Indii. Zamiast pichć hinduskie potrawy, Jess woli kopać piłkę, ani myśli też szukać sobie milego hinduskiego narzeczonego. Już od dawna jest zakochana – w Davidzie Beckhamie (co zresztą zupełnie nas nie dziwi). Film pochodzący z Kenii Chadhy podobny – czy też podkreśli – serca publiczności na festiwalach w Toronto i Locarno, znalazł się również na liście ulubionych filmów widzów tegorocznego Warszawskiego Festiwalu Filmowego.
REŻ. GURINDER CHADHA
CANAL+, 21.00



Epoka lodowcowa

Nieznośny Wiewiór z epoki lodowcowej rozbawi was do łez **PIĄTEK 26.12, Canal+, 21.00**



SOBOTA 20.12
PONIEDZIAŁEK
 Obyczajowy. Zaskakująco świeży debiut reżyserski operatora Witolda Adamka. Film powstał na podstawie scenariusza Przemysława Wojcieszka (tego, który zrobił „Głośniejszy od bomb”) i jest portretem polskiej prowincji – co rzadkie w naszym kinie – pokazanej bez cienia sentymentu. Po premierze pojawiły się głosy, że „Poniedziałek” to apoteoza chamstwa i przemocy, bo każe nam sympatyzować z dwoma leserami, wulgarnymi koleśkami, którzy starają się zarobić, ściągając długi – Mańkiem (w tej roli bezczepny raper Bolek) i Dawidem (Pawel Kukiz). Cokolwiek by jednak mówić, Adamkowi udało się uchwycić i pokazać kawałek prawdy o Polsce. A w przyszłym roku na ekrany kin powinien już trafić trzeci (po drodze był jeszcze nieudany „Wtorek”) film Adamka – „Styl wolny”, musical (sic!) o powstawaniu polskiej sceny hipopowej.
REŻ. WITOLD ADAMEK
TVN, 23.45



NIEDZIELA 21.12
PRZYPADKEM KLARY
 Teatr, telewizyjna premiera sztuki Dei Loher, która była przebojem ostatniego sezonu w polskich teatrach. We Wrocławiu wystawiał ją Paweł Miśkiewicz, a w warszawskich Rozmaitościach sam Krystian Lupa (zmieniwszy tytuł na „Stosunki Klary”). Loher opowiada o zagubionej dziewczynie, która straciwszy pracę, traci też grunt pod nogami i powoli wypada poza margines „normalnego” życia. – Zdarza się, że drobne, przypadkowe zwichnięcia naszych stosunków ze społeczeństwem powodują nieobliczalne skutki, usuwają człowieka z centrum, pozbawiają go poczucia siły, wiary w siebie, godności – tłumaczył Krystian Lupa. Po Kinizie Preis (u Miśkiewicza) i Mai Ostaszewskiej (u Lupa) kolejną Klarą została Maria Seweryn.
REŻ. MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ
TVP2, 22.40



WTOROK 23.12
PRZYTUŁNE GNIAZDKA
 Tragikomedie w najlepszym czeskim stylu. Jej bohaterowie to rodziny Sebeków i Krausów zamieszkujące jeden dom na przedmieściach Pragi. Mimo dyplomatycznych zabiegów małżonek stosunki nie układają się najlepiej: Sebek to oficer na służbie reżimu, komunistą z przekonaniem, zaś Kraus doświadczył przesładowań i komuna to dla niego największe przekleństwo. Różnice ideologiczne stanowią przepaść nie do zasypiania. Ponad tymi sporami są dzieci Krausów i Sebeków przeżywające właśnie dramaty okresu dojrzewania i marzące o fajnych ciuchach i płytach z Zachodu. Niespodziewanie mieszkańcy domu na przedmieściach polując wydarzenia z 1968 roku. W Czechach „Przytulne gniazdko” (my wolimy oryginalny tytuł „Peliški”) były wszelkie rekordy popularności, nie ustępując w rankingach nawet „Titanicowi”.
REŻ. JAN HREBEK
TVP1, 23.55



PONIEDZIAŁEK 22.12
UWAGA, CHULIGANI; TO JEST JAJKO
 Dwa filmy dokumentalne. Pierwszy z nich, „Uwaga, chuligani” Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego, to jedno ze sztandarowych dzieł tak zwanej polskiej szkoły dokumentu, która powstała w latach 50. Reżyserzy, którzy ją tworzyli, zajmowali się sprawami społecznymi, ciemnymi stronami komunistycznej rzeczywistości. Hoffman ze Skórzewskim na przykład portretowali środowiska młodych ludzi, których dziś zwykle się nazywa „chłopakami z miasta”, a podówczas mówili się o nich „niebieskie ptaki” lub „chuligani” właśnie. Z kolei poruszające „To jest jajko” Andrzeja Brzozowskiego opowiada zupełnie inną historię: pokazuje niewidome dzieci poznające otaczający je świat. Na lekcji dzieci dowiadują się, czym jest jajko, dotykają go, rozbijają je, gotują, obierają ze skorupki. Jak wiele starych dobrych dokumentów i ten pozbawiony jest komentarza. Cała jego uroda i siła tkwią w obrazie.
REŻ. JERZY HOFFMAN, EDWARD SKÓRZEWSKI, ANDRZEJ BRZOZOWSKI
TVP2, 17.15



WTOROK 23.12
DWORZEC NADZIEI
 Obyczajowy. Poruszająca, piękna opowieść nagrodzona Złotym Niedźwiedziem, Złotym Globem i nominowana do Oscara. „Dworzec nadziei” jest filmem drogi opowiadającym o wspólnej podróży zgorniknej dziewczynie i 10-letniego chłopca (zagrał go mały pucybut z lotniska w Rio). W jej trakcie każde z nich przejdzie przemianę – ona odkryje w sobie wielkie pokłady miłości, on zrobi wielki krok ku dorosłemu życiu. „Dworzec nadziei” przyniósł Walterowi Sallesowi ogromną popularność. Dziś reżyser kończy już pracę nad ekranizacją „Dzienników motocyklowych” Che Guevary. Film ma mieć premierę na najbliższym festiwalu w Sundance.
REŻ. WALTER SALLES
TVP2, 22.35



ŚRODA 24.12
BABE, ŚWINKA Z KLASĄ
 Familijny. Wzruszający, uroczy i perfekcyjnie zrobiony (łączy animację lalkową, zwierzęta i aktorów) film, którego bohaterka to świnka uratowana przed rzeźnią. Mała Babe jest tak wspaniałą opiekunką stada owiec, że farmer (nominowany do Oscara James Cromwell) postanawia zgłosić ją do konkursu na najlepszego psa pasterskiego. Film nieznanego nikomu Australijczyka zrobił furorę na całym świecie i niewiele brakowało, a zdobyłby i Oscara. I nic dziwnego, jego „Babe...” to rzadkie połączenie wizualnej urody, prostoty i inteligentnego humoru. A tytułowa świnka jest tak słodka, że chciałoby się ją – za przeproszeniem – schrupać...
REŻ. CHRIS NOONAN
TVP1, 17.20



ŚRODA 24.12
TWOJA DROGA DO GWIAZD – WYDANIE ŚWIĄTECZNE
 Program rozrywkowy, w którym najlepsi polscy sportowcy staną w szranki w zupełnie obcej sobie dyscyplinie – śpiewaniu koled. Ich wokalne popisy oceniać będą dzieci z siedmiu polskich miast. I tak Andrzej Supron zaśpiewa „Jezus malusiński”, Jagna Marczulajtis i Sebastian Kolański „Lulajże, Jezuniu”, zaś grupa florecistek (Magda Mroczek, Sylwia Gruchala, Anna Rybicka, Gosia Wojtkowiak) „Wśród nocnej ciszy”. Gościem specjalnym programu, w którego trakcie przeprowadzona zostanie zbiórka pieniędzy na pomoc dzieciom dotkniętym chorobami nowotworowymi, będzie Edyta Górniak.
TVN, 20:15



ŚRODA 24.12
POWIEDZ: TAK
 Komedie romantyczna z Jennifer Lopez i Matthew McConaugheyem w rolach głównych. Film o przeznaczeniu, od którego rzecz jasna nie ma ucieczki. Lopez gra organizatorkę weselnych przyjęć, której, niestety, nie wiecie się w życiu osobistym. Aż pewnego dnia, gdy przechodzi przez ulicę, obcas wpada jej – niczym

w reklamie mentosów – w kratkę studzienki kanalizacyjnej. I już, już rozpedzony pojemnik na śmieci ma uderzyć w jej zgrabne, wypielęgnowane ciało, gdy jak spod ziemi zjawia się przystojny wybowawiciel – McConaughey, lekarz i... narzeczoną jej najlepszej klientki. Lopez właśnie przygotowuje ich wesele. Czy pan doktor zdobędzie się na to, by na ślubnym kobiercu powiedzieć „nie”?
REŻ. ADAM SHANKMAN
TVP1, 21.00



ŚRODA 24.12
WŁAMYWACZE
 Film określany mianem „techno thriller”, przede wszystkim ze względu na temat, ale to określenie pasuje również do jego zimnego, „techno klimatu” (od czasu do czasu ocieplanego komediowym tonem). Piątka bohaterów (Robert Redford, Dan Aykroyd, Sidney Poitier, River Phoenix, David Strathairn) wmuwaje się do komputerów, ale na zlecenie firm, które chcą sprawdzić jakość swoich zabezpieczeń. Pewnego dnia Redford otrzymuje propozycję nie do odrzucenia od smutnych panów w prochowcach: albo pomoże im w pewnej komputerowej operacji, albo wyjdą na jaw jego grzechy z przeszłości. Już wkrótce okaże się, że za całą sprawą stoi dawny przyjaciel (Ben Kingsley), który przeszedł za Redforda 12 lat za kratkami.
REŻ. PHIL ALDEN ROBINSON
TVP2, 22.30



CZWARTEK 25.12
LEW W ZIMIE
 Historyczny, opowieść o pewnych szczególnych świętach Bożego Narodzenia, które miały miejsce w 1183 roku, kiedy to król Henryk II (Patrick Stewart) postanowił podjąć decyzję, któremu z trzech synów powierzyć tron. Wybór nie jest prosty, bo władca otoczony jest przez ambitnych krewnych, z których każdy ma interes w popieraniu innego z synów. W bożonarodzeniowych świętach uczestniczy również Eleonora (Glenn Close), żona Henryka, która ostatnie 10 lat spędziła w lochu za knucie przeciw mężowi. Więzienie zupełnie nie złagodziło jej charakteru... „Lew w zimie” to drugi film Andrieja Konczalowskiego („Uciekający pociąg”, „Kur-

ka riaba”, „Romanca o zakochanych”) zrealizowany specjalnie dla telewizji. Na pewno spodoba się wszystkim wielbielcom historii o dworskich intrygach, spiśkach i knowaniach.
REŻ. ANDRIEJ KONCZAŁOWSKI
HALLMARK, 21.00



PIĄTEK 26.12
MĘSKIE-ŻEŃSKIE: WIGILIA
 Pilot nowego serialu reżyserowanego przez Krystynę Jandę. Janda jest również współautorką scenariusza i odtwórczynią głównej roli – samotnej pani w średnim wieku Lilki Janickiej. Po tym jak zwolniono ją z pracy w muzeum, Lilka postanawia nie poddawać się i tworzy własną galerię. Zastajemy ją przy pracy: jest Wigilia, a ona właśnie przygotowuje się do wielkiego otwarcia. Do galerii wpada jej dorosła córka (prawdziwa córka Jandy Maria Seweryn) już po raz kolejny gra filmową córkę swojej mamy, która oświadcza, że nie zostanie na świątecznej wczepce.
 Krystyna Janda deklaruje, że stworzyła „serial feministyczny o problemach współczesnych kobiet i odwiecznej wojnie płci”. Autorem zdjęć do filmu jest jeden z najwybitniejszych polskich operatorów Witold Sobociński.
REŻ. KRYSZYNA JANDA
TVP2, 16.40



SOBOTA 20.12
ŚWIATOWY IDOL
 Alex, czyli Alicja Janosz, będzie reprezentowała Polskę podczas pierwszej edycji „Światowego Idola”, konkursu, w którym startują zwycięzcy „Idola” z 11 krajów. Konkurs odbywa się w Londynie, a uczestników będzie oceniać międzynarodowe jury – jednym z jego członków jest Kuba Wojewódzki. Podobnie jak w telewizyjnym programie jury pełni jedynie funkcję doradczą, a swojego idola wybierają – poprzez SMS-owe głosowanie – sami widzowie. Wszystko to razem bardzo przypomina inny muzyczny konkurs wyłaniający europejskie „gwiazdy” – Eurowizję. Festiwalowe studio w Warszawie prowadzi Maciek Rock, a wyniki głosowania poznamy 1 stycznia.
POLSAT, 20.00

Zagap się!



QUO VADIS
Pierwszy z sześciu odcinków serialu „Quo vadis”. Wszystkim, którzy nie zapalali się na zakładową lub szkolną wycieczkę do kina, wyjaśniamy: jest to ekranizacja powieści Henryka Sienkiewicza i opowiada o prześladowaniach chrześcijan w epoce cesarza rzymskiego Nerona. W kręconym między innymi we Francji i w Tunezji „Quo vadis” wystąpiła czołówka polskich aktorów, z Bogusławem Lindą, Krzysztofem Majchrakiem, Franciszkiem Piecką i Jerzym Trelą na czele. Romansową parę, Ligię i Winićjusza, wokół której kręci się cała historia, zagrali modelka Magdalena Mielczarz i Paweł Deląg. W telewizyjnych materiałach dotyczących „Quo vadis” znaleźliśmy stwierdzenie, które wydało nam się absolutnie najlepszą recenzją: „Jerzy Kawalerowicz nie próbował odczytywać Sienkiewicza na nowo, nie starał się szokować widza nowatorskimi rozwiązaniami”. Oj, nie starał się, nie starał...
REŻ. JERZY KAWALEROWICZ
TVP1, 20.10



EPOKA LODOWCOWA
Animacja porównywana do „Shreka” i „Potworów i spółki”, a jak powszechnie wiadomo, dla filmu animowanego nie ma lepszej rekomendacji. Akcja tego uroczego, przeżabawego filmu rozgrywa się 20 tysięcy lat temu, gdy na Ziemi rozpoczęła się tytułowa epoka. Wszystkie zwierzęta, ratując się przed zimnem, wyruszają na południe. Ostatnimi maruderami są – co oczywiste – leniwiec Sid i mamut Manny. Podczas wędrówki znajdują niemowlaka i postanawiają odnieść go do ludzkiej osady. Film naszpikowany jest rozmaitymi cytatami i aluzjami, dzięki którym dorodzi ubawią się, oglądając „Epokę...”, jeszcze lepiej niż dzieci.
REŻ. CHRIS WEDGE I CARLOS SALDANHA
CANAL+, 21.00



SENS ŻYCIA WEDŁUG MONTY PYTHONA
Komedya, ostatni wspólny film legendarnej brytyjskiej grupy Monty Python będący zbiorem skeczy dotyczących kolejnych etapów naszej egzystencji („narodziny”, „edukacja”, ale też... „przeszczepy żywych organów”). Choć sami członkowie grupy nie do końca byli zadowoleni z efektu („Jedna trzecia materiału była naprawdę dobra, jedna trzecia niezła, a jedna trzecia kiepska” – podsumował John Cleese), film dostał Nagrodę Jury w Cannes w 1983 roku i do dziś cieszy się uwielbieniem widzów. Ostatni film „Pythonów” wyprodukowany został przez Universal. Sześć wytwórni wyłożyło pieniądze, nawet nie przeczytawszy scenariusza. Wystarczył im wierszyk Erica Idle’a, który znalazł się na pierwszej stronie tekstu: „Polecamy wam gorąco / Film na różne gusty / Jedni znajdą w nim sens życia / Inni gołe biusty”. Ciekawe, co państwo w nim znajdziecie...
REŻ. TERRY JONES, TERRY GILLIAM
POLSAT, 00.15



HARRY ANGEL
Thrillerohorror, fantastyczne, pokręcone i mocno perwersyjne dzieło Alana Parkera. Jego bohater, tytułowy Angel (Mickey Rourke z czasów, gdy nie wyglądał jak skrzyżowanie Robocopa z Golotą) jest prywatnym detektywem i na zlecenie tajemniczego klienta Lou Cyphera poszukuje pewnego mężczyzny. Śledztwo prowadzi go w głąb Nowego Orleanu, w świat obrzędów wudu i na granicę paranoi. Parkerowi udało się stworzyć niesamowity duszny klimat, od którego pot spływa po plecach. Ale sukces „Harry’ego Angela” to również zasługa aktorów – fenomenalny jest i Mickey Rourke, i Robert De Niro jako Lou Cypher z pięknymi, długimi szponami.
REŻ. ALAN PARKER
POLSAT, 22.30



SAMURAJ I KOWBOJE
Osobliwa mieszanka westernu i kina samurajskiego. Terence Young zdobył się na zaskakujący wybór, w jego filmie zagrali obok siebie aktorzy z kompletnie innych „bajek” – Charles Bronson, Alain Delon i Toshiro Mifune. Choć jest coś, co ich łączy – każdy reprezentuje typ twardego, tyle tylko że inaczej realizowany przez kino amerykańskie, francuskie i japońskie. I tak, zderzając aktorów, reżyser zderza też gatunki i filmowe mity, z jakimi się kojarzą.
Akcję filmu umieścił Young w Stanach Zjednoczonych u schyłku XIX wieku. Gdzieś na bezdrożach Arizony dwóch bandytów napada na pociąg wiozący japońskiego ambasadora. A żeby było jeszcze bardziej egzotycznie, owe „bezdroża Arizony” nakręcone zostały w Hiszpanii.
REŻ. TERENCE YOUNG
TVP1, 00.20



ROZWYDRZONY KANAREK
Film dokumentalny o czterech latach życia Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego po powrocie do kraju w marcu 1946 roku. To, jak zgodnie mówią goście programu: Kira Gałczyńska, Ludwik Jerzy Kern czy Joanna Olczak-Ronikier, najszczęśliwszy i najbardziej twórczy okres w jego biografii. Zakłada kabaret Siedem Kotów, w „Przekroju” publikuje „Teatryk Zielona Geś” i „Listy z fiołkiem”. Niestety, już nadszła szczytna chwila pisarza, na którym zadekretowano w literaturze realizm socjalistyczny. Naciski władz bez wątpienia stanowiły dla Gałczyńskiego przyczynę osobistej tragedii.
W filmie Jakuba Nowaka zabrakło jednak choćby wzmianki o filircie Gałczyńskiego z komunizmem czy o tym, że jest pierwowzorem Delty z Miłoszowego „Zniewolonego umysłu”.
REŻ. JAKUB NOWAK
TVP1, 15.35



E.T.
Science fiction, baśń filmowa Spielberga w nowej, odświeżonej wersji. Są tu ujęcia, których nie było w pierwszej wersji, cyfro-

wo zmiksowano ścieżkę dźwiękową a w komputerze poprawiono niektóre sceny. Sens pozostaje jednak ten sam: dwie najbardziej samotne istoty na ziemi, mały chłopczyk (Henry Thomas) i rozczulająco szkaradny przybysz z kosmosu, dają sobie przyjaźń i wsparcie, którego obaj potrzebują. Ten pierwszy bardzo przeżywa rozwód rodziców, drugi zgubił się na naszej planecie podczas ekspedycji badawczej. Bardzo tęskni za swoimi bliskimi i jak tylko widzi telefon, zaraz chce dzwonić do domu.
REŻ. STEVEN SPIELBERG
CANAL+, 20.00



DIUNA
Science fiction, pierwszy (z trzech) odcinek kosztownego miniserialu zrealizowanego na podstawie powieści Franka Herberta. O ekranizacji „Diuny” marzyli najwięksi magowie kina – Alejandro Jodorowsky i David Lynch. Temu pierwszemu nigdy nie udało się zrobić filmu, drugi poniosł spektakularną porażkę. Serial Harrisona powinien zadowolić fanów powieści o pustynnej planecie Arrakis, która staje się centrum walki o władzę w Imperium Galaktycznym. „Diuna” zdobyła dwie nagrody Emmy – jedną za efekty specjalne, drugą za zdjęcia autorstwa geniusza kamery Vittoria Storaro. Serial doczekał się również kontynuacji.
REŻ. JOHN HARRISON
TV4, 19.00



MISS AMERYKA
Dokument opowiadający o przeszło 80-letniej historii konkursu Miss America. Ale film Lisy Ades nie jest zwykłą galopką przez dzieje jednego z najstarszych i największych konkursów piękności. Jego autorka pokazuje, w jaki sposób pozornie niewinne wybory najładniejszej Amerykanki powiązane są z życiem społecznym, przemianami obyczajowymi, polityką i wielkim biznesem. Wyraźnie było to widać choćby 17 września 1983 r., gdy koronę otrzymała 20-letnia Vanessa Williams – pierwsza afroamerykańska Miss America. Czarnoskórzy działacze mieli rację, uznając, że to milowy krok w walce z rasizmem w USA.
Film Lisy Ades był pokazywany na wielu prestiżowych festiwalach, między innymi w Sundance.
REŻ. LISA ADES
TVP1, 20.20

PONIEDZIAŁEK 29.12

NIEDZIELA 28.12

PIĄTEK 26.12

SOBOTA 27.12

SPECJALNE 100 WYDANIE MAGAZYNU DOM & WNĘTRZE

DOM & WNĘTRZE
NR 011 (001/2014) STYCZEŃ NR INDEKSU 306933 CENA 8,90 zł (z 7% VAT)

100 wydanie

na okładce **LENNY KRAVITZ** zaprasza do swojego domu

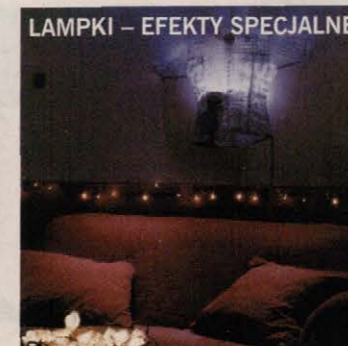
100 MEBLI KTÓRE ZMIENIŁY ŚWIAT

LISTA 100 PRACOWNI ARCHITEKTONICZNYCH nie musisz już nigdzie szukać

NAJMODNIEJSZY DUET: BIEL I CZERN propozycje naszych stylistów

JUŻ W SPRZEDAŻY

W NUMERZE



DODATEK SPECJALNY DOM & WNĘTRZE

DOMY GWIAZD

Gillian ANDERSON Kora JACKOWSKA David COPPERFIELD Carolina HERRERA Francis Ford COPPOLA

SUPERDODATEK
ZOBACZ JAK MIESZKAJĄ GWIAZDY

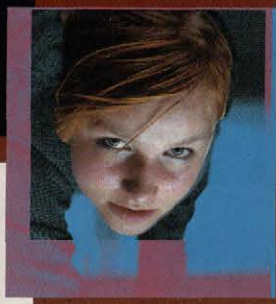


KARTA RABATOWA
NA ZAKUPY W SKLEPACH BOCONCEPT!

Dziennik z krainy

PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA



FOT. BOGDAN KRZEL

Woda,
powietrze,
papier

A dwent, oglądam „Bar bez granic”. To jak przejadanie się fosforyzującym od salmonelli tortem w ramach samoudręczenia. A jeszcze niedawno wydawało mi się szalenie zabawne, że gdybym lepiej postugiwała się pilotem od videa, to na pewno bym sobie nagrała. Zestaw wyselekcjonowanych, równomiernie pomarańczowych, homogenizowanych kukiel. Ani za bystrych, ani zbyt ewidentnie tępych. Rozgrywających porażająco nudny, acz dziwnie wciągający mecz na szeleszczące papierki i niedobitki z przyjęcia. Oglądanie tego jest pasjonujące jak wyprawa do wnętrza gówna. Kto mieszka w gównie, kto urządził sobie przytulny pokoik, łóżeczko z pestki od wiśni, kołderka z metki od chleba, solarium z diody. Kolonie w mieście Gównie. Wszystkim trzęsie z ozdobionego krepą kantorka schludna i zawsze tak samo przystojna charyzmatyczna wychowawczyni o ekspresji klawiszowca na wiejskim weselu. Myślę, jak on się musi myć do krwi po powrocie. Agnieszko,

umarł ci ojciec, czy to prawda, czy opowiesz mnie i telewizjom, jaka jest twoja tragedia?

Nie będę pisać, co oni tam mówią. Ile można śmiać się z pokracczości usilnie poprawnych wypowiedzi o wodzie, powietrzu i papierze białym w linii stylizowanych na wyważony głos w sondzie ulicznej. Teraz nasza kontrowersyjna uczestniczka zapowie nam reklamy. Dodo, prosimy cię o zapowiedzenie nam reklam. Ale reklam czego? Reklam różnych rzeczy. Dopiero w większej masie to wszystko nabiera ciężaru gatunkowego. Dopiero kiedy oglądam to któryś dzień, nachodzi mnie nastrój apokaliptyczny. Że to już nie są ci naturalni, domorośli idioci z pierwszych edycji. To są homogenizowani idioci, idioci wyprodukowani, o tym samym rozmiarze stopy, o rękach i nogach równej długości, tresowani idioci recytujący do siebie kwestie zapamiętane z seriali i komedii romantycznych, próbujący przekonać publiczność w studiu i przed telewizorami, że to właśnie oni są tu pozytywnymi bohaterami i warto wysłać ese-

mesa na numer w dole ekranu, co do złudzenia przypomina jakies klimaty koncentracyjne. A najstraszniejsze jest to, że to wszystko to jest taka gra na plusy i minusy, w której najwyżej punktowane jest zachowywanie się w granicach pewnej średniej krajowej wyznaczonej przez stymulowanie serialami i kinem sądowym o rozwodach. Znamienny jest fakt, że esemesuje się nie na tego, co ma zostać, tylko na tego, co ma odpaść. W naszym obozie jesteśmy otwarci, każdy może strzelić do ekranu. Osoba wyeliminowana w brutalnym procesie eliminacji i tak promienieje, bo tu każdy jest wygrany, najskuteczniejsze jest wysianie łez z powrotem, jak w czasopiśmie dla kobiet.

Ten program to dla mnie woda na młyn, na jego podstawie można by udowodnić punkt po punkcie zbliżając się apokalipsę, a pisanie o ponurości tego łajna jest równie odkrywczym, jak że Ich Troje jest złe. Ale mi się wydaje, że to jest prawdziwy problem, jakaś mentalna klęska żywiołowa. Ten program ogląda pięć milionów widzów, rodzice z dziećmi, chłopcy i dziewczęta oto uczą się, jak należy zachowywać się, żeby wszystkim się podobać, dostają nowych patronów do swoich imion, Agnieszka – twarda, lecz wewnętrznie wrażliwa, Matylda – gruba, ale wesoła, Maciek – chłopak sympatyczny i szczerzy. Mi się to na przykład wydaje zupełnie straszne. ■

www.przekroj.pl/maslowska

MACIEJOWSKI PÓŁ STRONY GRATIS



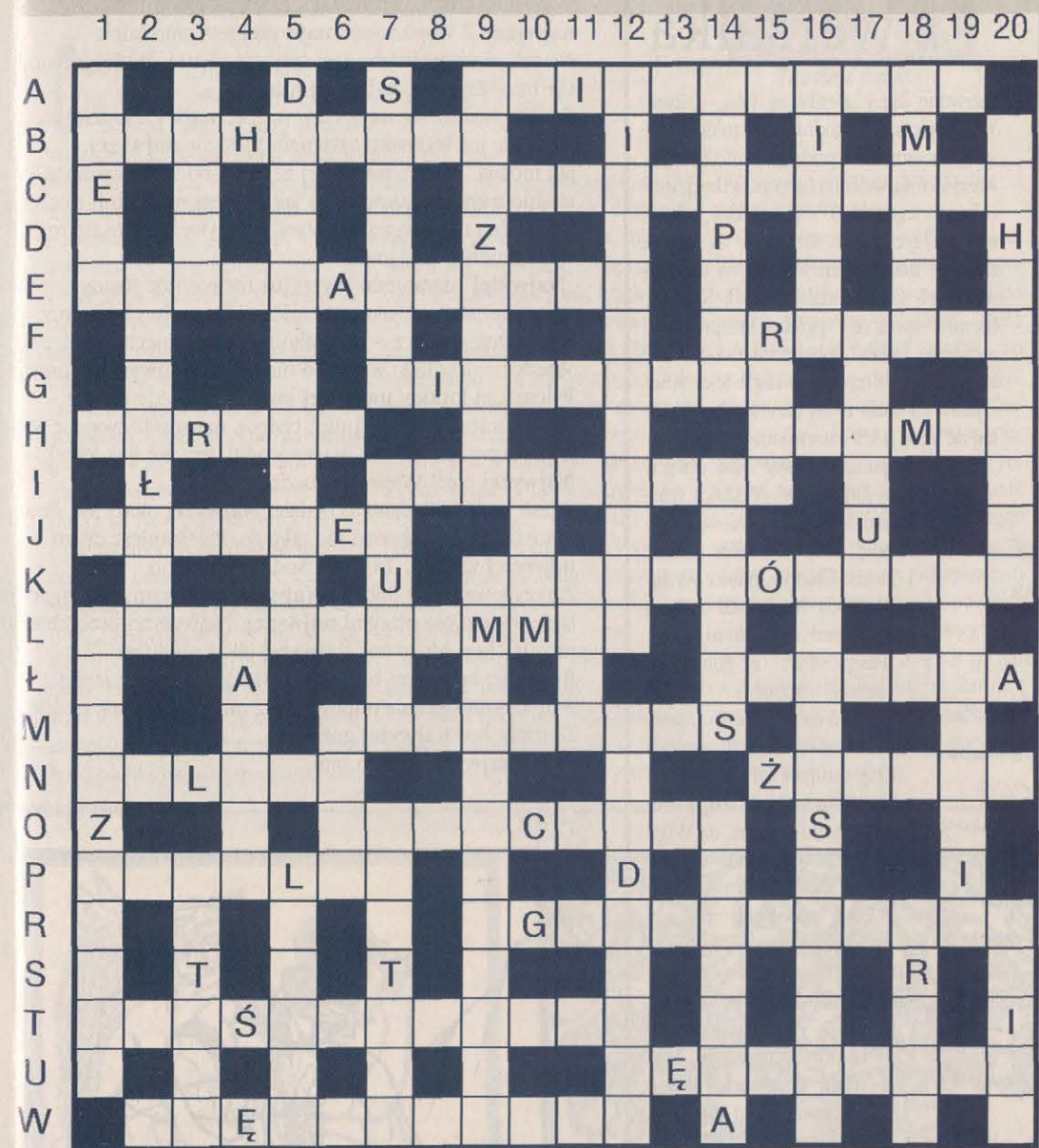
TEŚĆ I TEŚCIOWA

© MARCIN MACIEJOWSKI/MEYER-KAINER GALLERY

JOLKA ŚWIĄTECZNA nr 51/52

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE.
PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

L - M13 - W16 / J20 - C11 - I17 - H15 - K12 / E16 - R18 - J3 - G2 - W20 - M4 - U12 - J4 - O19 - Ł15 - A12 - N6
- A19 / R3 - B2 - D18 - A1 - F7 - L12 - B20 - N2 - F5 - C7 - S12 - J14 - T8 / W8 - R13 - Ł1 - U14 - G5 / F20 - L4
- W3 - C5 - C15 - R5 / K2 - R11 - P3 - N5 - E9 / O14 - Ł18 - C9 - T10 - I5 - U9 - K10 - L7 - N18 - E2 - T7 / U7
- S16 - J7 - F12 - M12 - T18 - A9 - D3 - G17 / B7 / D1 - J1 - S5 - P16 - T1 - O9 - G7 - O11 - I9 / I11 - M19 / G10
- U18 - C13 / K14 - F14 - E11 - L3 - H19 - M8 - R20 / M6 - E20 - E8 - C3 - U1 - Ł9 / R7 - H1 - D16 - N17 - D5.



JERZY BUCZEK 51-52 / 2003

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 4 stycznia (decyduje data stempla pocztowego) nadesłają poprawne rozwiązanie jolki, rozlosujemy 10 zestawów do nauki języka angielskiego i niemieckiego firmy Edgard. Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka Świąteczna nr 51/52.

ROZWIĄZANIE JOLKI NR 48: A CÓŻEŚCIE TO NAM ZA NIEME DIABŁĘ ZE SZWĘCJI PRZYWIEZLI? (kanclerz Jan Zamoyski podczas uroczystego wjazdu nowo wybranego króla Zygmunta Wazy).

Rzędami: półksiężyc, złaz, dobranocka, apasz, łódź, scynk, ciżma, wsiewka, renegat, klaun, dieta, Bell, leczo, informator, kije, ciężarówka.

Kolumnami: podglówek, lżenie, łabędzica, udziec, Staś, Awinion, owczarstwo, kancona (kancony), amur, czapki, Żegiestów, balsam, artyleria.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 45 nagrody wylosowali: Jadwiga Daszkiewicz, Babimost; Monika Gzyl, Modlnica; Aleksandra Król, Złocieniec; Stanisław Pawlak, Olsztyn; Anna Wyrzykowska, Klimontów. Gratulujemy!

WYRAZY

12-LITEROWE:

- szafowanie
- niewidami • słusznia
- porcja Podkarpacia
- robota pali mu się w rękach
- po doniecku
- rewia skrzydeł
- ostatni przystanek słońca
- niedyspozycja
- Haškowych
- feldkuratów (jako że naród to wesoly i pocziwy)
- mobbing wobec staraj • kozak już nie pokozakuje
- drugi w zakładzie
- dochodzi w Londynie (8+4)

WYRAZY

11-LITEROWE:

- na lewo
- przeszkód, na prawo ślepy
- ekspresja raroga

WYRAZY

10-LITEROWE:

- mienie w VII trenie
- krab do autoklawu
- nie wsadza

WYRAZY

9-LITEROWE:

- w rajskim dziecińcu
- tak dawno, że datownik wysiada
- skarga sprężyny
- pisarz, który zaksięgował urwisów
- nie kooperuje z kozusznikiem
- franko-dzierganie
- da sobie radę i z plackiem, i z babą
- biograf
- Kopciuska

WYRAZY

8-LITEROWE:

- nasze 36,6
- druh piecucha

WYRAZY

7-LITEROWE:

- tan chodziarza
- orzeszek działający w podziemiu
- nad Sekwaną górą nad Agatą Christie
- kapa na szkapę
- golgota gruchota
- do jej skonstruowania potrzeba cyrkla i stomatologa
- cnota nietrzpiota
- Brown, Chan lub ten od aniołków

WYRAZY

6-LITEROWE:

- zapobiegliwość
- monety
- wojskowy receptor
- święty, który szepcze: „Ciepło, ciepło... zimno, zimno...”
- stanowisko bojowe gwiazdki
- pupilka jajczarza
- pierzy się 10 km nad nami

WYRAZY

10-LITEROWE:

- niemuzyczna okularów
- łączy hienę z Homerem
- kuszetka kawy
- imię z roju meteorów
- do leżakowania ma jeszcze baaardzo daleko
- dąb nasciturus

WYRAZY

5-LITEROWE:

- rosolowy pływak
- popiera akcję przekuwania mieczy na lemiesz
- groźnie polyskuje w piesszozse
- Associated
- Włodzimierz

WYRAZY

4-LITEROWE:

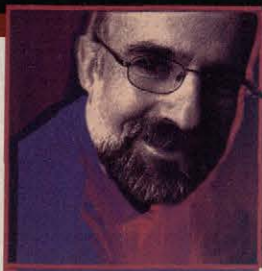
- programiści kuszą
- informacyjny
- w lesie
- faworyty Franciszka Józefa
- cesarz hotelarstwa



Professor Henry 4.0 – multimedialne programy do intensywnej nauki 12 tysięcy słów i zwrotów. Więcej informacji: www.jezykiobce.pl lub (022) 644 55 57

W I N N Y

BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Dwóch ludzi z wersalką

Pytany o doświadczenia z polskim winem zwykłem przytaczać taką oto opowieść świąteczną. Przed dwoma laty Boże Narodzenie spędzałem z panią w Górach Świętokrzyskich. W wigilijny poranek wybraliśmy się na przechadzkę obejrzeć świerki bez ozdóbek i zające nie w pasztecie. Wędrowaliśmy wesoło przez las, po jednej ścieżce przyszła kolej na drugą, trzecią, słowem dwa kroki tu, trzy kroki tam, zablądziliśmy na amen. Ruszyliśmy na skrót w dół, aby czym prędzej spotkać człowieka. Wreszcie dotarliśmy na pustą drogę, daleko od śledzika i barszczyku. Słońce ledwo już świeciło, można było iść w lewo lub w prawo. Znając panią, wiedziałem, że zaproponuje w lewo lub w prawo, wybrałem zatem w prawo, po kilometrze straciłem pewność. Wówczas usłyszeliśmy rzenie konia, zobaczyliśmy furmankę, prr, prr, polska wieś jechała nam na zbawienie.

Przy koniu woźnica, na furmance wersalka, na wersalce mężczyzna w pilotce. Woźnica usadził szarmancko panią przy sobie, mnie wskazano miejsce na wersalce, z trójki zbawicieli tylko koń nie był pijany. Woźnica przekazał lejce pani, poprosił, by powoziła, chłop na wersalce spytał: – Przepraszam, a czy pan żonaty? Zaprzeczyłem nieostroźnie, pokiwał głową. Pani powoziła, więc koń przyspieszył, woźnica wyciągnął spod siedzenia flaszkę, odbił i szarmancko podał amazonce. Po jej minie pojąłem, że nie jest to bordeaux, że nie jest to choćby najpodlejsza sofia, że może w ogóle nie jest to wino. Butelka trafiła w me dłonie, na etykietce roznieglizowana kobieta wystawała w stronę słońca obfity biust zwieńczony dwiema, rzekłbym, wisienkami;

czerwone litery głosiły jej imię – Ewa. Wysączyłem łyk zgodnie ze sztuką degustacji i szarmancko podał mi wino Ewa towarzysowi z wersalki (poprzecieranej, lecz całkiem eleganckiej). Wypił do dna, odrzucił butelkę za siebie, rozbiła się na kamieniach w mak drobniejszy niż na naszym makowcu (jeszcze daleko stąd). Spojrzał na mnie uważnie i spytał: – Przepraszam, a czy pan żonaty? Potwierdziłem ochotczo, lecz woźnica przyciągnął nagle lejce wraz z panią ku sobie i koń przystanął. – Uciekaj do lasu, ja ich zatrzymam – szepnąłem do pani, używając słów obcych (run, forest, stop). Woźnica tymczasem wydobyl spod siedzenia flaszkę, wlał w siebie całość i czknał. Chłop w pilotce wyciągnął trzecią flaszkę, dał mi łyka i wypił jednym haustem resztę. – Przepraszam, czy pan może żonaty? – spytał.

Koń ruszył z kopyta, woźnica odwrócił się w mą stronę, mrugnął do mnie okiem i powiedział: – Kanapę wieziemy do szwagra, na Wigilię. Znowu zrobiło się wesoło i świątecznie, wino Ewa powróciło po raz ostatni, pojawiły się pierwsze chaty. Zeskoczyliśmy z furmanki, pomogłem znieść wersalkę. Woźnica ucałował panią w rękę (trafił w zegarek), chłop w pilotce objął mnie jak

Brezniew późnego Gierka, chuchnął Ewą, ucałował siarczyście i spytał: – Przepraszam, a pan żonaty? Pożegnaliśmy się, dotarliśmy do domu, barszczyk był gorący, makowiec udany.

Już słyszę, jak koneser spyta: – Z całym szacunkiem, a co ma to wszystko wspólnego z winem, skoro Ewa jest trunkiem z jabłek i siarki? Odpowiadam: Skoro w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem, to i Ewa może być przez tę noc winem. A poza tym: – Czy jest pan żonaty? ■

www.przekroj.pl/biencyk

2000
Les Terrasses
Wino Na święta:
Les Terrasses
2000
od najlepszego winiarza hiszpańskiego Alvaro Palacios, około 120 złotych, własnego stołepu krakowskie

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Najwyżej

Stoپیء najwyższy. Ten stoپیء jest **najwyżej** spośród wszystkich stoپیء gramatycznych. Wyższy i równy są niżej. Wszystkie zresztą stoپیء tak mają, że jeden musi być **najwyżej**. Z wojskowych **najwyżej** jest marszałek. Na schodach **najwyżej** jest stoپیء ostatni. Wyżej już stoپیء nie ma. Mogą być **najwyżej** niżej. Trudno znaleźć się **najwyżej**. A i być **najwyżej** niełatwo, kiedy się już wszystko osiągnęło i jest się **najwyżej**, jak można. Trudno **najwyżej** ze wszystkich się wdrapać, trudno **najwyżej** skoczyć. A jak coś jest **najwyżej**, to często nie można tego osiągnąć. Zwykle **najwyżej** ceni się to, co najtrudniej osiągnąć. „**Najwyżej**” ogranicza. Wyżej już nic nie ma. Każdy najwyższy stoپیء jakoś ogranicza, ale „**najwyżej**” może ograniczać, co chce – wszystko to, co się mierzy czy liczy. Wtedy nie jest tego wiele. To niedaleko, **najwyżej** kilometr. Byłem tam krótko, **najwyżej** kwadrans. Kiedy mówię, że dostaniesz **najwyżej** pięć tysięcy, nie spodziewaj się więcej, niezależnie, czy chcesz (jak nagrody), czy nie (jak kary). **Najwyżej** pięć! Więcej nie będzie. A jeśli będzie? Będzie, to będzie. **Najwyżej** okaże się, że się pomyliłem. To w końcu nic takiego. Przystaniesz mi co **najwyżej** wierzyć. Trochę szkoda, ale trudno. Zaryzykowałem? I dobrze. **Najwyżej** przegram. W najgorszym razie. Byłem nie przegrał **najwyżej**. Najwyższej przegranej to już nie chcę. Może być **najwyżej** jakaś nieduża. Ryzykuję, bo jestem optymistą. Myślę, że będzie lepiej. A Ty pesymistycznie odpowiadasz mi, że lepiej nie będzie. Że może być **najwyżej** gorzej. No to **najwyżej**. Niech tam.

www.przekroj.pl/bralczyk



KULINARNE

PIÓRO

POLSKI

Kuchnia sylwestrowa

Co kilka lat opuszcza mnie chęć na huczne świętowanie w sylwestrową noc. Zamiast balu wolę wówczas spokojną kolację w małym gronie. Przeczuwając, że tak właśnie będzie w tym roku, sporządziłem już jadłospis, w którym słodycz przeplata się z goryczą i odrobiną pikanterii. Czyżby taki melanz odzwierciedlał smak przemijania? Wolę o tym nie myśleć. Skupmy się na jedzeniu.

Na początek sałatka z kurzych wątróbek i rukoli. Dla czterech osób potrzebne będzie pół kilograma wątróbek. Wątróbki przepłukujemy, posypujemy solą i pieprzem i smażymy na dużym ogniu w czterech łyżkach bardzo gorącego oleju przez zaledwie minutę, przewracamy je na drugą stronę i znowu smażymy przez minutę. Nie mieszamy. Wyjmujemy wątróbki, wyrzucamy olej. Na tej samej patelni rozgrzewamy dwie łyżki oleju i na małym ogniu pod-

Zanim odkorkujemy szampana

smażymy dwie posiekane szalotki przez minutę, po czym drewnianą łyżką zeszkrobujemy z dna pozostałości wątróbek, zwiększamy ogień, dolewamy sześć łyżek octu z sherry i gotujemy, mieszając, przez kilkanaście sekund. Zawartość patelni przelewamy do miseczki, dodajemy małą szczyptę soli, pół szczypty pieprzu i tyleż mielonych goździków. Kiedy wątróbki przestygną, kroimy je ponownie na pół, usuwając przy tym soki, które zapewne wypuszczą. Kilka garści rukoli polewamy sosem winegret zrobionym z dziewiczej oliwy oraz octu z sherry. Wątróbki układamy na talerzach i otaczamy je rukolą. Pośrodku wieńca z wątróbek kładziemy odrobinę sosu octowo-szalotkowego, zaś same wątróbki



TADEUSZ PIÓRO

możemy posypać kryształkami morskiej soli.

Na drugie danie zaplanowałem kaczą pierś z sosem balsamicznym oraz bataty z pieca. Kacze piersi po prostu smażymy w oliwie, około 10 minut po każdej stronie, po czym kroimy je w plastry. Sos balsamiczny to nic innego jak ocet balsamiczny zredukowany o dwie trzecie. Szklankę octu gotujemy na sporym ogniu, aż zostanie z niej kilka łyżek czarnego, gęstego, słodko-kwaśnego sosu. Obrane i pokrojone w plastry bataty obtaczamy w sklarowanym maśle, solimy i pieprzymy, po czym pieczemy na wysmarowanej masłem blasze przez 30–40 minut w temperaturze 200 stopni. Zamiast batatów można w ten sposób upiec zwykłe ziemniaki, lecz bataty zapewnią dużo słodyczy.

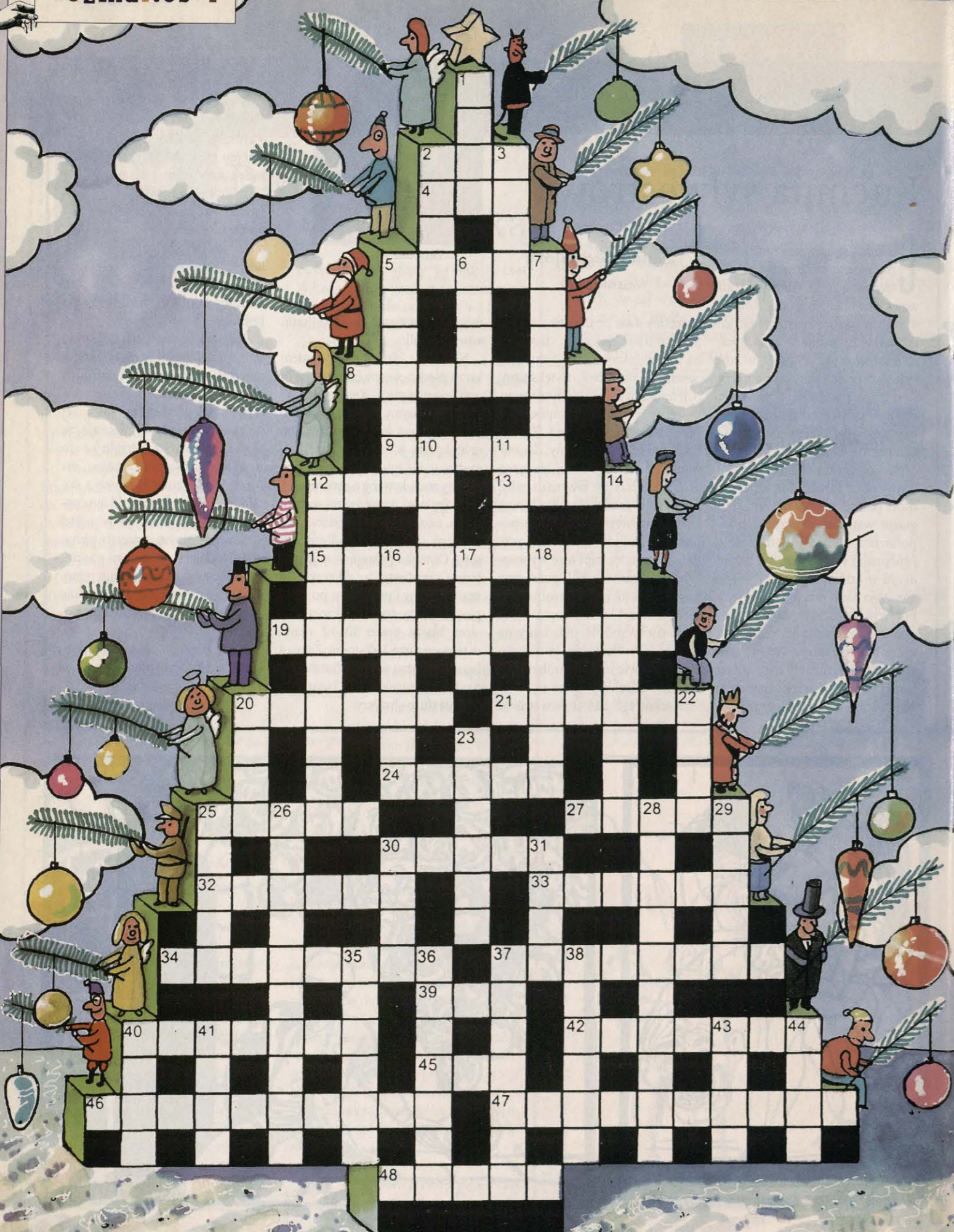
W sałatce deserowej gorycz zapewni radicchio, a słodycz – gruszki. Na liściu radicchio kładziemy dwa plastry gruszki i kawałek gorgonzoli – dla pikanterii. Tym, którzy mogą sobie na to pozwolić, do wątróbek polecałbym niezbyt starego supertoskana, a do kaczki nieco starsze Cote Rotie. Do tortu będzie szampan, czyli białe wino musujące z Szampanii, więc tort zjemy po północy.

Brak mi miejsca na dokładny opis tortu. Wypiekę trzy biszkopty z orzechów laskowych i włoskich oraz cukru i białek. Na pierwszym z nich położę warstwę stopionej gorzkiej czekolady wymieszanej ze słodką śmietanką. Przykryję to drugim biszkoptem, tego zaś – purée z suszonych moreli z dodatkiem cukru, brandy, likieru pomarańczowego i odrobiny ubitej śmietanki. Na to trzeci biszkopt i do lodówki na osiem godzin. Cztery osoby na pewno nie podolają takiemu tortowi, czeka mnie więc bardzo słodki dzień noworoczny.

Życzę Państwu jak najwięcej słodyczy w Nowym Roku. ■

www.przekroj.pl/pioro





POZIOMO:

- 2. LECZ
- 4. PÓŁ PATYKA
- 5. CZARNA PLAMA Z PELIKANA
- 8. DO PRZYPALANIA CYGAR (EKSTRAWAGANCKIE)
- 9. ŚMIETANKA ŚMIETANKI
- 2. POD RZEŻUCHĄ
- 3. WZÓR Z DZIUR
- 5. USTA-USTA
- 9. SZALONY ANTYK
- 20. POLSKA Z TRĄBKĄ
- 21. GŁOŚNY PRZYPADEK
- 24. KOŁO W CYRKU
- 25. BIERZ GO I SPŁYWAJ
- 27. SIEĆ I LEŻ
- 30. OPRAWCA PAPUG
- 32. MYJE MALUCHA
- 33. PIĘTASZEK
- 34. K-120
- 37. PAPIERKI FRYZJERKI
- 39. WŁOSKA MARKA
- 40. TIK LUB TAK

42. BYCZY KILER

- 45. DRUGI RAZ
 - 46. OBIECAŁA, ŻE TAK POWIE
 - 47. ORGANY
 - 48. BRZÓSKI W ROZMAITOŚCIACH
- PIONOWO:**
- 1. ŚPIEWA Z NAMI
 - 2. PÓJDŹMY WSZYSCY DO STAJENKI
 - 3. PROFESOR OD ZASAD
 - 5. DUDEK
 - 6. PROZAICZNY TWÓRCA
 - 7. PIASEK W TRYBY
 - 10. DZIADY KONWICKIEGO
 - 11. ŚWIĘTA KROWA W ROZMOWACH
 - 12. PEŁZANIE PO ŚCIANIE
 - 14. ZWROT KNOTA
 - 16. PARTYJNE PORZĄDKI

17. POD KAWĘ

- 18. DO SPANIA NA STOLE
- 20. NIBY-MALŻEŃSTWO
- 22. PRZED DRUGIM
- 23. TWARDA BŁAHOSTKA
- 25. WYGŁUPIA SIĘ NA SERIO
- 26. ALE JAJA!
- 28. PAPIER NA PAPIER
- 29. DO PONOSZENIA W MORALNOŚCI
- 31. BLACHOJAD
- 35. ZABIJA WIDOKIEM
- 36. SAM NA CZTERDZIESTU
- 37. MAŁE ŚWINI
- 38. MIEĆ EUREKĘ
- 40. W ZAWIASACH
- 41. DYMI Z BRÓDKĄ
- 43. PARLAMENT Z PODNIESIONĄ GŁOWĄ
- 44. OGRANICZA WALENIE

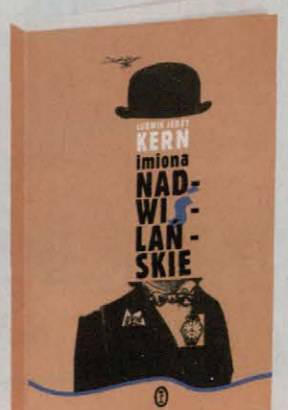
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 48

Poziomo: 4. dialog 7. lipiec 8. intruz 9. jaskinia 10. kokos 12. skalpel 14. eskorta 16. zgaga 18. inkasent 21. proces 22. budzik 23. ofiara

Pionowo: 1. olejki 2. spisek 3. scena 4. działka 5. astrolog 6. obuwiu 11. opozycja 13. ateista 15. szeryf 17. areszt 18. apteka 19. Skiba

za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 46 nagrody wylosowali: Edward Cybiński, Olesno; Zofia Krzyńska-Fryc, Bielsko-Biała; Magdalena Peterson, Kraków; Ewa Popielwicz, Katowice; Justyna Zwieda, Żory. Gratulujemy!

między czytelników, którzy do niedzieli 4 stycznia (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki, rozlosujemy po 10 egzemplarzy książek: „Nakarmić duszę. 365 przepisów kuchni wegetariańskiej” Joli Słomy i Mirosława Trymbulaka (wydawnictwo Czerwony Słoń), „Casanova” Jerzego Żurka (Słowo/Obraz Terytoria) oraz „Imiona nadwiślańskie” Ludwika Jerzego Kerna (Wydawnictwo Literackie). Nasz adres: Przekrój, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka Świąteczna nr 51/52.



ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P. 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY - WYDAWCA:
Piotr Najstut

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Marcin Baran, Magda Gędziorska,
Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Moruś, Krzysztof Zakrzewski,
Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papuzińska (szef), Joanna Gorzelińska,
Dorota Sajnug, Max Suski, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński,
Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

PRZEGLĄD ZDARZEŃ:
Paweł Wieczorek

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Moruś, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryna,
Bogdan Krężel (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:
Agencja Poligraf - Maciej Kowalski

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska - Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA
WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 12A, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierala

WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Krystyna Zowczak-Jastrzębska, Marcin Fedisz

DYREKTOR BIUR REKLAMY:
Agnieszka Ziemińska

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej - dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Marta Sztanka
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Aleksandra Trojnar - dyrektor, Anna Orłowska
- zastępca dyrektora, Artur Dudek, Jagna Federowicz,
Maciej Grelak, Anna Maślanka
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 5842-295 -297 -311-584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. - RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA - NOVAPRESS 90 G,
PRODUKT - STORA ENSO

ŚRODEK - GALERIE BRIT 65 GSM; PRODUCENT - M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL
PRENUMERATA@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM; FAKS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKULÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTĘPIA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKULACH I LISTACH.



KSIĄZKA NALEPSZY PREZENT

raczej RACZKOWSKI

WYMYSŁILE I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

EXPiK PÓJDZMY WSZYSZY PO PREZENTY



Przy zakupie 2 filmów na DVD - odtwarzacz będzie Twój...
już za **249,99**
~~349,99~~

Odtwarzacz DVD

- rejonizacja: odtwarza filmy ze wszystkich stref!
- standard sygnału: PAL/AUTO/NTSC
- standardy wyjścia: Audio analogowe, Audio cyfrowe, Video, Component video, S video, VGA (progressive scan)
- menu odtwarzacza: w j. polskim
- wyjście Audio w standardzie 5.1
- zgodny z: VCD2.0, VCD1.1, CVD, VCD, SVCD, CD-DA, CD+G, DTS, MP3, Picture-CD
- funkcja przybliżania i oddalania obrazu: 2x i 4x, funkcja zwalniania i przyspieszania, wszystkie funkcje dostępne z pilotem
- możliwość zaprogramowania poszczególnych scen
- kabel EURO w zestawie!
- gwarancja: 24 miesiące!



* oferta ważna od 18.12.2003 do wyczerpania zapasów i nie łączy się z innymi rabatami

PAKIET TERRY PRATCHETT "Muzyka duszy" i "Panowie i damy" "Maskarada" i "Zbrojni"

Jeśli ktoś nie zna jeszcze tej pratchettowskiej niezwyklej mieszanki filozoficznych żartów spleatanych ślaskowicką komedią, właśnie znalazł wyjątkową okazję poszerzenia horyzontów. Financial Times

Najlepszy pisarz-humorysta dwudziestego wieku.



58,90
39,90

tylko w salonach EXPiK

BOX 3 CD "60 minut na godzinę"

Unikatowe audycje Programu III Polskiego Radia - czyli: CDN, Rycerze, Kulisy srebrnego ekranu - zgrupowane w atrakcyjnym, pięknie wydanym albumie 3-plytowym.



tylko w salonach EXPiK

WŁADCA PIĘRŚCIENI DWIE WIEŻE

LIMITOWANE WYDANIE KOLEKCJONERSKIE!

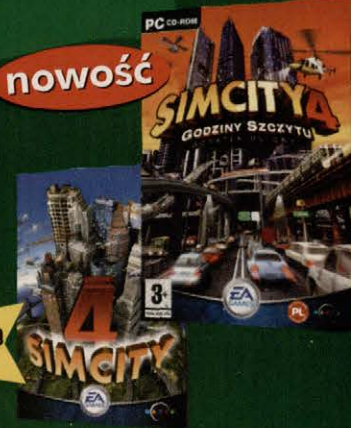
- zawiera:
- specjalne rozszerzone 4-plytowe wydanie DVD
 - figurkę Golluma opatrzoną certyfikatem autentyczności
 - bonusową płytę DVD
 - książeczkę ukazującą ewolucję postaci Golluma.



nowość

SIM CITY 4 oraz SIM CITY 4 Godziny szczytu

Zbuduj metropolię, w której nie zabraknie najszynniejszych budowli. Przenoś góry, zatapiaj doliny, twórz wulkany. Wymieniaj się miastami z przyjaciółmi - sprawdź, kto ma lepsze pomysły. Przeprowadź się do miasta swoich Simów, a dowiesz się, co o nim myślą. "Simcity 4 Godziny Szczytu" pozwolą Ci przejąć całkowitą kontrolę nad systemem komunikacji w mieście - nad drogami i torami, w powietrzu i na wodzie. Obserwuj, jak wraz z udostępnieniem Simom lepszych środków komunikacji, rośnie Twoja popularność.



nowość

KUPUJĄC SIM CITY 4 I DODATEK DO GRY SIM CITY GODZINY SZCZYTU, OSZCZĘDZASZ 29,90!

199,90



EXPiK Pełna kultura

BRZOSKI
WAIKO

Dariusz Brzóska Brzósiewicz
Wesołe Igloo

Dzisiaj wesoło
Jest w rodzinie
Nawet nie wiedzą
że chłupa już 10 mil od brzegu odpynęła

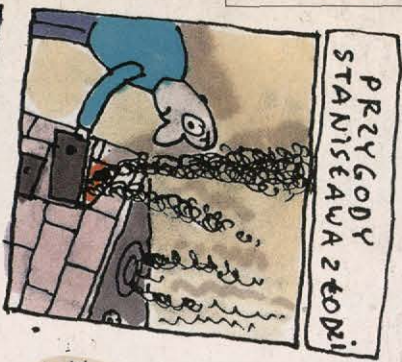
Regorczanie życzą sobie święte...
szczęścia, zdrowia i bezplatnej
kartki pogotowia.
Krzysztof Plyta

Z głowy...
KRZYSZTOFA BILICZY
Nie każda gwiazda
dostanie się
do nieba.



— To mój mąż Greg
i jego marynarka z poprzedniego małżeństwa.

Rys. CULUM/NEW YORKER



PRZY GODY
STANISŁAWA Z ŁODZI



Filmy na święczniku

PRZEMEK SARACEN

- Wśród polskich polityków rozpisano ankietę, który z filmów jest ich ulubionym.
- Obok nazwisk publikujemy wybrany tytuł:
- Robert Kwiatkowski – **Nieśmiertelny**,
 - Andrzej Olechowski – **Człowiek bez twarzy**,
 - Roman Giertych – **Koń, który mówi**,
 - o. Tadeusz Rydzyk – **Ojciec chrzestny**,
 - Tomasz Nałęcz – **Przypadkowy bohater**,
 - Aleksandra Jakubowska – **Prawdziwe kłamstwa**,
 - Maciej Piączyński – **Na własną rękę**,
 - Leszek Miller – **Snuar Malutki**,
 - Jolanta Kwaśniewska – **Pracująca dziewczyna**,
 - Adam Michnik – **Buntownik z wyboru**,
 - bracia Kaczyński – **Atak klonów**,
 - Renata Berger – **Dzikte żądze**,
 - Marek Pol – **Wiele hałasu o nic**,
 - Marian Krzaklewski – **Człowiek widno**,
 - Izabela Sierakowska – **Powrót Różowej Pantery**,
 - Zbigniew Ziobro – **Polowanie na „Czerwony Paździerzek”**.
- A oto wyniki głosowań grupowych:
- członkowie Unii Wolności – **Sami swoi**,
 - Liga Polskich Rodzin – **Planeta mały**,
 - Rada Polityki Pieniężnej – **Nietykalni**.
- Wśród wszystkich posłów zwyciężył obraz **Truman Show**, przy czym członkom komisji budżetowej szczególnie przypadł do gustu film **Ochtań**, natomiast tym z komisji śledczej – **Psychoza**.
- Na przyszły rok zaplanowano ogólnonarodowy plebiscyt „Ul’ chany film Polaków”. Mam nadzieję, że moi rodacy nie wybiorą obrazu **Głupi i głupszy**...

Fraszki
na cztery pory roku

Przed Wigilią
Kiedy się zbliża Gwiazdka nowa,
Co roku mi nadzieła świąta,
Ze choć przez chwilę ludzka mowa
Zabrzmiała przy ziobach i kojrytach.
Janusz Sipekowski

Rodzina Obłych

Patryk Pajdak

Gwiazda



Rys. PAULUS MAZUR

Po wrzgliwej kolacji rodzina Obłych wychodzi na balkon i obserwuje gwiazdy, które niosą ludziom świąteczne przesłanie. Jedne gwiazdy świecą jaskrawo, inne trochę słabiej, a jeszcze inne – bardzo bladą. Jedną z gwiazd wyraźnie odróżnia się od pozostałych, ponieważ nie świeci i ciągle spada. – Co to za gwiazda? – zastanawiają się. Obli. Czekają, aż gwiazda zabłyśnie albo przynajmniej przestanie spadać. Czekają długo, bardzo długo, ale nic się nie zmienia. Gwiazda nadal nie świeci i jak spadała, tak spada.

Samotnym źle w Święta

Wojciech Młynarski

Niechaj każdy pamięta,
że samotnym źle w Święta,
że tak pragną czułości,
zniczkiem gapią się w okno,
w ciemnym oknie, głęboko
widzą twarz samotności.

Czasem pamięć zaplata:
kiedyś było inaczej,
gdy się spotem w krąg siadło.
Mysł samotna, nim zaśnię,
duma: czemu ja właśnie?
Czemu na mnie wypadło?

Inni w oczach śmiech mają,
a samotnym się zdaje,
że te śmiechy z nich szydzą,
przemnykają się chyłkiem,
rozmarawiają z wysiłkiem,
swej niedoli się wstydzą.

Potem budzą się rano
z samotnością jak z rana,
co się nigdy nie goi,
boli równo i średnio
i ucieka w powszedność,
odsświętności się boi.

Przeto, ludzie szczęśliwi,
niech was prosba nie dziwi
w wiersza strofę ostatniej:
w Święta prosicie samotnych,
lecz z powodów istotnych
tulcie ich delikatnie...

